O. Seraphim Rose

Prawosławie a religia przyszłości

Tłumacz: Marek Dądela

A jakże ciasna jest brama i jak wąska droga, która prowadzi do życia! I niewielu ją odkrywa!

Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczych skórach, a w środku są drapieżnymi wilkami. Rozpoznacie ich po owocach: czyż zbiera się winogrona z ostu, a figi z ciernia?

Nie każdy kto mówi do Mnie: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, ale ten, kto spełnia wolę mego Ojca, który jest w niebie.

W owym dniu wielu mi powie: Panie, Panie, czyż w Twoim imieniu nie prorokowaliśmy? I w Twoim imieniu nie wyrzucaliśmy czartów? I w Twoim imieniu nie dokonywaliśmy wielu cudów?

Wtedy im powiem: Ja was nigdy nie znałem. Odejdźcie ode Mnie, zło czyniący!

Każdy więc, kto słucha tych moich słów i wprowadza je w czyn, podobny będzie do człowieka rozsądnego, który zbudował swój dom na skale.

(Mt 7:14-16, 21-24)

Przedmowa do czwartego wydania

10 maja 1975 roku o. Seraphim Rose jechał samochodem przez góry północnej Kalifornii do swojego Monasteru św. Hermana z Alaski. Wracał właśnie z Oregonu, skąd odebrał nakład swojej pierwszej wydrukowanej książki Prawosławie a religia przyszłości – książki, która pewnego dnia stanie się duchowym dynamitem, zwłaszcza w Rosji. Książka ta była analizą współczesnych ruchów religijnych, zapowiadających „nową świadomość religijną", która przygotowywała drogę dla jednej światowej religii i świadczyła o zapoczątkowaniu „zesłania demonicznego ducha" w czasach ostatnich. Nikt wcześniej nie napisał tak precyzyjnej analizy

dwudziestowiecznych prądów duchowych i nawet do tej pory nikt nie zgłębiał ich tak dokładnie w oparciu o nauki świętych Ojców.

We wczesnych latach 70., kiedy o. Seraphim pisał swoją książkę, wiele zjawisk które opisywał, uważano za zwyrodniałe „skrajności". Ale on widział na co się zanosi, widział, że te „skrajności" z czasem staną się nurtem dominującym. Widział zatrważającą jedność celów za szerokim wachlarzem na pozór całkowicie odmiennych zjawisk, widział też ich końcowy rezultat wyłaniający się zza horyzontu. Kiedy tak jechał na południe z tą książką, która miała zedrzeć maskę z najbardziej subtelnych form demonicznego zwodzenia w naszych czasach, zatrzymał się przy samym centrum neopogaństwa w Ameryce – przy górze Shasta. Uważana przez wielu za świętą górę Indian, mieszkańców tej ziemi, góra Shasta przez długi czas była miejscem obrzędów okultystycznych, które i teraz tam się rozwijają. O. Seraphim podjechał swoją ciężarówką załadowaną książkami część drogi wzwyż. Stojąc w cieniu ogromnej góry, w miejscu gdzie urządzano neopogańskie festyny, odśpiewał pieśni Paschalne o Chrystusowym Zmartwychwstaniu i Jego zwycięstwie nad szatanem i śmiercią. Pojawiła się wtedy myśl, która już kiedyś przyszła mu do głowy: „Prawosławny kapłan powinien przyjść tutaj i pobłogosławić tę górę poświęconą wodą!" Później, po przyjęciu kapłaństwa, wróci tutaj i pobłogosławi tę górę. Ale jego książka zrobi więcej, ona poruszy góry.

1. Jak powstała ta książka

Pomysł na książkę Prawosławie a religia przyszłości towarzyszył o. Seraphimowi przez długi czas. We wczesnych latach 60. rozpoczął wielkie dzieło Królestwo człowieka a Królestwo Boże, które podążało za filozoficznymi, duchowymi i społecznymi prądami ostatnich dziewięciuset lat, w którym zamieścił duży rozdział zatytułowany „Duchowość prawosławnych chrześcijan a nowa duchowość". Przez wiele lat jego monastyczny przyjaciel, o. Herman, namawiał go do zakończenia tego magnum opus, ale o. Seraphim bronił się przed tym, tłumacząc, że jest to zbyt wielka praca do podjęcia, niemożliwa do pogodzenia z jego zwykłymi obowiązkami w ich bractwie św. Hermana z Alaski, a poza tym książka ta była zbyt intelektualna i abstrakcyjna. „ Potrzebujemy czegoś bardziej praktycznego" – mówił. W tym czasie jego rozumienie prawosławnego chrześcijaństwa bardzo się pogłębiło. Było to owocem jego nieustających studiów, ale także osobistej walki duchowej, i mógł w bardziej zdecydowany sposób przeciwstawić pseudo-duchowość prawdziwemu, poważnemu i zbawiającemu życiu duchowemu. Jak na ironię, podczas gdy jego wiedza wewnętrzna i zewnętrzna bardzo wzrosła od początku lat 60., jego pisma wcale nie stały się bardziej złożone i zawiłe, ale bardziej dostępne, zrozumiałe i dokładne.

W 1971 roku o. Seraphim zaczął pisać i układać rozdziały do Prawosławia a religii przyszłości, drukując je w odcinkach w czasopiśmie bractwa The Orthodox Word (Prawosławne słowo). Cztery lata później, w

Paschalny Piątek, 9 maja 1975 roku, ojcowie skończyli drukowanie pierwszego wydania tej książki. Zostało ono sprzedane tak szybko, że musieli drukować drugie wydanie już w sierpniu. Książka spotkała się z żywą reakcją i z zachętą do kontynuacji. Monaster otrzymał wiele listów, wielu ludzi odwiedziło ojców z podziękowaniem za wyrwanie z duchowych pułapek.

2. Jasność patrystycznego ducha

W ostatnim stuleciu rosyjski prawosławny filozof Iwan Kirejewski opisał jak poznanie ducha patrystycznego pozwala widzieć rzeczy niewidoczne dla innych: „Umysł prawosławny stoi w miejscu, w którym wszystkie drogi się krzyżują. Spogląda uważnie w dół każdej drogi, i z tego wyjątkowego punktu obserwacyjnego przygląda się warunkom, niebezpieczeństwom, zastosowaniom i przeznaczeniom każdej drogi. Bada każdą drogę zgodnie z patrystycznym punktem widzenia, gdy jego własne poglądy stają się rzeczywistym, nie hipotetycznym, kontaktem z otaczającą kulturą”. Te słowa dokładnie opisują o. Seraphima i wyjaśniają dlaczego jego pisma uważane są za tak bardzo prorocze. Wcale nie był prorokiem, który otrzymał objawienie rzeczy przyszłych od Boga. Raczej wynikało to z przyjęcia patrystycznego ducha, nauki starodawnych świętych Ojców; przy ich pomocy dostrzegał dokąd prowadzi droga całej otaczającej go kultury i gdzie wiodą jej trendy duchowe.

Kiedy o. Seraphim w połowie lat 70. pisał o niebezpieczeństwach kultów neopogańskich, było też wielu innych „znawców religijnych” (wtedy jednak nie byli tak szeroko słuchani, aż do „strachu przed sektami”, który opanował Amerykę w 1979 roku, po masakrze w Jonestown). Jednak bez patrystycznych zasad życia duchowego nie byli oni stanie spostrzec ukrytej jedności zjawisk typu UFO, wschodnich religii i „odnowy charyzmatycznej” – pod ich płaszczykiem wykorzystywano praktyki mediumistyczne w celu nawiązania kontaktu z upadłymi duchami.

Teraz kiedy ruch New Age (Nowej Ery) stał się tak rozpowszechniony i potężny ukazało się wiele „ostrzegających” książek napisanych przez chrześcijan. W 1983 roku, w rok po śmierci o. Seraphima, jedna z tych książek stała się bestsellerem wśród protestantów: The Hidden Dangers of the Rainbow: the New Age Movement and Our Coming Age of Barbarism (Ukryte niebezpieczeństwa tęczy: ruch Nowej Ery a nadchodzący wiek barbarzyństwa), napisana przez Attorney Constance E. Cumbey. Mimo że książka ta nie zawierała nauki patrystycznej i nie była wolna od przerysowań, stała się tak potrzebnym poradnikiem dla świata chrześcijańskiego, ujawniającym mało znane fakty o korzeniach Nowej Ery oraz o współpracujących z nią organizacjach religijnych, politycznych, ekonomicznych, zdrowotnych i ekologicznych pracujących nad „nowym światowym porządkiem” (New World Order). Po ukazaniu się tej książki Constance Cumbey wyruszyła w trasę z wykładami, pojawiając się wiele razy w radio i telewizji, udzielając wywiadów i dyskutując z tak prominentnymi liderami Nowej Ery jak Benjamin Creme. W roku 1989

przeczytała książkę Prawosławie a religia przyszłości. Ta książka, napisana przez prekursora w jej dziedzinie, była dla niej jak objawienie. Do Bractwa św. Hermana napisała: „Nieznany ofiarodawca przesłał mi kopię książki o. Seraphima mniej więcej rok temu i uważam ją za najważniejszą książkę, jaką przeczytałam na ten temat do dzisiaj. Czytanie o. Seraphima to jak picie czystej wody po taplaniu się w błocie! Polecam ją wielu ludziom podczas moich wykładów i audycji radiowych.”

3. Sukces książki w Rosji

Z czterdziestu książek opublikowanych za życia o. Seraphima przez Bractwo św. Hermana – z czego dwadzieścia ukazało się w języku angielskim i dwadzieścia w rosyjskim – Prawosławie a religia przyszłości była książką najbardziej popularną. Do chwili obecnej ukazało się siedem wydań angielskich.

W Rosji sukces tej książki był daleko większy niż w Ameryce – nawet kiedy książka nie ukazała się jeszcze w języku rosyjskim! O. Seraphim dowiedział się, że za „żelazną kurtyną” książka została przełożona na rosyjski, jednak nie dane mu było doczekać tak ogromnego jej sukcesu. Po jego śmierci już było wiadome, że rosyjskie tłumaczenie (lub kilka tłumaczeń) było w tajemnicy rozprowadzane wśród wiernych w całej Rosji w formie niezliczonej ilości maszynopisów. Ta książka zmieniła życie tysięcy ludzi, przebudziła ich i uwrażliwiła na niebezpieczeństwa duchowe naszych czasów. Ta książka jest szczególnie dzisiaj ważna w Rosji, gdzie

społeczeństwo indoktrynowane przez 70 lat siłą narzucanym materializmem, pada teraz ofiarą postępujących wpływów oszukańczych sekt.

Wraz z „otwarciem" krajów wschodniej Europy część z szeroko znanych „podziemnych" maszynopisów Prawosławia a religii przyszłości zostało opublikowanych w rosyjskich czasopismach. Rozdziały „Cuda fakirów a modlitwa Jezusowa" oraz o zjawisku UFO pojawiły się poprzedzone biograficzną informacją o o. Seraphimie. W obu przypadkach artykuły były specjalnie wydrukowane, gdyż istniała paląca potrzeba wyjaśnienia zjawisk UFO, które wzbudzały w Rosji wielkie zainteresowanie. Jak twierdzili wydawcy, wyjaśnienia o. Seraphima tych zjawisk były bardziej godne zaufania niż jakiekolwiek inne teorie. Jeden z wiernych w Rosji stwierdził: „ Książki o. Seraphima wykazują, że te pozornie 'niewytłumaczalne' zjawiska mogą zostać wyjaśnione zgodnie ze stałą, pewną, precyzyjną teorią doktryny Prawosławia".

Ostatecznie w 1991 cała książka wydana była w ogromnej ilości egzemplarzy wewnątrz Rosji. Od tej pory wydanych zostało kilka nowych rosyjskich wydań oraz rozprowadzono miliony kopii. Razem z książką o. Seraphima Dusza po śmierci książka ta jest jedną z najbardziej szeroko czytanych duchowych lektur w dzisiejszej Rosji. Sprzedaje się je nie tylko w księgarniach i cerkwiach w całym kraju, ale nawet w metrze i na ulicznych straganach.

4. Bezkompromisowy świadek

Mimo, że o. Seraphim zwykle starał się unikać niepotrzebnej sensacji i rozgłosu, wielu czytelnikom konkluzje tej książki mogą wydać się nazbyt surowe i ostre. W niej, jak też w żadnym innym ze swoich pism, wcale nie starał się łagodzić swoich stwierdzeń. Odkąd zdrady chrześcijańskiej prawdy – od rażących do najbardziej subtelnych – zdarzały się wszędzie na całym świecie, czuł, że nie można chować głowy w piasek; musiał być bezkompromisowy.

Pomimo swojej surowości w piętnowaniu demonicznego zwodzenia, które mogło prowadzić prostodusznych ludzi do wiecznego potępienia, o. Seraphim był kochającym i współczującym przewodnikiem duchowym dla indywidualnych ludzi. Ta jego osobista troska o ludzi jest widoczna w jego listach, artykułach i poradach duchowych, cytowanych w jego biografii Not of this World (Nie z tego świata). Ta książka, z drugiej strony, jest wyraźną deklaracją napisaną dla całego świata w ściśle określonym celu. Ponieważ o. Seraphim podążał za tym celem nie zbaczając ani trochę na bok, jego książka po latach odniosła sukces w wyrywaniu ludzi z samozadowolenia, zmuszając ich do traktowania życia duchowego bardzo serio, dając im mocny impuls do wejścia na ścieżkę prawdy. Rzuciła im wyzwanie odmalowując rzeczywistość prawdziwej duchowej wojny, walki o dusze, przypomniała że muszą postępować uważnie (Ef 5:15) aby nie zagubić łaski Bożej, która prowadzi ich do nieba.

Niech Bóg wciąż korzysta z tej książki do oświecania błąkających się w ciemności i aby przypominać tym idącym w świetle o tym jak ciasna i wąska jest ta ścieżka, którą wybrali – ścieżka do życia wiecznego.

O. Damascene

Monaster św. Hermana z Alaski

Platina, Kalifornia

Grudzień 1996 r.

Przedmowa do drugiego wydania

Każda herezja ma swoją własną „duchowość”, swoje własne charakterystyczne podejście do praktyki życia religijnego. Tak więc katolicyzm aż do niedawna, miał jasno rozróżnialną swoją własną pobożność, związaną ze „świętym sercem”, papizmem, czyśćcem i odpustami, objawieniami różnych „mistyków” i tak dalej; uważny prawosławny obserwator mógł wyczuć w tych aspektach współczesnej łacińskiej duchowości praktyczne rezultaty błędów teologicznych Rzymu. Fundamentaliści protestanccy również mają własne podejście do modlitwy, w typowych dla siebie hymnach, własne podejście do duchowej

„odnowy”; widzimy w tym odbicie w życiu religijnym ich zasadniczych błędów dotyczących doktryny chrześcijańskiej. Ta książka dotyczy „duchowości” ekumenizmu, najważniejszej herezji XX wieku.

Aż do niedawna wydawało się, że ekumenizm jest czymś tak sztucznym, tak synkretycznym, że nie ma swojej własnej duchowości; „liturgiczny” porządek spotkań ekumenicznych wielkich i małych nie był bardziej złożony niż niedzielne protestanckie nabożeństwa.

Ale prawdziwa natura herezji ekumenizmu – wiara, że nie istnieje widzialny Kościół Chrystusa, że jest on formowany dopiero teraz – jest taka, że gubi dusze pod wpływem pewnych duchowych postaw, które z czasem wytworzą typową ekumeniczną „pobożność” i „duchowość”. W czasach obecnych wydaje się, że w końcu tak się dzieje, że ekumeniczne postawy religijnej „nadziei” i „poszukiwań” zaczynają owocować pewnym „duchem”, który daje religijne spełnienie jałowym duszom na ekumenicznej pustyni i objawia się charakterystyczną pobożnością, która przestała być już jedynie protestancka.

Powstanie tej książki przypada na rok 1971 wraz z pojawieniem się najnowszej mody ekumenizmu – otwarcia na „dialog z religiami niechrześcijańskimi”. Cztery rozdziały na ten temat wydrukowane zostały w The Orthodox Word (Prawosławne słowo) w 1971 i 1972 roku, relacjonując głównie wydarzenia późnych lat 60. do początku roku 1972. Ostatnie z tych rozdziałów były szczegółowym omówieniem „odnowy

charyzmatycznej", która właśnie została podjęta przez kilku prawosławnych kapłanów w Ameryce, i ruch ten został opisany jako forma „duchowości ekumenicznej" z włączeniem religijnych doświadczeń, które są wyraźnie niechrześcijańskie.

Zwłaszcza ten ostatni rozdział spotkał się z wielkim zainteresowaniem wśród prawosławnych chrześcijan, pomógł on przekonać niektórych aby nie brali udziału w ruchu „charyzmatycznym". Inni, którzy już wcześniej uczestniczyli w spotkaniach „charyzmatycznych", porzucili ten ruch i potwierdzili wiele ze spostrzeżeń tego artykułu. Od momentu pojawienia się „odnowy charyzmatycznej" w niektórych prawosławnych parafiach w Ameryce, przejęły one, sądząc według czasopisma The Logos o. Euzebiusza Stephanou, całkowicie język i praktykę protestanckiej odnowy, i ich nieprawosławny charakter stał się jasny dla każdego uważnego obserwatora. Pomimo protestanckiej mentalności ich promotorów, jednak „odnowa charyzmatyczna" jako ruch „duchowy" całkowicie różni się od protestantyzmu. W artykule opisano ją jako rodzaj „chrześcijańskiego" mediumizmu potwierdzonego przez wielu świadków, który prowadzi do nowej „ekumenicznej duchowości", z której rodzi się właśnie nowa, niechrześcijańska religia.

Latem 1974 roku jeden z amerykańskich monasterów należących do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej odwiedził pewien młody człowiek, który prowadzony był do jednego z mnichów przez „ducha", który nachodził go bez przerwy. Podczas tej krótkiej wizyty historia tego młodzieńca

wyjaśniła się sama. Wywodził się ze środowiska konserwatywnego protestantyzmu, który uważał pod względem duchowym za całkowicie jałowy, więc otworzył się na „duchowe" doświadczenia „odnowy charyzmatycznej" przy pomocy swojej babci: W momencie kiedy dotknął podanej przez nią Biblii, otrzymał „duchowe dary" – co najważniejsze, otrzymał niewidzialnego „ducha", który dał mu szczegółowe instrukcje gdzie ma pójść i pojechać. Mógł on przy pomocy woli hipnotyzować innych i wprawiać ich w stan lewitacji (zdolność której dowcipnie używał do terroryzowania ateistycznych znajomych). Czasami wątpił, czy te „dary" rzeczywiście pochodzą od Boga, ale odrzucał te wątpliwości kiedy uświadamiał sobie, że jego duchowa jałowość przeminęła, a odrodzenie duchowe pojawiło się poprzez kontakt z Biblią; poza tym wydawało się, że prowadzi bardzo bogate życie „duchowe" i modlitewne. Poprzez poznanie Prawosławia w monasterze do którego przybył, a szczególnie po przeczytaniu artykułu o „odrodzeniu charyzmatycznym", stwierdził że znalazł tutaj po raz pierwszy pełne i precyzyjne wyjaśnienie swoich „duchowych" doświadczeń; najprawdopodobniej, jak przyznał, jego „duch" był zły. Zrozumienie tego jednak nie poruszyło do głębi jego serca, i opuścił monaster bez przyjęcia Prawosławia. Podczas jego następnej wizyty dwa lata później człowiek ten oświadczył, że porzucił działalność „charyzmatyczną" jako zbyt przerażającą, a teraz duchowe zadowolenie daje mu praktykowanie medytacji zen.

To bliskie pokrewieństwo pomiędzy chrześcijaństwem a wschodnimi doświadczeniami duchowymi jest typowe dla duchowości „ekumenicznej"

naszych czasów. Do drugiego wydania tej książki dodano sporo wiadomości dotyczących wschodnich kultów religijnych oraz ich obecnych oddziaływań, także odnoszących się do wersji „świeckiej", która pozwala formować „nową religijną świadomość" nawet wśród niewierzących. Żaden z tych kultów osobno być może nie ma decydującego znaczenia w duchowym makijażu współczesnego człowieka; ale każdy na swój własny sposób uosabia dążenie dzisiejszego człowieka do znalezienia nowej ścieżki duchowej, odrębnej od tradycyjnego chrześcijaństwa, a ich suma razem pokazuje przerażającą jedność celu, którego ostateczny koniec wydaje się właśnie teraz wyłaniać zza horyzontu.

Krótko po opublikowaniu artykułu na temat „odnowy charyzmatycznej", The Orthodox Word otrzymał list od szanowanego rosyjskiego prawosławnego pisarza, dobrze obeznanego z prawosławną literaturą teologiczną, który napisał: „To, co pan opisał tutaj jest religią przyszłości, religią antychrysta." Coraz częściej ta lub podobna forma fałszerstwa duchowego wprowadza w błąd nawet chrześcijan deklarujących się jako prawosławni. Dreszcze przechodzą gdy patrzy się na te pułapki, w które nieprzygotowany duchowo chrześcijanin może wpaść. Ta książka ostrzega przed nimi wszystkich próbujących świadomie wieść pobożne życie prawosławnych chrześcijan w świecie opanowanym przez duchy nieczyste. Nie ma w tej książce wyczerpującego omówienia religii, która jeszcze nie przybrała swojej ostatecznej formy, jest w niej raczej wstępne omówienie tych duchowych tendencji, które, jak zobaczymy, przygotowują drogę dla prawdziwej religii antychrześcijańskiej, religii na

pozór „chrześcijańskiej”, ale skupionej wokół pogańskiego doświadczenia „inicjacji”.

Niech opis tej coraz bardziej jawnej i bezczelnej działalności szatana, księcia ciemności, pomiędzy „chrześcijanami” zainspiruje prawdziwych prawosławnych chrześcijan bojących się utracić łaskę Bożą, i obróci ich z powrotem do czystych źródeł chrześcijańskiego życia, do Pisma Świętego i duchowej doktryny świętych Ojców Cerkwi!

I. Religie „monoteistyczne” - Czy mamy tego samego Boga co i niechrześcijanie?

„Hebrajczycy i muzułmanie, i chrześcijanie... te trzy wyrazy identycznego monoteizmu, przemawiają najbardziej autentycznym i starożytnym, a nawet śmiałym i najbardziej pewnym głosem. Dlaczego miałoby nie być możliwe w imię tego samego Boga, zamiast rodzić nieprzyjaźń nie do pogodzenia, połączyć się raczej we wzajemnym szacunku, zrozumieniu i pokojowym współistnieniu? Czyż odniesienie do tego samego Boga, tego samego Ojca, bez uprzedzeń w teologicznych dyskusjach, pewnego dnia nie zaprowadzi nas raczej do odkrycia czegoś tak oczywistego – że wszyscy jesteśmy synami tego samego Ojca, a zatem też wszyscy jesteśmy braćmi?”

Papież Paweł VI, La Croix, sierpień 1970 rok

W czwartek 2 kwietnia 1970 roku w Genewie miała miejsce wielka religijna manifestacja. W ramach drugiej konferencji „Związku Zjednoczonych Religii”, reprezentanci dziesięciu wielkich religii zostali zaproszeni na zebranie w katedrze św. Piotra. Powód tej „wspólnej modlitwy” określono następująco: „wierni wszystkich tych religii byli zaproszeni do współistnienia w kulcie tego samego Boga!” Zobaczmy zatem, czy to twierdzenie jest uzasadnione w świetle nauki Pisma Świętego.

Żeby lepiej wyjaśnić tę kwestię, ograniczmy się tylko do trzech religii, które historycznie następowały jedna po drugiej w następującej kolejności: judaizm, chrześcijaństwo, islam. Te trzy religie roszczą sobie prawo do wspólnego pochodzenia – jako czciciele Boga Abrahama. Zatem jest to bardzo szeroko rozpowszechniona opinia, że ponieważ wszyscy roszczą sobie pretensje do bycia potomstwem Abrahama (żydzi i muzułmanie w porządku cielesnym, chrześcijanie zaś według ducha), wszyscy też wyznajemy Boga Abrahama i wszystkie trzy religie oddają cześć (naturalnie każda na swój własny sposób) temu samemu Bogu. Ten sam Bóg stanowi w jakiś sposób nasz wspólny punkt i „wzajemne zrozumienie", i zaprasza nas do „braterskich stosunków", jak wielki rabbi dr Safran podkreśla, parafrazując psalm 133: „Jak dobrą jest rzeczą widzieć jak bracia razem siedzą...."

W tej perspektywie jasne jest, że Jezus Chrystus, Bóg i Człowiek, Syn współwieczny z Ojcem, bez początku, Jego Wcielenie, Jego Krzyż, Jego chwalebne Zmartwychwstanie i Jego drugie i straszne przyjście – stają się drugorzędnymi detalami, które nie powinny powstrzymać nas przed zbrataniem się z tymi, którzy uważają Go za „zwykłego proroka" (według Koranu) albo za „syna prostytutki" (zgodnie z pewnymi tradycjami talmudycznymi)! Tak więc umieszczamy Jezusa z Nazaretu i Mahometa na tym samym poziomie. Nie wiem czy chrześcijanin warty swojej nazwy może godzić w swoim sumieniu takie rzeczy.

Ktoś mógłby stwierdzić, że w tych trzech religiach, gdy pominie się przeszłość, można przyjąć, że Jezus Chrystus jest nadzwyczajną i wyjątkową istotą i że został przysłany przez Boga. Ale dla nas, chrześcijan, gdyby Chrystus nie był Bogiem, to również nie moglibyśmy uważać Go za „proroka" albo za innego „Bożego wysłannika", tylko za wielkiego, nieporównywalnego z nikim oszusta, który ogłosił sam siebie „Synem Bożym" i zrównał sam siebie z Bogiem (Mk 14:61-62). Zgodnie z tym ekumenicznym twierdzeniem, Trynitarny Bóg chrześcijan byłby na tym samym poziomie trans-wyznaniowym co monoteizm judaizmu, islamu, starożytnej herezji Sabeliusza, współczesnych antytrynitarian oraz pewnych sekt iluminatów. Nie byłoby Trzech Osób w Jednym Bóstwie, lecz jedna Osoba, dla niektórych niezmienna, a dla innych kolejno zmieniająca „maski" (Ojciec – Syn – Duch)! Jednak wciąż są chętni gotowi udawać, że jest to „ten sam Bóg".

Mógłby ktoś teraz naiwnie zaproponować: „Jest jeszcze wspólny punkt dla tych trzech religii – wszystkie wyznają Boga Ojca!" Jednak zgodnie ze świętą wiarą prawosławną jest to absurd. Wyznajemy zawsze: „Chwała Świętej, Współistotnej, Życiodajnej i Niepodzielnej Trójcy". Jak moglibyśmy oddzielać Ojca od Syna, gdy Jezus Chrystus stwierdza Ja i Ojciec jedno jesteśmy! (J 10:30); a święty Apostoł Jan, Ewangelista i Teolog, Apostoł Miłości, jasno stwierdza: Każdy, kto wypiera się Syna, nie ma też i Ojca (1 J 2:23).

Nawet gdyby wszystkie trzy religie nazywały Boga Ojcem, to faktycznie czyim jest on Ojcem? Dla żydów i muzułmanów jest On Ojcem ludzi jako swego stworzenia; podczas gdy dla nas, chrześcijan, jest On przede wszystkim zanim świat powstał (J 17:24) Ojcem naszego Pana Jezusa Chrystusa (Ef 1:3), i przez Chrystusa jest On naszym Ojcem przez wybranie nas (Ef 1:4-5) poprzez odkupienie. Jakie jest w takim razie podobieństwo pomiędzy Boskim Ojcostwem chrześcijaństwa a innymi religiami?

Ktoś inny może jeszcze powiedzieć: „Wszystko jedno, Abraham przecież oddawał cześć prawdziwemu Bogu, a żydzi poprzez Izaaka, i muzułmanie poprzez Hagar są potomkami tego prawdziwego czciciela Boga". Tutaj trzeba wyjaśnić kilka rzeczy; Abraham na pewno nie czcił Boga w formie jednoosobowego monoteizmu innych religii, ale w postaci Trójcy Świętej. Czytamy w Piśmie Świętym: Potem ukazał mu się Jahwe pod dębami Mamrego... i pokłonił się aż do ziemi (Rdz 18:1-2). Pod jaką postacią Abraham czcił Boga? Pod jednoosobową postacią czy też w formie Trójjedności? My, prawosławni chrześcijanie okazujemy cześć temu starotestamentowemu objawieniu Trójcy Świętej w dzień Zesłania Ducha Świętego, kiedy stroimy nasze cerkwie gałęziami drzew symbolizującymi te starożytne dęby i kiedy czcimy wśród nich ikonę Trzech Aniołów, dokładnie tak jak ojciec nasz Abraham oddawał im cześć! Cielesne pochodzenie od Abrahama na nic nam się nie przyda, jeżeli nie odrodzimy się w wodach chrztu w wierze Abrahama. A wiara Abrahama była wiarą w Jezusa Chrystusa, jak sam Władca stwierdził: Ojciec wasz, Abraham, cieszył się, że ujrzy mój dzień. I ujrzał i uradował się (J 8:56).

Taka też była wiara Proroka Króla Dawida, który słyszał Ojca Niebieskiego mówiącego do swego Współistotnego Syna: Powiedział Pan do Pana mego (Ps 109:1; Dz 2:34). Taka była wiara trzech młodzieńców w piecu ognistym, kiedy zostali uratowani przez Syna Bożego (Dan 3:25); i świętego proroka Daniela, który miał wizję dwóch natur Jezusa Chrystusa w tajemnicy Wcielenia, kiedy Syn Człowieczy pojawił się w czasach starożytnych (Dan 7:13). Oto, dlaczego Chrystus w mowie do (biologicznie bezspornego) potomstwa Abrahama, powiedział: Gdybyście byli dziećmi Abrahama, wypełnialibyście dzieło Abrahama (J 8:39), a to dzieło jest abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał (J 6:29).

Kto w takim razie jest potomstwem Abrahama? Synowie Izaaka według ciała czy synowie Hagar Egipcjanki? Czy Izaak i Izmael są potomstwem Abrahama? Czego naucza Pismo Święte przez usta boskiego Apostoła? Otóż Abrahamowi właśnie i jego potomstwu dano obietnice. Nie powiedziano: potomstwu, jakby chodziło o wielu, lecz mówiono o jednym: „I potomkowi twemu”, to jest Chrystusowi (Gal 3:16). Dopiero w Jezusie Chrystusie Abraham stał się ojcem wielu narodów (Rdz 17:5; Rz 4:17). Po takich obietnicach i zapewnieniach jakie znaczenie może mieć cielesne pochodzenie od Abrahama? Zgodnie z Pismem Świętym Izaak uważany jest za ziarno lub potomstwo, ale tylko jako obraz Jezusa Chrystusa. W przeciwieństwie do Izmaela (syna Hagar; Rdz 16:1n), Izaak zrodzony był w cudownej „wolności” z bezpłodnej matki, w podeszłym wieku i na przekór prawom natury, podobnie do naszego Zbawiciela, który zrodzony był w cudowny sposób z Dziewicy. Wspiął się na górę Moria tak

jak Jezus wszedł na Kalwarię, dźwigając na ramionach drzewo ofiary. Anioł oswobodził Izaaka od śmierci, tak jak Anioł odsunął kamień od grobu, aby pokazać pusty grób, w którym Zmartwychwstały już nie przebywa. W czasie modlitwy Izaak spotkał Rebekę na równinie i zaprowadził ją do namiotu swojej matki Sary, tak jak Jezus spotka Swoją Cerkiew na obłokach, aby zaprowadzić Ją do niebieskich dóbr, Nowego Jeruzalem, najbardziej upragnionej ojczyzny.

Nie! Nie mamy tego samego Boga co niechrześcijanie! Warunkiem sine qua non wiedzy o Ojcu jest Syn: Kto Mnie widzi, widzi też Ojca. Każdy dochodzi do Ojca tylko przeze Mnie (J 14:6,9). Nasz Bóg jest Bogiem Wcielonym, któregośmy widzieli na własne oczy, w któregośmy się wpatrywali i którego dotykały nasze dłonie (1 J 1:1). Niematerialny stał się materialnym dla naszego zbawienia, jak stwierdził św. Jan Damasceński, i objawił się w nas. Ale kiedy objawił On Samego Siebie wśród żydów czy muzułmanów, abyśmy mogli przypuszczać, że oni też znają Boga? Jeżeli mają pełne rozumienie Boga bez Jezusa Chrystusa, to w takim razie Chrystus wcielił się, umarł i powstał z martwych na próżno!

Zgodnie ze słowami Chrystusa, oni jeszcze w pełni nie weszli do Ojca. Mają wyobrażenia o Ojcu, ale te wyobrażenia nie zawierają ostatecznego objawienia Boga danego ludzkości w Jezusie Chrystusie. Dla nas, chrześcijan, Bóg jest niepojęty, niezgłębiony, nieopisany i niematerialny jak stwierdził św. Bazyli Wielki. Dla naszego zbawienia stał się cielesny (dla naszego zjednoczenia z Nim), zaczął istnieć w czasie, stał się widzialny i

materialny, przez objawienie tajemnicy Wcielenia Swojego Syna. Jemu niech będzie chwała na wieki wieków. Amen. Oto, dlaczego św. Cyprian z Kartaginy stwierdził, że ci, dla których Cerkiew nie jest Matką, ci też nie mają Boga za Ojca!

Niech Bóg ochroni nas przed apostazją i od nadchodzącego antychrysta, którego zwiastuny z dnia na dzień są coraz liczniejsze. Niech ochroni nas przed wielkim uciskiem, którego nawet wybrani nie mogliby znieść bez Jego łaski, dzięki której skróci On owe dni. Niech ochroni nas w „małej trzódce", „reszcie według wyboru łaski", abyśmy tak jak Abraham mogli uradować się światłem Jego Oblicza, przez modlitwy Przeczystej Bogurodzicy i Zawsze Dziewicy Maryi, wszystkich niebieskich sił, obłoku Świadków, Proroków, Męczenników, Hierarchów, Ewangelistów i Wyznawców, którzy pozostali wierni aż do śmierci, którzy przelewali krew dla Chrystusa, którzy zrodzili nas przez Ewangelię Jezusa Chrystusa w wodach chrztu. Jesteśmy ich synami – słabymi, grzesznymi i z pewnością nic nie wartymi; ale nie będziemy wyciągać naszych rąk do obcych bogów! Amen.

O. Bazyli Sakkas

La Foi Transmise, 5 kwiecień 1970

II. Potęga pogańskich bogów - Ataki hinduizmu na chrześcijaństwo

Wszystkie bowiem bóstwa pogan to demony3

(Ps 95:5)

Niniejszy artykuł opisuje doświadczenia kobiety, która po uczęszczaniu do wyższej szkoły prowadzonej przez klasztor rzymsko-katolicki przez dwadzieścia lat praktykowała hinduizm, aż ostatecznie, dzięki Bożej łasce, nawróciła się na Prawosławie, kończąc swoje poszukiwania prawdy w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Obecnie mieszka na zachodnim wybrzeżu. Niech jej słowa otworzą oczy tym prawosławnym chrześcijanom, którzy skłonni są do naśladowania ślepych, „liberalnych" teologów, którzy pojawiają się nawet w Cerkwi Prawosławnej, i których odpowiedź na atak neopogaństwa na Kościół Chrystusa opiera się na „dialogu" z ich czarownikami i na wspólnym oddawaniu czci bożkom pogańskim.

1. Urok hinduizmu

Miałam akurat szesnaście lat, kiedy dwa wydarzenia wpłynęły na moje życie. Zaczęłam uczęszczać na zajęcia do Klasztoru Sióstr Dominikanek w San Rafael (Kalifornia) i było to moje pierwsze zetknięcie się z chrześcijaństwem. W tym samym roku zetknęłam się również z

hinduizmem w postaci hinduskiego mnicha, który wkrótce potem został moim guru lub nauczycielem. Bitwa się rozpoczęła, ale nie miałam o tym pojęcia przez następne dwadzieścia lat.

W klasztorze nauczono mnie podstawowych prawd chrześcijaństwa. Tutaj leży siła pokory oraz sidła pychy. Prawdę pisał święty Jakub: Bóg pysznym się sprzeciwia, a łaskę daje pokornym (Jkb 4:6). Jakże ja byłam pyszna; nie przyjmowałam nauki o grzechu pierworodnym oraz odrzucałam istnienie piekła. Miałam całe mnóstwo argumentów przeciwko nim. Jedna bardzo wyrozumiała siostra dała mi klucz mówiąc: „Módl się o dar wiary". Ale trening Swamiego już mnie pochłonął i uważałam za poniżające błaganie kogoś o cokolwiek, nawet Boga. Dużo później przypomniałam sobie jej słowa. Po wielu latach zasiane we mnie ziarno wiary chrześcijańskiej przebudziło się w bezkresnym morzu rozpaczy.

Z czasem odkrywałam sens książek, które brałam ze sobą do szkoły, obłożonych dla niepoznaki w zwykły papier; książek takich jak Bhagavad Gita, Upaniszady, Wedy, Ashtavakra Samhita.... Częściowo mój sekret się wydał ale nikt nie robił z tego powodu awantur. Bez wątpienia siostry myślały, że mi to przejdzie, jak większość innych intelektualnych ekstrawagancji młodych dziewcząt. Ale jedna śmiała zakonnica powiedziała mi prawdę. Jest to bardzo niepopularna prawda i rzadko można ją usłyszeć w dzisiejszych czasach. Powiedziała, że pójdę do piekła jeśli umrę w hinduizmie po tym, jak poznałam prawdę chrześcijaństwa.

Św. Piotr ujął to następująco: Jest się bowiem niewolnikiem tego, komu się uległo. Bo jeśli uszli przed brudami świata dzięki poznaniu Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, a pogrążając się w nie znowu im ulegają, to koniec ich staje się gorszy od początku. Lepiej by bowiem było dla nich nie poznać drogi sprawiedliwości, niż poznawszy ją – odwrócić się od świętych przykazań, które im dano (2 P 2:19-21). Jakże wzgardziłam tą siostrą za jej bigoterię. Gdyby dzisiaj jeszcze żyła, podziękowałabym jej z całego serca. To, co mi powiedziała, nie dawało mi spokoju, ponieważ było prawdą i zaprowadziło mnie w końcu do pełni Świętego Prawosławia.

Ważną rzeczą, jaką otrzymałam w klasztorze, był duchowy „pręt mierniczy", i pewnego dnia posłużyłam się nim do odkrycia, że hinduizm jest oszustwem.

Sytuacja bardzo zmieniła się od moich czasów szkolnych. To, co było odosobnionym przypadkiem praktykowania hinduizmu, rozrosło się do rozmiarów epidemii. Teraz gdyby ktoś chciał przestrzec młodych chrześcijan przed popełnieniem duchowego samobójstwa przez przyjęcie wschodnich religii, powinien być bardzo dobrze zorientowanym w hinduistycznych dogmatach.

Hinduizm roztacza swój urok na wiele sposobów; pochlebia każdej zdolności i odwołuje się do każdej słabości, a szczególnie do pychy. Już w wieku szesnastu lat byłam pełna pychy, od samego początku stałam się jej ofiarą. Grzech pierworodny, piekło oraz problem bólu niepokoiły mnie.

Przed wstąpieniem do klasztoru nie brałam tych pytań na serio. Potem Swami przedstawił mi „intelektualnie satysfakcjonujące” alternatywy na wszystkie te ogromnie niewygodne dogmaty chrześcijańskie. Piekło to w końcu tylko czasowy stan duszy sprowadzony przez naszą złą karmę (przeszłe uczynki) z tego albo z poprzedniego życia. Poza tym, oczywiście, skończona przyczyna nie może mieć nieskończonych efektów. Grzech pierworodny został cudownie zamieniony na Bóstwo Pierworodne. To jest moje pierworództwo i cokolwiek bym uczyniła, nigdy nie będę pozbawiona wspaniałego końca. Jestem bóstwem, jestem Bogiem; „Nieskończony Marzyciel, mający skończone marzenia”.

Jeżeli chodzi o problem bólu, filozofia hinduizmu, znana jako Vedanta, ma naprawdę elegancki system rozwiązań. W skorupce orzecha ból jest tylko mają, czyli iluzją; nie ma realnego istnienia – i co więcej Advaitin twierdził, że to można udowodnić!

Na innym polu hinduizm wabi bardzo poważnym błędem głosząc, że człowieka można wciąż doskonalić, przez edukację (w ich terminach, w systemie uczeń-guru) i przez „ewolucję” (stały, postępujący rozwój ludzkiej duchowości). Taki sposób myślenia możliwy jest przy założeniu względności wszelkich kultur; teraz ten pogląd stał się tak poważany, że istnym grzechem (również tych, którzy w grzech nie wierzą) jest kwestionowanie względności każdego rodzaju. Cóż może być bardziej rozsądnego, mówią hinduiści, niż to, że różne narody i ludy czczą Boga w

odmienny sposób? Bóg przecież i tak jest Bogiem, a różnorodność form kultu przyczynia się do ogólnego religijnego „bogactwa”.

Jednak największy urok tkwi w pragmatyzmie. Cała filozoficzna konstrukcja hinduizmu oparta jest na praktycznych religijnych wskazówkach dawanych uczniom przez ich guru. Przez te praktyki uczniowie zapraszani są do weryfikowania filozofii przez swoje własne doświadczenia. Niczego nie należy brać na wiarę. W przeciwieństwie do popularnych poglądów, nie ma tam żadnych tajemnic – tylko ogromna ilość ezoterycznej materii – więc po prostu nie ma potrzeby wiary. Mówią ci: „Spróbuj i zobacz czy to działa”. To pragmatyczne podejście jest szczególnie pociągające dla zachodniego umysłu. Wydaje się tak bardzo „naukowe”. Ale niemal każdy adept łatwo popada w rodzaj pragmatycznego złudzenia, na przykład jeżeli praktyka przynosi efekty (a rzeczywiście przynosi), praktykant zaczyna wierzyć, że cały system jest prawdziwy i przyjmuje go bez zastrzeżeń jako dobry. Jedno, oczywiście, nie wynika z drugiego. W rzeczywistości jedynie można stwierdzić, że jeżeli są efekty, to znaczy, że są. Jednak nie wchodząc w istotę sprawy, biedni adepci poprzez drobne psychiczne doświadczenia osiągają ogromne przekonanie o słuszności tej religii.

To doprowadziło mnie już do ostatniej pokusy, jaką wymienię, to jest do „duchowych doświadczeń”. Są one mediumistyczne i pochodzące od diabła. Ale kto wśród praktykujących potrafi chociaż w najmniejszym stopniu odróżnić złudzenia od prawdziwych duchowych doświadczeń? Nie

posiadają duchowego „pręta mierniczego”. Ale nie należy sądzić, że to, czego doświadczają, co widzą, słyszą, czują i czego dotykają, jest wyłącznie jakąś aberracją umysłową. Nie. Doświadczenia te są tym, co tradycja Cerkwi nazywa prelest’4 . Jest to ważne słowo, ponieważ odnosi się dokładnie do stanu osoby mającej hinduistyczne „duchowe doświadczenia”. W języku angielskim nie ma dokładnego odpowiednika terminu prelest’. Oddaje ono cały zakres fałszywych duchowych doświadczeń, od zwykłych iluzji i omamów do realnego opętania przez demony. W każdym wypadku fałszerstwo brane jest za dobrą monetę, a jedynym efektem tych doświadczeń jest pomnożenie pychy. Miłe, przyjemne poczucie własnej niezwykłej wartości bez reszty opanowuje osobę, i to rekompensuje całą surowość i trud tej praktyki.

W swoim pierwszym liście św. Jan ostrzega chrześcijan: Umiłowani, nie wierzcie każdemu duchowi, lecz badajcie duchy, czy pochodzą od Boga... (1 J 4:1).

Św. Grzegorz z Synaju bardzo szczegółowo pouczał swoich mnichów na temat niebezpieczeństw takich eksperymentów: „Wszędzie dookoła, blisko początkujących i upartych, demony mają zwyczaj zarzucać sieci myśli i zgubnych fantazji i przygotowują przepastne głębie na ich upadek...” Mnich zapytał go: „Co ma czynić człowiek, kiedy demon przybierze postać anioła światłości?” Święty odparł: „W tym wypadku człowiek potrzebuje wielkiej mocy rozpoznawania tego co słuszne, odróżniania dobra i zła. W swojej niefrasobliwości nie pozwól się ponieść

zbyt szybko przez to, co widzisz, ale bądź niewzruszony (trudny do poruszenia), starannie badając wszystko, przyjmuj dobro, a odrzucaj zło. Zawsze musisz sprawdzać i badać, dopiero potem przyjmować. Wiedz, że działanie łaski jest oczywiste i wyraźne, a demon pomimo swoich transformacji nie może takim być, mianowicie łagodnym, życzliwym, skromnym, nienawidzącym świata, odrzucającym pożądliwości – są to wyłącznie efekty łaski. Wytworem demona jest arogancja, zarozumiałość, zastraszenie i całe zło. Widząc taką działalność, sam będziesz mógł rozróżnić czy światło pojawiające się w twoim sercu pochodzi od Boga czy od szatana. Sałata podobna jest do gorczycy, a ocet kolorem przypomina wino; ale kiedy spróbujesz, podniebienie rozpozna i określi różnicę między nimi. W ten sam sposób dusza, jeżeli posiada rozeznanie, może odróżniać duchowym smakiem dary Ducha Świętego od fantazji i złudzeń szatana".

Nierozważny lub próżny nowicjusz duchowy jest najbardziej narażony na uwiedzenie (prelest'). Sukces i trwałość hinduizmu w dużej mierze wynika z tego fałszywego mistycyzmu. Jest on bardzo pociągający dla młodych narkomanów, którzy popróbowali już doświadczeń tego typu. Przez ostatnie kilka lat widzieliśmy pojawianie się i rozkwit coraz to nowych guru. Widzieliśmy wielkie możliwości osiągnięcia bogactwa i sławy na tym nowym rynku. A oni to wykorzystali.

2. Wojna dogmatów

Dzisiaj chrześcijaństwo zmaga się z wrogiem, który jest całkowicie niewidzialny dla wiernych; jeśli tylko będzie mógł, przebije serce nawet przed wypowiedzeniem swojego imienia. Nieprzyjacielem tym jest hinduizm, a prowadzona wojna jest wojną dogmatyczną.

Kiedy na przełomie wieków zostały założone w Ameryce Towarzystwa Vedanty (Vedanta Societies), pierwsze ich wysiłki skierowane były na rozpowszechnianie poglądu, że nie ma istotnej różnicy pomiędzy hinduizmem a chrześcijaństwem. Nie tylko, że nie ma pomiędzy nimi żadnego konfliktu, ale dobry chrześcijanin byłby lepszym chrześcijaninem przez studiowanie i praktykowanie Vedanty; dzięki temu mógłby zrozumieć prawdziwe chrześcijaństwo.

Podczas pierwszych wykładów Swami usiłowali wykazać, że idee, które wydają się właściwe tylko dla chrześcijaństwa – jak Logos i Krzyż – tak naprawdę mają swój początek w Indiach. A te idee, które wydają się właściwe dla hinduizmu – odradzanie się, wędrówka dusz czy samadi (lub trans) mogą być także znalezione w pismach chrześcijańskich – jeżeli tylko są one poprawnie zinterpretowane.

Ten rodzaj przynęty złowił wielu prostodusznych, ale nierozważnych chrześcijan. Pierwsze uderzenie skierowane było przeciwko „sekciarskim" dogmatom na rzecz tak zwanej religii naukowej, opartej na analizie porównawczej wszystkich religii. Główny nacisk zawsze kładziono na to, że nie ma nic takiego jak różnica. Wszystko jest Jednością. Wszystkie różnice

są tylko powierzchowne; są pozorne albo względne, nie są rzeczywiste. Jasno to wszystko wynika z opublikowanych wykładów, które miały miejsce we wczesnych latach XX wieku. Dzisiaj znajdujemy się w tak wielkim niebezpieczeństwie, ponieważ tamte wysiłki okazały się bardzo owocne.

Obecnie potoczne znaczenie słowa „dogmat” ma dość drwiący wydźwięk. Ten pogardliwy ton nie może pochodzić od tych, którzy wiedzą, że słowo to odnosi się do najbardziej cennego dziedzictwa Kościoła. Jednak kiedy pejoratywna konotacja została już raz ustalona, człowiek nieśmiały, który nie chce narazić się na niepopularność, zaczyna mówić o „skostniałych dogmatach”, co jest zbyteczne, ale zyskuje mu aprobatę. Postawa taka została w sposób niezauważalny przyswojona od krytyków o „szerokich horyzontach”, którzy albo nie wiedzą, że dogmaty stanowią o istocie chrześcijaństwa, albo zwyczajnie nie lubią tego całego chrześcijaństwa.

Ta nowa gotowość wielu chrześcijan do rezygnacji, kiedy spotykają się z zarzutem trzymania się dogmatów, była hinduistom bardzo na rękę. Pomoc płynąca z obozu przeciwnika ma znaczenie strategiczne.

To niewiarygodne jak niewielu widzi, że siła która może obalić dogmaty chrześcijańskie, jest sama w sobie niczym innym, jak przeciwstawnym systemem dogmatów. Te dwa systemy nie mogą się zmieszać ani „wzbogacać” nawzajem, ponieważ są diametralnie różne.

Gdyby chrześcijanie zostali przekonani do odrzucenia albo (co teoretycznie jest bardziej rozsądne) do zmiany swoich dogmatów w celu dostosowania się do wymagań coraz bardziej nowoczesnego czy „uniwersalnego" chrześcijaństwa, utraciliby wszystko, ponieważ to, co jest cenne dla chrześcijan, podobnie jak dla hinduistów, bezpośrednio wywodzi się z ich dogmatów. A hinduistyczne dogmaty są zupełnym zaprzeczeniem dogmatów chrześcijańskich. To prowadzi nas do zawrotnej konkluzji: To, co chrześcijanie uważają za zło, hinduiści uważają za dobro, i na odwrót: To, co hinduiści uważają za zło, chrześcijanie uważają za dobro.

Konflikt nie do pogodzenia zawiera się w tym, że najgorszy grzech dla chrześcijan dla hinduistów jest ostatecznym wypełnieniem dobra. Chrześcijanie zawsze uważali pychę za grzech główny – źródło wszystkich grzechów. Lucyfer jest archetypem pychy, kiedy stwierdza: Pod niebiosa się wzbiję, ponad gwiazdami Boga tron swój ustawię!... Wzniosę się nad chmury wysokie, do Najwyższego się stanę podobny! (Iz 14:13-14) Na niższym poziomie właśnie pycha potrafi nawet ludzkie cnoty przemienić w grzech. Ale ogólnie dla hinduistów, a dla Advaitin czy Vedanty w szczególności, jedynym „grzechem" jest niewiara w siebie i w ludzkość jako Boga. Nauka ta wyrażona słowami Swamiego Vivekanandy (który obecnie jest głównym obrońcą Vedanty) brzmi następująco: „Jeszcze nie rozumiesz Indii! My Hindusi przede wszystkim czcimy człowieka. Naszym

Bogiem jest Człowiek!” Doktryna mukti czy zbawienia zawiera się w tym, że „człowiek staje się bóstwem poprzez uświadomienie sobie boskości”.

Widać z tego, że dogmaty hinduizmu i chrześcijaństwa są nie do pogodzenia, przeciwstawiają się sobie nawzajem w kwestiach dotyczących natury Boga, natury człowieka i celu ludzkiej egzystencji.

Ale kiedy chrześcijanie zaczynają przyjmować hinduistyczną propagandę, że wcale nie ma między nimi żadnej toczącej się wojny, że różnice pomiędzy chrześcijaństwem a hinduizmem są powierzchowne i nierzeczywiste – wtedy idee hinduizmu łatwo opanowują dusze chrześcijan, wygrywając tę wojnę bez walki. Końcowy rezultat tej wojny jest naprawdę szokujący: fałszywa moc hinduizmu jest ogromna. W moim przypadku, pomimo podstawowych, zdrowych nauk, które otrzymałam w klasztorze, dwadzieścia lat trwania w hinduizmie zaprowadziło mnie niemalże do miłości zła. Przecież w Indiach „bóg” czczony jest również jako zło, pod postacią bogini Kali. Ale o tym powiem w następnym rozdziale poświęconym praktykom hinduistycznym.

Wszystko wali się w gruzy, kiedy zaczyna brakować chrześcijańskich dogmatów. Mówię to z własnego doświadczenia, ponieważ czciłam boginię Kali w Indiach oraz w tym kraju. A ten, kto jest szatanem, nie zna się na żartach. Jeżeli porzucacie Boga Żyjącego, Jego tron nie pozostaje pusty.

3. Hinduskie miejsca kultu i praktyki

W 1951 roku na Filipinach pracowałam w polu z łowcami głów. Interesowałam się prymitywnymi religiami – szczególnie z terenów nazywanych „niecywilizowanymi" – gdzie dotarło niewielu misjonarzy. Kiedy przyjechałam do Ifuago (jest to nazwa plemienia), nie wierzyłam w czarną magię; kiedy wyjeżdżałam, już wierzyłam. Kapłan Ifuago (munbaki), który miał na imię Talupa, stał się moim najlepszym przyjacielem i informatorem. Po pewnym czasie dowiedziałam się, że słynął on z powodu swoich umiejętności w czarnej sztuce. Zabrał mnie na baki, czyli ceremonię rytualnej magii, która miała miejsce prawie każdej nocy podczas żniw. Około tuzina kapłanów zebrało się w jednej chacie, gdzie spędzili noc na wywoływaniu bóstw i przodków, pijąc wino ryżowe i składając ofiary przed dwoma małymi wizerunkami nazywanymi bulol. Były one umazane krwią z kurczaków złapanych do naczynia, w którym używano ich do przepowiadania przyszłości, przed ofiarowaniem przed tymi wizerunkami. Kapłani badali krew, jej ilość, liczbę bąbelków oraz czas krzepnięcia; także kolor i ułożenie organów kurczaka zawierały w sobie jakieś informacje. Każdej nocy sumiennie robiłam notatki. Ale to był tylko początek. Nie będę wdawała się w szczegóły magii Ifuago; wystarczy powiedzieć, że zanim wyjechałam, widziałam wielkie mnóstwo i rozmaitość nadnaturalnych wydarzeń, których jakiekolwiek wytłumaczenie naukowe jest praktycznie niemożliwe. Gdybym wierzyła w cokolwiek, kiedy przyjechałam, to akurat magia miała według mnie całkowicie naturalne wytłumaczenie. Także, jeśli wolno mi to stwierdzić,

niełatwo było mnie czymś przestraszyć. Ale faktem jest, że opuściłam Ifuago ponieważ zobaczyłam, że ich rytuały nie tylko działają, ale również oddziaływały na mnie – przynajmniej dwa razy.

Wspominam to wszystko, żeby to, co mówię o praktykach hinduistycznych i ich miejscach kultu, nie wydawało się niewiarygodne i nie wydawało się jedynie wytworem „niedowarzonego umysłu".

Jedenaście lat po wydarzeniach w plemieniu Ifuago odbyłam pielgrzymkę do jaskini Amarnath głęboko w Himalajach. Tradycja hinduistyczna uważa tę jaskinię za najbardziej święte miejsce kultu Sziwy, miejsce, gdzie manifestuje on swoją obecność przed wiernymi i wyświadcza im dobrodziejstwa. Była to długa i uciążliwa podróż przez przełęcz Mahaguna na wysokości prawie 4 300 metrów nad poziomem morza oraz w poprzek lodowca; było więc dużo czasu po drodze na ciche uwielbianie Sziwy, szczególnie dlatego, że chłopak prowadzący jucznego konika nie znał angielskiego, a ja nie umiałam ani trochę po hindusku. Tym razem wierzyłam już, że bóg, którego adorowałam i o którym medytowałam przez wiele lat, może mi się teraz łaskawie objawić.

Wyobrażenie Sziwy w tej jaskini samo w sobie było już wielką osobliwością, była to lodowa figura utworzona przez kapiącą wodę. Przybywało jej i ubywało razem z fazami księżyca. Podczas pełni ta naturalna rzeźba sięgała sufitu – około czterech i pół metra – podczas nowiu znikała prawie zupełnie. Powiększała się i zmniejszała każdego

miesiąca. O ile wiem, nikt nie potrafi wyjaśnić tego zjawiska. Dotarłam do tej jaskini w pomyślnym momencie, kiedy rzeźba była w pełni. Chciałam szybko oddać cześć mojemu bogu zielonym orzechem kokosowym, kadzidłem, czerwonymi i białymi skrawkami ubrań, orzechami, rodzynkami i cukrem – wszystkimi przepisanymi rytuałem drobiazgami. Weszłam do jaskini ze łzami oddania. Trudno jest opisać to, co nastąpiło później. Miejsce zadrżało – dokładnie tak jak w chacie Infuago podczas ceremonii baki w pełnym pędzie. Byłam oszołomiona czując niewytłumaczalne zło tego miejsca. Wyszłam wymiotując, zanim kapłan skończył ofiarowanie moich darów tej wielkiej lodowej figurze.

Kiedy byłam w jaskini Sziwy, pękła złudna fasada hinduizmu, ale upłynął jeszcze jakiś czas, zanim całkiem się od niego uwolniłam. W międzyczasie szukałam czegoś, co podtrzymałoby walącą się strukturę pojęć i wierzeń, ale nic nie mogłam znaleźć. Gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że często wiemy, że coś jest naprawdę złe, na długo przed tym, kiedy rzeczywiście w to uwierzymy. Dotyczy to hinduskich „ćwiczeń duchowych", jak też tak zwanych „świętych miejsc".

Kiedy uczeń przechodzi „inicjację", otrzymuje od guru mantrę (osobistą magiczną formułę w sanskrycie) oraz określone praktyki religijne. Są one całkowicie ezoteryczne i są obecne w tradycji ustnej. Nie można znaleźć ich w druku i mało jest prawdopodobne, że uczeń dowie się czegoś o nich bliżej podczas inicjacji, z powodu ostrych sankcji wprowadzonych dla ochrony tych tajemnic. W praktyce guru zaprasza

swoich uczniów do udowodnienia filozofii hinduizmu poprzez własne doświadczenia. Problem w tym, że te ćwiczenia rzeczywiście przynoszą efekty. Uczeń może uzyskać nadnaturalne moce lub „siddhis". Są to duchowe umiejętności, jak na przykład czytanie myśli, moc uzdrawiania albo niszczenia, tworzenie przedmiotów, przepowiadanie przyszłości i tak dalej – cała gama śmiertelnie niebezpiecznych duchowych zabaw salonowych. Nieporównanie gorszą rzeczą jest trudny do odwrócenia upadek w stan zwiedzenia (prelest'), w którym bierze się złudzenie za rzeczywistość. Uczeń taki ma „duchowe doświadczenia" bezgranicznej słodyczy i pokoju. Ma wizje bóstw i światła (należy pamiętać, że sam Lucyfer może przyjmować postać anioła światłości). Mówiąc „złudzenie" nie mam na myśli, że nie doświadcza on tych wszystkich rzeczy; mam raczej na myśli to, że nie pochodzą one od Boga. Oczywiście każde doświadczenie posiada filozoficzną podbudowę, więc praktyka i filozofia podtrzymują się wzajemnie, a cały system mocno się utrwala.

Właściwie hinduizm nie jest zbytnio intelektualnym zajęciem, a raczej systemem praktyk, a te należą całkiem dosłownie – do czarnej magii. To znaczy, jeżeli zrobisz x, uzyskasz y; zwyczajny kontrakt. Jego warunki jednak nie są do końca czytelne, a adepci rzadko zadają pytanie, skąd biorą się te doświadczenia albo kto udziela im kredytu – pod postacią mocy albo „cudownych" doświadczeń. Jest to klasyczna sytuacja Fausta, ale lekarz nie zdaje sobie sprawy, że ceną może być jego nieśmiertelna dusza.

Istnieje ogromny wachlarz ćwiczeń, dostosowanych do wymagań różnych temperamentów. Wybrane bóstwo może mieć formę boga albo bogini; albo może być też bez formy – absolut, Brahman. Stosunek do wybranego idola także może być różny – można zająć miejsce dziecka, matki, ojca, przyjaciela, ukochanego, służącego albo, jak w przypadku Advaity Vedanty, tym „pokrewieństwem" jest identyczność. W czasie inicjacji guru daje swojemu uczniowi mantrę i to określa ścieżkę, którą podąży, oraz praktyki, które podejmie. Guru również narzuca uczniowi sposób prowadzenia codziennego życia. W Vedancie (czy w systemie monistycznym) samotni uczniowie nie powinni łączyć się w pary; wszystkie swoje energie mają kierować na sukces praktyki. Gorliwy uczeń nie powinien jeść mięsa, ponieważ mięso stępia ostrze przenikliwości duchowej. Guru uważany jest dosłownie za samego boga – jest on odkupicielem ucznia.

Zasadniczo większość „duchowych" ćwiczeń wywodzi się tylko z kilku podstawowych praktyk. Zróbmy pobieżny ich przegląd.

Po pierwsze mamy bałwochwalstwo. Może to być oddawanie czci wizerunkowi albo obrazkowi, z ofiarowaniem światła, kamfory, kadzidła, wody albo słodyczy. Wizerunek może być wachlowany ogonem jaka, kąpany, ubierany oraz kładziony do łóżka. Brzmi to bardzo dziecinnie, ale nieroztropnie jest nie doceniać doświadczeń psychicznych, które te czynności wywołują. Idolatria Vedanty przy pomocy wszystkich tych rytuałów przybiera formę samouwielbienia – zarówno wewnętrznego, jak

i zewnętrznego. Popularny aforyzm indyjski zawiera w sobie to samouwielbienie: „Jestem Nim, jestem Nim”.

Następnie jest Japa, czyli powtarzanie sanskryckiej mantry otrzymanej podczas inicjacji. W praktyce jest to śpiewanie magicznej formuły.

Pranajama są to ćwiczenia oddechowe praktykowane wraz z Japa. Są również inne praktyki, właściwe dla Tantry, kiedy uwielbiamy boga jako matkę, żeńską zasadę, moc, energię, zasadę ewolucji i działania. Odnoszą się one do pięciu Pań. Są one jawnie złe i mocno przyprawiające o mdłości, więc nie będę ich opisywać. One także znalazły się w naszym kraju. Swami Vivekananda przykazał praktykowanie tego rodzaju hinduizmu razem z Vedantą. Powiedział: „Oddaję cześć Okropności! Błędem jest utrzymywanie, że motywem postępowania wszystkich ludzi jest przyjemność. Mniej więcej tyle samo ludzi rodzi się, aby szukać bólu. Oddajmy cześć Przerażeniu dla Niego samego. Jakże niewielu ośmiela się wielbić Śmierć albo Kali! Oddajmy cześć Śmierci!” Inne słowa Swamiego na temat bogini Kali: „Są tacy, którzy naśmiewają się z istnienia bogini Kali. Mimo to jest Ona dzisiaj pomiędzy ludźmi. Oszaleli oni od lęku, a wojsko zostało wezwane do zadawania śmierci. Któż może powiedzieć, czy Bóg nie przejawia Siebie zarówno jako Zło, jak też i Dobro? Ale tylko hinduiści ośmielają się oddawać Mu cześć jako Złu”.5

Wielka szkoda, że ta praktyka, której celem jest wyłącznie zło, szerzona jest w mocnym przekonaniu, że jest dobra. Zbawienie, które na próżno

jest poszukiwane poprzez żmudne, samolubne praktyki hinduistyczne, może nastąpić tylko dzięki Bogu przez chrześcijańskie wyrzeczenie się samego siebie.

4. „Ewangelizowanie" Zachodu

W 1983 roku nieznany mnich hinduski pojawił się w Parlamencie Religii w Chicago. Był to Swami Vivekananda, którego już wspominałam. Wywarł on olbrzymie wrażenie na słuchaczach, zarówno z powodu swojego wyglądu – zawinięty w turban i odziany w pomarańczowe i karmazynowe szaty – a także tego, co powiedział. Od początku traktowany był jako ważna osobistość przez wyższe sfery Bostonu i Nowego Jorku. Filozofowie z Harvardu pozostawali pod jego bardzo wielkim wrażeniem. W niedługim czasie zebrał gromadkę wiernych uczniów, którzy wspierali go i jego wielce ambitne marzenie – „ewangelizację" świata zachodniego przez hinduizm, a bardziej dokładnie, przez hinduizm Vedanty (monistyczny). W wielkich miastach amerykańskich założono Towarzystwa Vedanty (Vedanta Societies), także w Europie. Ale te ośrodki to tylko część jego pracy. Dużo ważniejsze było wprowadzenie idei Vedanty do krwioobiegu myśli uniwersyteckiej. Celem było masowe ich upowszechnienie. Dla Vivekanandy nie miało znaczenia, czy hinduizm spotyka się z uznaniem, czy nie, dopóki przesłanie Vedanty nie dotarło do wszystkich. Przy wielu okazjach mówił: Pukajcie do każdych drzwi. Mówcie wszystkim, że są Bogami.

Dzisiaj fragmenty jego przekazu dotarły do nas w wydawnictwach, które można znaleźć w każdej księgarni – w książkach Aldousa Huxleya, Christopera Isherwooda, Somerseta Maughama, Teilharda de Chardin, a nawet Thomasa Mertona.

Zwłaszcza Thomas Merton stanowi duże zagrożenie dla chrześcijan, ponieważ przedstawia sam siebie jako kontemplacyjnego zakonnika chrześcijańskiego, a jego pisma zasadniczo wpłynęły na żywotny fundament katolicyzmu, na jego monastycyzm. Krótko przed śmiercią ojciec Merton napisał pełen uznania wstęp do nowego tłumaczenia Bhagavad Gity, która jest duchowym podręcznikiem, wręcz „Biblią" wszystkich hinduistów, jednym z kamieni węgielnych monizmu Advaity Vedanty. Trzeba wiedzieć, że Gita sprzeciwia się wszystkim najważniejszym naukom chrześcijańskim. Jego książka Mistrzowie zen, opublikowana już po jego śmierci, również warta jest odnotowania, ponieważ cała oparta jest na niebezpiecznym, błędnym założeniu, że wszystkie tak zwane „doświadczenia mistyczne" w każdej religii są prawdziwe. Powinien był wiedzieć lepiej. Ostrzeżenia przed takimi „doświadczeniami" są jasne i wyraźne, zarówno w Piśmie Świętym jak i u świętych Ojców.

Znam obecnie jeden klasztor katolicki w Kalifornii, gdzie zamknięci tam zakonnicy praktykują hinduistyczne ćwiczenia duchowe. Ich nauczycielem jest Hindus, który został księdzem katolickim. Jeżeli już grunt został

przygotowany, myślę, że takie rzeczy będą się zdarzać. Taki w końcu był cel przyjazdu Vivekanandy na Zachód – przygotowanie gruntu.

Vivekananda przekazał naukę Vedanty w dość prosty sposób. Wygląda ona na coś dużo poważniejszego niż jest w rzeczywistości z powodu skrycia za atrakcyjną fasadą fascynującego sanskryckiego żargonu oraz bardzo zawiłego systemu filozoficznego. Główny przekaz można streścić następująco – wszystkie religie są prawdziwe, ale Vedanta jest najwyższą prawdą. Różnice wynikają tylko z „poziomów prawdy". Vivekananda tłumaczył to następująco: „Człowiek nie wędruje od błędu do prawdy, ale wspina się wzwyż od prawdy do prawdy, od niżej położonej prawdy do prawdy wyższej. Dzisiejsza materia będzie duchem w przyszłości, dzisiejszy robak – jutro Bogiem". Cała Vedanta opiera się na tym, że człowiek jest Bogiem. Człowiekowi właściwie pozostaje tylko samemu zapracować na własne zbawienie. Vivekananda ujmuje to następująco: „Kto może pomóc Nieskończoności? Nawet dłoń, która wyłania się z ciemności, musi okazać się twoją własną".

Vivekananda był wystarczająco sprytny, aby wiedzieć, że czysta Vedanta będzie dla chrześcijan nie do przyjęcia, bez najmniejszej wątpliwości. Ale jego „poziomy prawdy" przygotowały pożyteczny most dla późniejszego doskonałego ekumenizmu, gdzie nie ma już nieporozumień, bo wszyscy mają rację. Swami nauczał tak: „Jeżeli jedna religia jest prawdą, to wszystkie inne też muszą być prawdziwe. A zatem wiara hinduizmu jest tak samo twoja jak i moja. My, Hindusi, nie tylko

tolerujemy, my łączymy się z każdą religią, modląc się w meczecie muzułmańskim, oddając cześć ogniowi Zaratustry, klęcząc przed krzyżem chrześcijan. Wiemy, że wszystkie religie w podobnym stopniu, od prymitywnego fetyszyzmu do najwyższego mistycyzmu, są tylko wieloma próbami uchwycenia ludzkiej duszy i zrealizowania Nieskończoności. Więc zbieramy wszystkie te kwiaty, wiążemy je razem wstążkami miłości, czyniąc z nich wspaniały bukiet uwielbienia".

A więc wszystkie religie są tylko krokami do ostatecznej religii, którą jest Advaita Vedanta. Szczególną pogardę żywił do chrześcijaństwa, które w najlepszym wypadku było „niższą prawdą" – prawdą dualistyczną. W prywatnych rozmowach mówił, że tylko tchórz może nadstawić drugi policzek. Ale cokolwiek mówił na temat innych religii, zawsze powracał do wyższości Advaity Vedanty. „Sztuka, nauka i religia", mówił, „są tylko trzema różnymi drogami wyrażania pojedynczej prawdy. Ale aby to zrozumieć, musimy poznać teorię Advaity".

Wielki wpływ hinduizmu na dzisiejszą młodzież jest niewątpliwy. Vedanta obiecuje każdej duszy doskonałą wolność do bycia sobą. Zaprzecza wszelkim różnicom między sacrum i profanum, są to tylko różne sposoby wyrażenia tej samej prawdy. Wyłącznym celem religii jest uwzględnianie potrzeb rożnych temperamentów; bóg oraz praktykowanie dostosowane jest do każdego człowieka. Słowem, religia jest „robieniem rzeczy po swojemu".

To wszystko może wydawać się bardzo przejaskrawione, jednak Vivekananda dokonał wielkiej rzeczy. Pokażę teraz, jaką popularność zyskały idee hinduistyczne zaszczepione w katolicyzmie, gdzie ich sukces jest najbardziej uderzający.

Swami Vivekananda pierwszy raz przybył do Ameryki w 1893 roku reprezentując w Parlamencie Religii hinduizm. W roku 1968 minęła siedemdziesiąta piąta rocznica tego wydarzenia, w związku z czym zorganizowano Sympozjum Religii pod auspicjami Towarzystwa Vedanty z Chicago. Katolicyzm reprezentowany był przez dominikanina, teologa z uniwersytetu De Paul, ojca Roberta Campbella. Swami Bhashyananda otworzył spotkanie odczytując przesłania dobrej woli od trzech bardzo ważnych osobistości. Drugą z nich był amerykański kardynał.

Ojciec Campbell rozpoczął sesję popołudniową wykładem na temat konfliktu między tradycjonalistami a modernistami we współczesnym katolicyzmie. Stwierdził: „Na moim własnym uniwersytecie badania postaw wśród katolickich studentów wykazały wielki zwrot ku poglądom liberalnym w ostatnich pięciu czy sześciu latach. Wiem, że wielki Swami Vivekananda sam popierałby większość trendów w kierunku liberalnego chrześcijaństwa”. Czego jednak ojciec Campbell najwidoczniej nie wiedział, to tego, że modernistyczne doktryny, które opisywał, nie były już w ogóle chrześcijańskie; były zwykłą i czystą Vedantą.

Żeby nie było żadnych wątpliwości i nieporozumień, zacytuję słowa ojca na temat modernistycznej interpretacji pięciu kwestii, tak jak pojawiły się w trzech międzynarodowych czasopismach: w Prabuddha Bharata wydawanej w Kalkucie, w Vedantya Kesheri wydawanej w Madrasie oraz Vedanta and the West wydawanej w Londynie.

O doktrynach: „Prawda jest rzeczą względną, doktryny i dogmaty (dotyczące natury Boga, zasad życia ludzkiego, i tego, co dzieje się po śmierci) nie są ustalone, zmieniają się, a my zbliżamy się już do punktu, w którym zaprzeczamy rzeczom, które dawniej uważaliśmy za objawione prawdy".

O Bogu: „Jezus jest boski, prawdziwy, ale każdy z nas może być boski. Ściśle rzecz biorąc, w bardzo wielu punktach, myślę że jest to zauważalne, poglądy liberalnego chrześcijaństwa przesuwają się w kierunku filozofii Wschodu, zarówno jeżeli chodzi o ideę bezosobowego Boga, jak i idei, że wszyscy jesteśmy bogami".

O grzechu pierworodnym: „To pojęcie jest bardzo odpychające dla liberalnego chrześcijaństwa, które twierdzi raczej, że człowieka można wciąż doskonalić poprzez ćwiczenia i odpowiednią edukację".

O świecie: „... Liberałowie twierdzą, że świat można naprawiać i że powinniśmy poświęcić się budowaniu bardziej humanitarnego społeczeństwa na ziemi zamiast usychać z tęsknoty za pójściem do nieba".

O innych religiach: „Liberalne grupy twierdzą: ‘Nie martwmy się o takie staroświeckie rzeczy jak nawracanie innych, itp., ale rozwijajmy nasze dobre kontakty z innymi religiami’”.

Tak przemawia ojciec Campbell do modernistycznych katolików. Moderniści zostali omamieni jak małe dzieci wspaniałomyślną ofertą poznania wyższej prawdy, głębszej filozofii oraz wielkiej wzniosłości, ale ofertę tę można przyjąć jedynie poprzez podporządkowanie żyjącego Chrystusa współczesnemu człowiekowi.

Widzimy tutaj spektakularny sukces hinduizmu lub Swami Vivekanandy, lub mocy stojącej za nim. Za jednym zamachem pozbył się Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Psy pasterskie wzięły złodziei za przyjaciół gospodarza; ich dom opustoszał na ich oczach. Złodziej powiedział: „Zawrzyjmy porozumienie międzywyznaniowe”, i prześlizgnął się przez bramę. Fortel był niesłychanie prosty. Hindusi-chrześcijanie mieli tylko interpretować filozofię Vedanty używając terminów chrześcijańskich. Ale chrześcijanie-hindusi (modernistyczni katolicy) musieli dokonać zmian w swojej religii, żeby włączyć do niej hinduizm. Następnie, obowiązkowo, prawda stała się błędem, a błąd prawdą. Niestety, niektórzy chcą zawlec nawet Cerkiew Prawosławną do tego wyludnionego domu. Jednak niech moderniści zapamiętają słowa proroka Izajasza: Biada tym, co zło nazywają dobrem, a dobro – złem; którzy ciemność uważają za światłość, a światło – za ciemność, którzy gorycz uważają za słodycz, a słodycz za

gorycz! Biada tym, którzy sami siebie uważają za mądrych i są rozsądni w swoich oczach! (Iz 5:20-21).

5. Cel hinduizmu – religia uniwersalna

Byłam zdumiona widząc wielką ekspansję hinduizmu podczas mojej nieobecności w Kościele. Może wydawać się to dziwne, ale zauważyłam wszystkie te zmiany natychmiast. Można to wytłumaczyć tym, że mój guru nadzorował każdą moją działalność, cały czas żyłam dosłownie jak w „klasztorze", nawet będąc w świecie. Surowe zakazy Swamiego trzymały mnie z daleka od czytania książek chrześcijańskich lub rozmawiania z chrześcijanami. Z powodu tych wszystkich swoich pretensjonalnych słów o tym, że wszystkie religie są prawdziwe, Swami wiedzieli, że Chrystus jest ich nieubłaganym Sędzią. Więc przez dwadzieścia lat byłam zupełnie pochłonięta studiowaniem wschodniej filozofii oraz praktykowaniem jej dyscyplin. Mój guru kazał mi osiągnąć stopień naukowy z filozofii i antropologii, ale to były tylko zajęcia uboczne, które wypełniały mi czas pomiędzy ważniejszymi pasjami mojego życia, czasem spędzonym z guru oraz na uczeniu się i praktykowaniu Vedanty.

Misja Swamiego Vivekanandy została wypełniona w wielu szczegółach, jednak zasadnicza jej część pozostała niezrealizowana. Jest nią ustanowienie Religii Uniwersalnej. W tym tkwi największe zwycięstwo diabła. Ponieważ Religia Uniwersalna nie będzie mogła zawierać żadnych „indywidualnych, sekciarskich" idei, nie będzie miała nic wspólnego z

chrześcijaństwem, oprócz pewnych wspólnych pojęć. Świat i cielesność to ogień w piecu utrapień, ale Religia Uniwersalna to całkowita pożoga chrześcijaństwa. Tak naprawdę jezuita Teilhard de Chardin już położył fundament „Nowego Chrześcijaństwa" dokładnie według wymagań Swamiego Vivekanandy dotyczących Religii Uniwersalnej.

Teilhard de Chardin to anomalia, ponieważ w odróżnieniu od tradycyjnych katolickich teologów jest ogromnie wysoko ceniony przez kler parający się nauką, który, wolę tak sądzić, prawdopodobnie nie ma najmniejszego pojęcia o czym on właściwie mówi, ponieważ myśli Teilharda są w dużym stopniu plagiatem z Vedanty i Tantry połączonych z chrześcijańsko brzmiącym żargonem mocno zakrapianym ewolucjonizmem.

Niech wolno mi będzie zacytować jeden przykład z jego pism: „Świat w którym żyję stał się boski. Jeszcze te płomienie mnie nie trawią, ani te wody nie rozpuszczają mnie; bo w odróżnieniu od fałszywych form monizmu, które narzucając bierność, powodowały naszą nieświadomość, pan-chrześcijaństwo którego szukam, określa końcowe zjednoczenie jako cel żmudnego procesu rozróżniania. Osiągnę ducha tylko przez całkowite i zupełne uwolnienie wszystkich mocy materii... Widzę, że podążając za przykładem wcielonego Boga objawionego mi przez wiarę katolicką, mogę być zbawiony wyłącznie przez połączenie się w jedność ze wszechświatem". Jest to ponad wszelką wątpliwość hinduizm. Są w nim zawarte małe kawałki większych całości, jest rozpoznawalny werset z

Upaniszad oraz fragmenty kilku systemów filozoficznych razem ze swoimi praktykami.

Na konferencji prasowej w czerwcu 1965 roku ojciec Arrupe, generał Towarzystwa Jezusowego, bronił Teilharda de Chardin przedstawiając go jako „nieprofesjonalnego teologa i filozofa, który prawdopodobnie nie był świadomy wszystkich filozoficznych i teologicznych implikacji, które przylgnęły do niektórych jego intuicji". Potem ojciec Arrupe chwalił go: „Ojciec Teilhard jest jednym z wielkich myślicieli naszych czasów, jego dorobek i znaczenie jest niewątpliwe. Podjął się przeprowadzenia właściwie tytanicznej próby pogodzenia świata nauki ze światem wiary". To pogodzenie zakończyło się powstaniem nowej religii. Wedle słów Teilharda: „Nowa religia będzie dokładnie tą samą co nasze stare chrześcijaństwo, ale napełnione zostanie ono nowym życiem płynącym z uzasadnionej ewolucji dogmatów, które zetknęły się z nowymi ideami". Po krótkim odmalowaniu tła spójrzmy na Uniwersalną Religię Vivekanandy oraz „nowe chrześcijaństwo" Teilharda.

Uniwersalna Religia zaproponowana przez Vivekanandę musi posiadać pięć cech. Po pierwsze, musi być naukowa. Zostanie zbudowana na prawach duchowych, w związku z tym będzie prawdziwą i naukową religią. W praktyce obaj, Vivekananda i Teilhard, używają teoretycznego scjentyzmu jako artykułu swojej wiary.

Po drugie, jej głównym założeniem jest ewolucja. Według słów Teilharda: „Dotychczas nieznana forma religii – której nikt nie mógł sobie wyobrazić ani opisać z powodu braku wystarczająco wielkiego i usystematyzowanego wszechświata, aby mógł ją pomieścić – rozrasta się w ludzkich sercach z ziarna zasianego przez ideę ewolucji". I znowu: „Grzech pierworodny... wiąże nas, ręce i nogi i toczy z nas krew ponieważ, tak jak jest to teraz rozumiane, reprezentuje relikt statycznych koncepcji, które są już anachronizmem w naszym ewolucyjnym systemie myślenia". Ta pseudoreligijna koncepcja „ewolucji", świadomie odrzucona przez myśl chrześcijańską, pozostawała fundamentem myśli hinduistycznej od wieków; opierała się na niej każda hinduska praktyka religijna.

Po trzecie, Religia Uniwersalna nie będzie budowana wokół żadnej konkretnej osoby, ale zostanie założona na „wiecznych zasadach". Teilhard daleko już zabrnął na drodze do boga bezosobowego, kiedy pisze: „Chrystus staje się coraz bardziej niezastąpiony dla mnie... ale równocześnie postać historycznego Chrystusa staje się coraz mniej cielesna i wyraźna". „... Moje poglądy o nim bez ustanku prowadzą mnie dalej i wyżej wzdłuż linii (mam nadzieję) ortodoksji". Przykro stwierdzić, ale ten ahistoryczny duch „Chrystusa" nie należy do ortodoksji chrześcijańskiej, ale do hinduizmu.

Po czwarte, głównym celem Religii Uniwersalnej będzie zaspokojenie potrzeb duchowych różnorodnych ludzi. Indywidualistyczne, sekciarskie religie nie mogą tego oferować. Teilhard uważał, że chrześcijaństwo nie

spełnia wszystkich religijnych aspiracji. Zawarł swoje niezadowolenie w słowach: „Chrześcijaństwo jest wciąż do pewnego stopnia schronieniem, ale już nie obejmuje, nie satysfakcjonuje, i nawet nie prowadzi współczesnych dusz dalej”.

Po piąte i ostatnie, przy pomocy Religii Uniwersalnej (czy też nowego chrześcijaństwa) wszyscy kierujemy się na drogę wiodącą do tego samego przeznaczenia. Dla Teilharda de Chardin jest nim punkt Omega, który należy do czegoś ponad wszelkim wyobrażeniem. Dla Vivekanandy jest nim Om, święta zgłoska hinduistyczna: „Cała ludzkość zbiegnie się do stóp tego świętego miejsca, gdzie znajduje się symbol, który nie jest symbolem, imię ponad wszelki dźwięk”.

Jaki będzie koniec tej deformacji chrześcijaństwa i tryumfu hinduizmu? Czy będziemy mieli Om, czy też Omegę?

III. „Cud" fakira a modlitwa Jezusowa

Archimandryta Mikołaj Drobjazgin

Autor niniejszego świadectwa, nowy męczennik komunistycznego terroru, cieszył się błyskotliwą karierą morskiego dowódcy, równocześnie będąc głęboko zaangażowanym w okultyzm jako wydawca okultystycznego czasopisma Rebus. Uratowany od pewnej śmierci na morzu przez cud dokonany przez św. Serafina, odbył pielgrzymkę do Sarowa i wyrzekł się tam światowej kariery oraz odrzucił więzy okultyzmu stając się mnichem. Po wyświęceniu na kapłana służył jako misjonarz w Chinach, Indiach i Tybecie, jako kapłan w wielu cerkwiach przy ambasadach, także jako przełożony wielu monasterów. Po roku 1914 osiadł w Ławrze Kijewo-Pieczerskiej, gdzie rozprawiał z odwiedzającymi go młodymi ludźmi o wpływach okultyzmu na współczesne wydarzenia w Rosji. Jesienią 1924 roku, miesiąc po wizycie pewnego pana Tucholks, autora książki Czarna magia, został zamordowany w swojej celi przez „nieznanych sprawców", z oczywistym przyzwoleniem bolszewików, zasztyletowany nożem ze specjalną rączką o wyraźniej symbolice okultystycznej.

Opisany tutaj incydent, odsłaniający naturę jednego z „darów" mediumistycznych, powszechnych w religiach wschodu, miał miejsce tuż przed rokiem 1900, a został opisany około 1922 roku przez dr A. P.

Timofiewicz z Nowo-Diwiejewskiego monasteru, Nowy Jork (tekst rosyjski w Orthodox Life, 1956 r., nr 1).

Podczas zadziwiającego, wczesnego tropikalnego poranka nasz statek pruł wody Oceanu Indyjskiego zbliżając się do Cejlonu. Pełne życia twarze pasażerów, w większości Anglików z rodzinami, którzy podróżowali do swoich placówek albo w interesach przez swoją indyjską kolonię, uważnie patrzyły w przestrzeń wypatrując zaczarowanej wyspy, która dla większości z nich od dzieciństwa związana była z wieloma bardzo interesującymi i tajemniczymi opowiadaniami i opisami podróżników.

Wyspa wciąż była ledwo widoczna, kiedy już wspaniały, upajający zapach drzew rosnących na niej wraz z lekką bryzą coraz bardziej otaczał statek. W końcu coś na kształt niebieskiego obłoku pojawiło się na horyzoncie, powiększając się w miarę jak statek szybko się zbliżał. Powoli można było rozróżnić budynki porozrzucane wzdłuż wybrzeża, ukryte w świeżości majestatycznych palm, oraz wielobarwny tłum mieszkańców oczekujących przybycia statku. Pasażerowie, którzy dawno zdążyli poznać się ze sobą podczas podróży, śmiali się i żywo rozmawiali ze sobą na pokładzie, podziwiając wspaniały krajobraz baśniowej wyspy jaki roztaczał się przed ich oczami. Statek obrócił się powoli, przygotowując się do cumowania do nadbrzeża portowego miasta Colombo.

Podczas postoju statek miał wziąć zapas węgla, więc podróżnicy mieli dość dużo czasu aby wyjść na brzeg. Dzień był tak upalny, że wielu zdecydowało się pozostać na statku aż do wieczora, kiedy to żar dnia zastąpiony będzie przyjemnym chłodem. Mała grupka ośmiu ludzi, do której się przyłączyłem, prowadzona była przez pułkownika Elliota, który wcześniej bywał w Colombo i znał dobrze miasto i okolice. Przedstawił kuszącą propozycję. „Panie i panowie! Czy nie zechcielibyście przejść się parę mil poza miasto i złożyć wizytę jednemu z tutejszych magików-fakirów? Może zobaczymy coś interesującego”. Propozycja pułkownika została przyjęta entuzjastycznie.

Zapadał już wieczór kiedy opuściliśmy hałaśliwe ulice miasta i wkroczyliśmy na cudowną drogę w dżungli, która migotała tysiącami iskier świetlików. W końcu droga nagle się rozszerzyła i przed nami ukazała się mała polana ze wszystkich stron otoczona dżunglą. Na skraju tej polany pod wielkim drzewem stało coś w rodzaju chatki, obok której tliło się małe ognisko, a chudy, wysuszony staruszek z turbanem na głowie siedział ze skrzyżowanymi nogami i wzrokiem utkwionym nieruchomo w ogień. Mimo naszego hałaśliwego zachowania staruszek nadal siedział całkowicie bez ruchu, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Skądś z mroku wyszedł jakiś młodzieniec, podszedł do pułkownika i zapytał o coś cicho. Po chwili przyniósł kilka taboretów i grupa nasza zasiadła w półkolu wokół ogniska. Pojawiło się światło i pachnący dym. Staruszek wciąż nie zmieniał pozycji i najwyraźniej nie zauważał nikogo ani niczego. Wzeszedł księżyc i trochę rozjaśnił mrok nocy, w jego upiornym świetle wszystkie przedmioty

przyjęły niesamowite kontury. Mimowolnie wszyscy zamilkli w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

„Patrzcie! Patrzcie tam na to drzewo!” Miss Mary zawołała podekscytowanym szeptem. Wszyscy zwróciliśmy nasz wzrok we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, cała powierzchnia ogromnej korony drzewa pod którym siedział fakir zaczęła jakby delikatnie płynąć w łagodnym świetle księżyca, a samo drzewo zaczęło stopniowo topnieć i gubić swoje kontury; dosłownie jakby jakaś niewidoczna ręka zarzuciła na nie przestronną woalkę, która z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej realna. Wkrótce przed naszymi zdumionymi oczami pojawiła się całkowicie wyraźnie falująca powierzchnia morza. Z cichym pluskiem przelewały się fale z białymi czapkami piany; jasne obłoki płynęły po niebie, które stało się błękitne. Oszołomieni nie mogliśmy oderwać oczu od tych zachwycających obrazów.

Nagle w oddali pojawił się biały statek. Gęsty dym wydobywał się z dwóch wielkich kominów. Statek szybko zbliżył się do nas prując fale. Ku naszemu ogromnemu zdumieniu rozpoznaliśmy nasz statek, na którym przypłynęliśmy do Colombo! Szept przeszedł wzdłuż naszego szeregu, kiedy przeczytaliśmy napis na rufie, wykonane ze złotych liter imię naszego statku, Luisa. Ale tym, co zdumiało nas najbardziej, było to, co zobaczyliśmy na statku – nas samych! Nie zapomnijcie, że w tym czasie kiedy to się wydarzyło nikomu jeszcze nie śniło się nawet o kinematografii, niemożliwością było nawet wyobrazić sobie coś podobnego. Każdy z nas

widział siebie na pokładzie statku między śmiejącymi się i rozmawiającymi ze sobą ludźmi. Szczególnie zdumiewające było to, że widziałem nie tylko siebie, ale w tym samym czasie cały pokład statku aż do najdrobniejszego szczegółu, jakby z lotu ptaka – co naturalnie nie mogło zdarzyć się w rzeczywistości. W tym samym momencie widziałem siebie między innymi pasażerami, marynarzy pracujących na drugim końcu statku i kapitana w swojej kajucie a nawet naszą małpkę Nelly, ulubienicę wszystkich, zjadającą banany na głównym maszcie. Wszyscy moi towarzysze w tym samym czasie, każdy po swojemu, byli ogromnie podekscytowani tym widowiskiem, wyrażając swoje emocje poprzez ciche okrzyki i podniecone szepty.

Całkowicie wtedy zapomniałem, że jestem mnichem i kapłanem, a wydaje się, że nie miałem żadnego powodu, aby uczestniczyć w takim spektaklu. Zaklęcie było tak silne, że mój umysł i serce pozostawały ciche. Lecz moje serce nagle zaczęło boleśnie bić pełne niepokoju. Raptownie stanąłem jakby obok siebie. Strach sparaliżował mnie całego.

Moje usta zaczęły poruszać się i mówić: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym!” Natychmiast poczułem wracające życie. To było tak, jakby jakieś tajemnicze łańcuchy oplatające mnie nagle odpadły. Modliłem się coraz bardziej skoncentrowany i dzięki temu powrócił spokój duszy. Patrzyłem wciąż na drzewo i nagle, jakby ścigany wiatrem, obraz zachmurzył się i zaczął się rozpraszać. Widziałem już wyłącznie wielkie drzewo oświetlone światłem księżyca oraz tak samo

siedzącego w ciszy fakira koło ogniska, podczas gdy moi towarzysze wciąż wyrażali swój zachwyt tym, czego doświadczali patrząc na obrazy, które dla nich wcale nie zniknęły.

Ale wtedy coś najwyraźniej stało się z fakirem. Zatoczył się w bok. Młodzieniec podbiegł zaniepokojony. Nagle cały seans został przerwany.

Głęboko poruszeni tym czego doświadczyli, widzowie powstali żywo wymieniając wrażenia i nie wiedząc wcale dlaczego przedstawienie zostało tak nagle i nieoczekiwanie ucięte. Młodzieniec tłumaczył to wyczerpaniem fakira, który siedział jak przedtem, z głową pochyloną, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecnych.

Szczodrze wynagradzając fakira poprzez młodzieńca za sposobność uczestnictwa w tak wspaniałym widowisku, nasza grupa wyruszyła razem w drogę powrotną na statek. Kiedy wyruszaliśmy, mimowolnie obejrzałem się jeszcze raz, żeby dobrze zapamiętać całą scenerię, i nagle – wzdrygnąłem się z powodu nieprzyjemnego uczucia. Mój wzrok spotkał się ze wzrokiem fakira, który był pełny nienawiści. Trwało to krótką chwilę, potem znowu przybrał swoją charakterystyczną pozycję; ale to spojrzenie raz na zawsze otworzyło mi oczy i uświadomiło mi czyja moc uczyniła ten „cud”.

Wschodnia „duchowość” bez wątpienia nie ogranicza się do takich mediumistycznych „trików” jak praktykowany przez tego fakira; zobaczymy kilka ich bardziej otwartych przejawów w następnym rozdziale. Jednak cała moc otrzymywana przez praktykujących wschodnie religie pochodzi od tego samego zjawiska mediumizmu, którego główną cechą jest bierność wobec „duchowej” rzeczywistości, która pozwala na uzyskanie kontaktu z „bogami” religii niechrześcijańskich. To zjawisko jest widoczne we wschodnich „medytacjach” (nawet jeżeli dajemy jej przymiotnik „chrześcijańska”), a nawet w tych dziwnych „darach”, które w dzisiejszych czasach upadku duchowego nazywane są „charyzmatycznymi...”

IV. Wschodnie medytacje opanowują chrześcijaństwo

Jako odpowiedź na pytanie o możliwość „dialogu" Prawosławia z różnymi religiami niechrześcijańskimi przedstawiono czytelnikowi świadectwa trzech prawosławnych chrześcijan, którzy potwierdzają, na podstawie nauki Prawosławia i własnych doświadczeń, to, co zawsze Cerkiew Prawosławna głosiła, że prawosławni chrześcijanie nie mają „tego samego Boga" co tak zwane „religie monoteistyczne", które zaprzeczają Trójcy Świętej; że bogowie pogańscy są w rzeczywistości demonami, i że doświadczenia i moce, które pogańscy „bogowie" mogą i faktycznie ujawniają są demonicznej natury. To wszystko doskonale zgadza się ze słowami św. Piotra, że Bóg nie gardzi żadnym człowiekiem, ale w każdym narodzie miły Mu jest ten, kto jest bogobojny i prawy (Dz 10:34), albo ze słowami św. Pawła, że w minionych wiekach pozwolił On wszystkim narodom chodzić własnymi drogami, nie przestając jednak dawać świadectwa o sobie i udzielać dobrodziejstw; zsyłał bowiem deszcz z nieba w czasie urodzaju, dawał pokarm i radość sercom waszym (Dz 14:17-18). Ci którzy żyli w niewoli szatana, władcy tego świata (J 12:31), w ciemnościach nieoświetlonych Ewangelią – są osądzeni w świetle tego Bożego naturalnego prawa, które może posiadać każdy, pomimo niewoli.

Jednak dla chrześcijan, którzy otrzymali Boże Objawienie, nie jest możliwy żaden „dialog" z ludźmi pozostającymi na zewnątrz Wiary. Nie wprzęgajcie się w jedno jarzmo z niewierzącymi. Co ma bowiem wspólnego sprawiedliwość z nieprawością? Albo co ma wspólnego światło

z ciemnością? Czy może istnieć harmonia pomiędzy Chrystusem a Belialem? Co ma wspólnego wierzący z niewierzącym? Co łączy świątynię Boga z bożkami?... Przeto wyjdźcie spośród pogan i odłączcie się od nich (2 Kor 6:14-17). Chrześcijańskie wezwanie przynosi im światło Prawosławia, podobnie jak św. Piotr powołał dom bojącego się Boga centuriona Korneliusza (Dz 10:34-48), aby rozświetlić ich ciemności i przyłączyć ich do wybranego stada Cerkwi Chrystusowej.

Wszystko to jest dość oczywiste dla prawosławnych chrześcijan, którzy są świadomi i wierni Prawdzie Bożego Objawienia w Cerkwi Chrystusa. Ale wielu uważających siebie za chrześcijan nie ma w sobie tej odrobiny świadomości dotyczącej zasadniczej różnicy pomiędzy chrześcijaństwem a wszystkimi innymi religiami; a wielu tym, którzy może mają tę świadomość, brakuje doświadczenia w dziedzinie „duchowych przeżyć" – doświadczenia, które było praktykowane i zostało zapisane w pismach patrystycznych oraz żywotach świętych od niemal dwóch tysięcy lat.

Przy braku takiej świadomości i doświadczenia, wzrastająca obecność ruchów wschodnich religii na Zachodzie, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, spowodowała wielki zamęt w umysłach wielu potencjalnych chrześcijan. Natychmiast przychodzi na myśl przypadek Thomasa Mertona, który po szczerym przyjęciu katolicyzmu oraz katolickiego monastycyzmu jakieś 40 lat temu (na długo przed radykalnymi reformami Soboru Watykańskiego II), zakończył swój żywot ogłaszając jedność religijnych doświadczeń chrześcijańskich z

doświadczeniami buddyzmu zen oraz innych pogańskich religii. Coś „zawisło w powietrzu" podczas tej ostatniej dekady lub dwóch, coś co podkopało pozostałości zdrowego chrześcijańskiego światopoglądu w protestantyzmie i katolicyzmie, a teraz atakuje samą Cerkiew, Święte Prawosławie. „Dialog z religiami niechrześcijańskimi" jest raczej rezultatem niż przyczyną tego nowego „ducha".

W tym rozdziale zbadamy kilka z ruchów wywodzących się ze wschodnich religii, bardzo wpływowych w latach 70., ze specjalnym zwróceniem uwagi na próby utworzenia synkretyzmu religijnego z włączeniem chrześcijaństwa, szczególnie w dziedzinie „przeżyć duchowych". W tego typu próbach nagminnie cytuje się Filokalia oraz prawosławną tradycję modlitwy kontemplacyjnej jako daleko bardziej przypominającą wschodnie praktyki duchowe niż wszystko inne na Zachodzie; najwyższy czas aby wyraźnie podkreślić wielką przepaść pomiędzy chrześcijaństwem i niechrześcijańskimi „duchowymi przeżyciami" oraz wyjaśnić, dlaczego religijna filozofia na której opiera się ten nowy synkretyzm jest fałszywa i niebezpieczna.

1. „Chrześcijańska joga"

Hinduistyczna joga znana była na Zachodzie od wielu lat, szczególnie w Ameryce dała impuls do powstania nieprzeliczonych kultów, a także wielu popularnych form terapii fizycznej, która wydaje się nie mieć nic wspólnego z religią. Około dwadzieścia lat temu francuski benedyktyn

napisał książkę6 o swoich doświadczeniach w uprawiania jogi jako praktyki chrześcijańskiej; z niej właśnie pochodzi niżej zamieszczony opis.

Joga jest dyscypliną, która zakłada raczej wstrzemięźliwe, zdyscyplinowane życie, składa się na nią kontrolowanie oddechu i pewne fizyczne postawy, które wywołują stan relaksacji w którym można medytować, zazwyczaj z pomocą mantry albo świętej formuły, która pomaga w koncentracji. Istotą jogi nie jest dyscyplina sama w sobie, ale medytacja która jest jej wypełnieniem. Ma rację autor, gdy pisze: „Joga ma cel duchowy. Równoznaczne ze zdradą jest zapominanie o tym i utrzymywanie tylko czysto fizycznej strony tej starożytnej praktyki, dostrzeganie w niej wyłącznie środków do uzyskania cielesnego zdrowia lub piękności" (str. 54). Trzeba koniecznie dodać, że człowiek ćwiczący jogę tylko dla fizycznego dobrego samopoczucia, już zaprzedał się pewnym duchowym stanom, czy nawet doświadczeniom, których bez wątpienia jest nieświadomy; będzie o tym mowa poniżej.

Ten sam autor pisze dalej: „Sztuka jogi to umieszczenie się w kompletnej ciszy, oczyszczenie się z wszystkich myśli i iluzji, pozbycie się i zapomnienie wszystkiego oprócz jednej idei: prawdziwe moje „ja" jest boskie, tylko Bóg a cała reszta to milczenie" (str. 63).

Ta idea, oczywiście, nie jest chrześcijańska tylko pogańska, ale celem „chrześcijańskiej jogi" jest praktykowanie jogi dla innego duchowego celu – dla „chrześcijańskiej" medytacji. Zgodnie z tym podejściem celem

technik jogi jest uzyskanie relaksu, zadowolenia, wyciszenia myśli, bierności lub otwartości na duchowe wyobrażenia i eksperymenty. „Jak tylko przyjmiesz odpowiednią pozycję poczujesz się zrelaksowany i zagości w tobie wspaniałe poczucie szczęścia” (str. 158). Ćwiczenia powodują „niezwykłe poczucie spokoju” (str. 6). „Na początku mamy poczucie wielkiego odprężenia, opanowuje nas wspaniały nastrój, euforia która będzie trwać i trwać. Jeśli ktoś jest spięty lub wyczerpany nerwowo ćwiczenia uspokoją go i zmęczenie w krótkim czasie ustąpi” (str. 49). „Celem wszystkich tych wysiłków (ćwiczeń jogi) jest wyciszenie myślącego, wewnętrznego „ja” przez zamknięcie oczu na wszelkiego rodzaju podniety” (str. 55). Euforia, którą wyzwala joga „może być z powodzeniem nazwana ‘stanem zdrowia’, który pozwala nam robić więcej i lepiej, zaczynając od wymiaru ludzkiego, kończąc na chrześcijańskim wymiarze religijnym. Najbardziej odpowiednie słowa opisujące ten stan to zadowolenie, które opanowuje twoje ciało i duszę i usposabia nas... do życia duchowego” (str. 31). Cała osobowość może dzięki temu ulec zmianie. „Hatha joga dobrze wpływa na charakter. Pewien człowiek już po kilku tygodniach ćwiczeń przyznał, że siebie nie poznaje, i każdy widzi zmianę w jego sposobie bycia i reakcjach. Jest delikatniejszy i bardziej wyrozumiały. Stawia czoła doświadczeniom spokojnie. Jest zadowolony... Cała jego osobowość zmieniła się i sam odczuwa ją jako mocną i otwartą; stąd bierze się prawie nieustający stan euforii, zadowolenia” (str. 50).

Ale to wszystko jest dopiero przygotowaniem do celu „duchowego”, który zaczyna być odczuwany już w bardzo krótkim czasie: „Moja

modlitwa stała się kontemplacyjna, w ciągu kilku tygodni otrzymała ona szczególny i nowatorski charakter" (str. 7). Widząc w sobie niezwykły spokój autor zauważa „łatwość w przystępowaniu do modlitwy, w koncentracji na jakimś temacie" (str. 6). Człowiek staje się „bardziej otwarty na nagłe natchnienia i zachęty z niebios" (str. 13). „Praktykowanie jogi przyczynia się do wzrostu elastyczności i otwartości, powoduje również szczerość wewnętrznego dialogu pomiędzy Bogiem i duszą, co jest cechą życia mistycznego" (str. 31). Nawet dla „adeptów jogi" modlitwa staje się „słodka" i „obejmuje całego człowieka" (str. 183). Człowiek jest zrelaksowany i „gotowy zadrżeć pod dotykiem Ducha Świętego, aby otrzymać i przyjąć to, co Bóg w swojej dobroci zamyśli odpowiedniego dla naszego doświadczenia" (str. 71). „Powinniśmy zawsze być gotowi na nagłe zabranie nas, na owładnięcie – i jest to z pewnością jedna z form chrześcijańskiej kontemplacji, w rzeczywistości najwyższa" (str. 72). „Każdy dzień ćwiczeń, faktycznie cała dyscyplina ascetyczna mojej jogi sprawia, że łasce Chrystusa łatwiej jest spłynąć na mnie. Czuję rosnący głód Boga i pragnienie prawości, oraz pożądanie aby być chrześcijaninem w pełnym znaczeniu tego słowa" (str. 11).

Każdy kto rozumie naturę szatańskich oszustw (prelest') czy duchowego zwodzenia, rozpozna w tym opisie „chrześcijańskiej jogi" dokładny opis ludzi, którzy zeszli na duchowe manowce, czyli do pogańskich doświadczeń religijnych, czy też doświadczeń w sektach „chrześcijańskich". Występuje tutaj to samo dążenie do „świętych i boskich odczuć", to samo otwarcie i gotowość na bycie „owładniętym"

przez ducha, to samo poszukiwanie nie Boga ale „duchowych pocieszeń”, to samo odurzanie się, mylnie brane za „stan łaski”, ta sama nieprawdopodobna łatwość z jaką stajemy się „kontemplacyjni” czy też „mistyczni”, te same „mistyczne objawienia” i pseudo-duchowe uniesienia. Są to wspólne cechy wszystkich, którzy popadli w tego rodzaju formy duchowych zwodzeń. Ale autor Chrześcijańskiej jogi będąc benedyktyńskim mnichem dodaje trochę specyficznych „medytacji”, które zdradzają wielki wpływ katolickich „medytacji” ostatnich wieków, z ich wolną grą fantazji na różne pobożne tematy. Tak więc, na przykład medytując na temat mszy Bożonarodzeniowej, autor zaczyna widzieć Dziecię w ramionach Swojej Matki: „Wpatruję się; to wszystko. Obrazy, myśli (związki myślowe: Zbawiciel – Król – Światło – Aureola – Pasterz – Dziecko – znowu Światło) pojawiają się jedne po drugich, przechodzą obok... Wszystkie te kawałki są świętą układanką, zebrane razem budzą jedną myśl we mnie... cichą wizję całej tajemnicy Bożego Narodzenia” (str. 161-162). Każdy, kto chociaż trochę poznał dyscyplinę duchową Prawosławia łatwo dostrzeże, że ta żałosna „chrześcijańska joga” wpadła prosto w pułapkę zastawioną przez jednego z pośledniejszych demonów, który czai się na poszukujących „duchowych doświadczeń”; nawet bez uciekania się do wizji „anioła światłości”. Ludzie ci dają wyłącznie upust własnym „religijnym skłonnościom”, wytworom swoich serc i umysłów, całkowicie nieprzygotowanych na duchowe zmagania czy zwodzenia demoniczne. „Medytacje” takie są dzisiaj praktykowane w licznych katolickich zakonach i klasztorach.

Fakt, że książka kończy się artykułem francuskiego tłumacza Filokalii, razem z fragmentami Filokalii, pokazuje tylko otchłań dzielącą tych dyletantów od prawdziwej duchowości prawosławnej, która jest całkowicie niedostępna dla współczesnych „mędrców", którzy już dawno przestali rozumieć jej język. Wystarczającym dowodem niekompetencji autora w rozumieniu Filokalii jest fakt, że nazywa on „modlitwą serca" (która w tradycji Prawosławia jest najwyższą formą modlitwy umysłu, którą osiągnęło bardzo niewielu, wyłącznie po wielu latach zmagań ascetycznych, pozostając w pokorze wobec prawdziwych, noszących Boga starców) prosty trik polegający na recytowaniu poszczególnych sylab w rytm uderzeń serca (str. 196).

Niebezpieczeństwa „chrześcijańskiej jogi" bardziej gruntownie omówimy dalej, kiedy zobaczymy wspólne elementy łączące ją z innymi formami „wschodnich medytacji", które są obecnie podsuwane chrześcijanom.

2. „Chrześcijański zen"

Wschodnia praktyka religijna na bardziej popularnym poziomie prezentowana jest w książce irlandzkiego katolickiego księdza Williama Johnstona Chrześcijański zen7 . Autor zaczyna od tego samego punktu co autor Chrześcijańskiej jogi, od uczucia niezadowolenia z chrześcijaństwa zachodniego, pragnienia nadania mu wymiaru kontemplacyjnego i medytacyjnego. „Wielu ludzi rozczarowanych starymi formami modlitwy,

niezadowolonych ze starej pobożności, która niegdyś wystarczała w zupełności, poszukuje czegoś, co zadowoli aspiracje ich współczesnych serc" (str. 9). „Kontakt z zenem... otworzył przede mną nowe perspektywy, ukazujące ogromne możliwości tkwiące w chrześcijaństwie, o których wcześniej nawet nie śniłem". Każdy może „praktykować zen jako drogę do pogłębiania i poszerzania swojej chrześcijańskiej wiary" (str. 2).

Praktyka japońskiego zenu jest bardzo podobna do hinduskiej jogi, od której zresztą pochodzi, chociaż jest dużo prostsza. Obowiązuje tam ta sama podstawowa pozycja (ale bez rozmaitych odmian tak jak w jodze), techniki oddychania, powtarzanie świętego imienia jeśli ktoś chce, jak również inne techniki, charakterystyczne dla zenu. Cel tych praktyk jest taki sam jak w jodze, pozbycie się racjonalnego myślenia i osiągnięcie stanu spokojnej, cichej medytacji. Pozycja siedząca „utrudnia dyskursywne rozumowanie i myślenie" i pozwala zejść „w dół do centrum jestestwa w bezwyobrażeniowej i cichej kontemplacji" (str. 5), do „głębokiej i pięknej sfery życia psychicznego (str. 17), do „głębokiego wnętrza ciszy" (str. 16). Doświadczenia osiągnięte w ten sposób są w pewnym stopniu podobne do występujących po zażyciu narkotyków, gdyż „ludzie, którzy zażywali narkotyki trochę rozumieją zen, ponieważ uświadomili sobie istnienie w ich psychice głębi, która warta jest zbadania" (str. 35). W dodatku te doświadczenia otwierają „nowe podejście do Chrystusa, podejście mniej dualistyczne i bardziej orientalne" (str. 48). Nawet absolutni nowicjusze w zenie mogą osiągnąć „uczucie jedności i klimat nadprzyrodzonej

obecności” (str. 31), posmak „mistycznej ciszy” (str. 30); poprzez zen, stan kontemplacji dotychczas ograniczony do kilku „mistyków” może być „poszerzony” i „każdy może mieć wizje, każdy może osiągnąć samadhi (oświecenie)” (str. 46).

Autor Chrześcijańskiego zenu mówi o odnowie chrześcijaństwa, ale przyznaje, że doświadczenia, które według niego mogą do tego doprowadzić, mogą być udziałem każdego, zarówno chrześcijanina, jak i niechrześcijanina. „Wierzę, że istnieje jedno podstawowe oświecenie, które nie jest ani buddyjskie, ani chrześcijańskie, czy też jakiekolwiek inne. Jest po prostu ludzkie” (str. 97). Rzeczywiście, podczas spotkania dotyczącego medytacji w świątyni zen niedaleko Kioto „zaskakujący był brak jakiejś wspólnej wiary. Nikt w najmniejszym stopniu nie wydawał się być zainteresowany tym, w co wierzą, czy też nie wierzą inni, i nikt, o ile pamiętam, nie wspomniał nawet imienia Boga” (str. 69). Ten agnostyczny charakter medytacji jest wielką zaletą dla celów „misyjnych”, ponieważ „w ten sposób można było uczyć medytacji ludzi małej wiary – tych, którzy mają problemy z powodu sumienia lub boją się, że ich Bóg umarł. Tacy ludzie zawsze mogą usiąść i oddychać. Dla nich medytacja staje się poszukiwaniem, i odkrywaniem... że ludzie, którzy zaczęli szukać w ten sposób, mogą ostatecznie odnaleźć Boga. Nie antropomorficznego Boga, którego odrzucili, ale potężny byt w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (str. 70).

Opisane przez autora doświadczenie „oświecenia” ujawnia swoją zasadniczą tożsamość z „kosmicznymi” doświadczeniami szamanizmu i wielu religii pogańskich. „Osobiście wierzę, że wewnątrz nas są zamknięte potoki i rzeki radości, które mogą być uwolnione w medytacji – czasami wypływają one z niebywałą siłą, zatapiając osobowość w niezwykłym szczęściu, które pochodzi nie wiadomo skąd” (str. 88). Interesujące, że autor po powrocie do Ameryki po dwudziestoletnim pobycie w Japonii odkrył, że doświadczenie to jest bardzo bliskie doświadczeniu „zejścia Ducha Świętego”; sam otrzymał „chrzest w Duchu Świętym” podczas spotkania „charyzmatycznego” (str. 100). Autor konkluduje: „Powracając do spotkań charyzmatycznych, wydaje mi się, że nakładanie rąk, modlitwy ludzi, wyrozumiałość całej społeczności – mogą być tymi siłami, które uwalniają moc umysłu, które przynoszą oświecenie osobom, które usilnie ćwiczą zazen8” (str. 92-93). W następnych siedmiu rozdziałach tej książki przeanalizujemy naturę doświadczeń „charyzmatycznych”.

Nie potrzeba wielu słów krytyki takich poglądów; są one zasadniczo identyczne z tezami autora Chrześcijańskiej jogi, tylko trochę mniej ezoteryczne i bardziej popularne. Każdy kto wierzy, że agnostyczne, pogańskie doświadczenia zenu mogą zostać użyte do „kontemplacyjnej odnowy chrześcijaństwa” (str. 4) z pewnością nie ma najmniejszego pojęcia o wielkiej kontemplacyjnej tradycji Prawosławia, która zakłada płonącą, żywą wiarę, poglądy oparte na Prawdzie oraz intensywny ascetyczny wysiłek; na dodatek ten sam autor nie waha się umieścić Filokalii oraz „wielkich prawosławnych szkół” w swoim tekście

stwierdzając, że one też prowadzą do stanu „kontemplacyjnej ciszy i pokoju” i są przykładem „zenu w tradycji chrześcijańskiej” (str. 39); popiera on używanie modlitwy Jezusowej podczas medytacji zen dla tych, którzy tego sobie życzą (str. 28). Taka ignorancja jest wręcz niebezpieczna, szczególnie kiedy opętany przez nią zachęca studentów podczas wykładów do eksperymentów „mistycznych” w postaci „siedzenia w zazen przez czterdzieści minut każdego wieczora” (str. 30). Jakże wielu jest dzisiaj autentycznie pomylonych, fałszywych proroków na świecie, którzy myślą, że przynoszą jakieś korzyści swoim bliźnim, a zamiast tego wiodą ich do psychicznej i duchowej katastrofy! Będziemy o tym mówić jeszcze poniżej w zakończeniu.

3. Medytacja transcendentalna

Praktyka wschodniej medytacji znana jako „medytacja transcendentalna” (w skrócie TM) w ciągu kilku lat osiągnęła wielką popularność, zwłaszcza w Ameryce. Jest ona propagowana w tak niezwykle oburzający, nonszalancki sposób, że bardzo wielu poważnych badaczy współczesnych prądów religijnych przede wszystkim będzie chciało ją zlekceważyć jako nadęty produkt amerykańskiej reklamy i show-biznesu. Ale byłby to błąd, ponieważ w swoich najważniejszych poglądach nie różni się ona znacznie od jogi czy zenu, a bliskie przyjrzenie się jej technikom pokaże, że jest może bardziej autentyczna i „wschodnia” niż takie nieco sztuczne synkretyzmy jak „chrześcijańska joga” czy „chrześcijański zen”.

Według typowego wydawnictwa tego ruchu9 „medytacja transcendentalna” została przywieziona do Ameryki (gdzie odniosła swój największy sukces) przez raczej mało „ortodoksyjnego” hinduskiego jogina, Maharishi Mahesh Yogi, i zaczęła rosnąć w siłę około roku 1961. W 1967 roku rozpowszechniła się, kiedy to popularni piosenkarze znani jako „Beatlesi” przyjęli ją i porzucili narkotyki; jednak szybko opuścili ten ruch (mimo że wciąż medytowali), a Maharishi osiągnął swój najgorszy sezon rok później, kiedy jego podróż po Ameryce, razem z innym nawróconym zespołem nazywanym „Beach Boys”, zakończyła się finansową klapą. Jednak sam ruch wciąż się rozrastał, w roku 1971 było już około stu tysięcy praktykujących tę medytację przy pomocy dwóch tysięcy specjalnie wyszkolonych instruktorów, tworząc tym samym największy ruch „wschodniej duchowości” w Ameryce. W roku 1975 ruch ten osiągnął swoje apogeum z około czterdziestu tysiącami nowych praktykantów miesięcznie aż do sześciuset tysięcy wyznawców. Podczas tych lat medytacja ta była szeroko praktykowana w wojsku, szkołach publicznych, więzieniach, szpitalach, także przez grupy kościelne, włączając parafie Greckiej Archidiecezji Cerkwi Prawosławnej w Ameryce, jako rzekomo neutralna forma „terapii umysłowej”, która nie jest zależna od żadnego rodzaju wierzeń religijnych czy też praktyk. Kursy TM są wyjątkowo dobrze dopasowane do amerykańskiego stylu życia i były życzliwie nazywane „kursami w jaki sposób osiągnąć rozwój duchowy bez zbytniego przemęczania się” (str. 17); Maharishi sam określał tę praktykę jako „podobną do mycia zębów” (str. 104). Maharishi był mocno krytykowany

przez innych hinduskich joginów za okropne trywializowanie starożytnej indyjskiej tradycji jogi przez udostępnianie tej ezoterycznej praktyki masom dla pieniędzy (opłata w 1975 roku za kurs wynosiła $125, ze zniżką dla studentów $65 i stopniowo coraz mniej dla licealistów, dla gimnazjalistów i dla małych dzieci).

W swoich zamierzeniach, założeniach i efektach TM nie różni się zbytnio od „chrześcijańskiej jogi" czy „chrześcijańskiego zenu"; różni się od nich głównie prostotą swojej praktyki i całej filozofii, łatwością osiągania efektów jej stosowania. Podobnie do nich „TM nie wymaga żadnej wiary, zrozumienia, zasad moralnych, a nawet zgody na jej pojęcia i filozofię" (str. 104); jest czystą i prostą czynnością, opartą „na naturalnej tendencji umysłu do poszukiwania coraz większego szczęścia i przyjemności... Podczas medytacji transcendentalnej umysł powinien podążać za czymś najbardziej naturalnym i najbardziej przyjemnym" (str. 13). „Medytacja transcendentalna jest najpierw praktyką, dopiero potem teorią. Jest niezbędne aby na początku adepci porzucili całkowicie myślenie intelektualne" (str. 22).

Praktyka wymyślona przez Maharishi'ego jest ta sama we wszystkich ośrodkach TM na całym świecie – po dwóch wykładach wstępnych i po uiszczeniu opłaty przychodzi się na „inicjację" zabierając ze sobą dziwny zbiór przedmiotów, zawsze tych samych: trzy kawałki słodkich owoców, przynajmniej sześć świeżych kwiatów oraz czystą chustkę do nosa (str. 39). Są one umieszczone w koszu i zabrane do małego „pokoju inicjacji",

gdzie kładzie się je na stole przed obrazkiem guru Maharishi'ego, u którego otrzymał on swoją inicjację hinduistyczną; na tym samym stole pali się świeca i kadzidełko. Uczeń jest w pokoju sam ze swoim nauczycielem, który powinien być przeszkolony osobiście przez Maharishi'ego. Ceremonia przed obrazkiem trwa pół godziny i składa się z cichego śpiewu w sanskrycie (z którego uczeń nie rozumie ani słowa) oraz recytowania imion wcześniejszych „mistrzów" jogi; pod koniec ceremonii uczeń otrzymuje „mantrę", tajemne słowo z sanskrytu, które ma powtarzać nieustannie podczas medytacji, i którego nikt nie może usłyszeć, oprócz nauczyciela (str. 42). Uczniom nigdy nie pokazuje się angielskiego przekładu tekstu tej ceremonii; jest dostępny tylko dla samych nauczycieli i udzielających inicjacji. Jest on zamieszczony w niepublikowanej książce pod tytułem „Święta Tradycja"; tekst ten został wydrukowany jako osobna broszurka przez „Spiritual Counterfeits Project"10 w Berkeley. Okazuje się, że ceremonia ta jest niczym innym jak tradycyjną hinduską ceremonią oddawania czci bogom (puja), do których dołączony jest również ubóstwiony guru (Shri Guru Dev) oraz cała linia „mistrzów", poprzez których on sam otrzymał inicjację. Ceremonia kończy się serią dwudziestu dwu „ofiar" dla guru Maharishi'ego, każda kończąca się słowami „kłaniam się nisko przed Shri Guru Dev". Pod koniec udzielający inicjacji sam kłania się przed obrazkiem Shri Guru Dev i zaprasza ucznia do tego samego; tylko wtedy ten drugi odbędzie inicjację (pokłon ucznia nie jest absolutnie konieczny, ale ofiary jak najbardziej).

W ten sposób współcześni agnostycy, zazwyczaj całkiem nieświadomie, są wprowadzani w świat praktyk hinduizmu; w ten prosty sposób zmusza się ich do zrobienia czegoś, czego ich chrześcijańscy przodkowie nigdy by nie zrobili, a być może woleliby pójść na tortury i ponieść okrutną śmierć niż złożyć ofiary pogańskim bożkom. Na poziomie duchowym może raczej ten grzech, niż sam psychiczny trening, tłumaczy w głównej mierze spektakularny sukces TM.

Po swojej inicjacji uczeń TM medytuje dwa razy dziennie po dwadzieścia minut (dokładnie tyle samo poleca autor Chrześcijańskiej jogi), pozwalając umysłowi swobodnie błądzić, powtarzając mantrę tak często, jak tylko pomyśli o tym; często jego praktykę nadzoruje nauczyciel. Całkiem szybko, może już podczas pierwszej próby, uczeń wkracza w nowy poziom świadomości, który nie jest ani stanem snu, ani stanem świadomości – jest to stan „medytacji transcendentalnej". „Medytacja transcendentalna wywołuje stan świadomości niepodobny do niczego, co znaliśmy do tej pory, najbliżej tego stanu, który osiąga się przez wieloletnią, intensywną praktykę zenu (str. 115). „W przeciwieństwie do lat praktyki, które trzeba było poświęcić na opanowanie innych religii czy jogi, które oferują takie same efekty jak TM, nauczyciele twierdzą, że nauka TM to kwestia minut" (str. 110-111). Niektórzy adepci, którzy doświadczyli tego stanu opisywali swoje wrażenia jako „stan spełnienia" podobny do stanów po pewnych narkotykach (str. 85), ale sam Maharishi opisuje go w tradycyjnych terminach hinduistycznych: „Stan ten leży ponad wszelkim obrazem, dźwiękiem, dotykiem, zapachem czy smakiem –

ponad wszelkim odczuwaniem i myśleniem. Ten stan niedostrzegalnej, absolutnej, czystej świadomości Bytu jest najwyższą formą życia" (str. 23). „Kiedy ktoś rozwinął zdolność do sprowadzania tego głębokiego stanu na trwale do poziomu świadomości, mówi mu się, że osiągnął kosmiczną świadomość, cel wszystkich medytujących" (str. 25). W zaawansowanych etapach TM naucza się podstawowych pozycji jogi, ale nie są one konieczne do robienia postępów w podstawowej praktyce; nie jest również potrzebne żadne przygotowanie ascetyczne. Kiedy już ktoś osiągnie „transcendentny stan istnienia", wszystko co jest mu potrzebne to dwa razy dziennie po dwadzieścia minut medytacji, ponieważ ta forma medytacji nie wymaga osobnego sposobu życia, tak jak w Indiach, ale jest raczej praktyką dla prowadzących życie aktywne. Odrębność nauki Maharishi'ego polega na tym, że daje on ten stan świadomości każdemu, a nie tylko wybrańcom.

Istnieje wiele budujących przykładów stosowania TM, według których medytacja ta prawie zawsze przynosi pozytywne efekty: pomaga w przezwyciężeniu narkomanii, łączy podzielone rodziny, przywraca zdrowie i szczęście; nauczyciele TM są bez przerwy uśmiechnięci, wprost tryskający szczęściem. Zasadniczo TM nie zastępuje żadnej religii, za to wzmacnia każdą z nich; „chrześcijanie" zarówno protestanci jak i katolicy odkrywają, że medytacja pogłębia ich wiarę i praktykę.

Łatwy i szybki sukces TM, przy jednoczesnym coraz mniejszym wpływie chrześcijaństwa na współczesnego człowieka, doprowadził też do

szybkiego jej upadku. Może bardziej niż jakikolwiek inny ruch „wschodniej duchowości” miał on charakter „chwilowej mody”; a ogłoszone przez Maharishi’ego jego dążenie do „inicjacji” całej ludzkości było raczej od początku skazane na niepowodzenie. Po apogeum w 1975 roku zainteresowanie kursami TM stopniowo spadło, tak bardzo, że w roku 1977 organizacja ogłosiła rozpoczęcie zupełnie nowej serii kursów „zaawansowanych”, wymyślonych oczywiście po to, by odzyskać przemijające zainteresowanie i entuzjazm społeczeństwa. Kursy te miały doprowadzić adeptów po inicjacji do „nadprzyrodzonych mocy” hinduizmu (siddhi) – przechodzenia przez ściany, stawania się niewidzialnym, unoszenia się i latania w powietrzu i tym podobne. Kursy zasadniczo spotykały się ze sceptycyzmem, mimo że w broszurach TM zamieszczano fotografie „lewitujących” uczniów (patrz magazyn Time 8 sierpnia, 1977 rok, str. 75). Chociaż kursy (koszt wynosił do $3000) przynosiły spodziewane efekty, zbliżone do „cudów” tradycyjnych indyjskich „fakirów”, sama TM stała się tylko przemijającą częścią okultystycznych zainteresowań ludzkości w drugiej połowie XX wieku. Ukazało się już wiele opisów nauczycieli i uczniów TM, którzy zostali dotknięci typowymi chorobami ludzi parających się okultyzmem: chorobami umysłowymi, samobójstwami, usiłowaniami zabójstw, demonicznym opętaniem.

W 1978 roku Sąd Federalny Stanów Zjednoczonych wydał werdykt, że TM w istocie jest ze swojej natury religią i nie może być nauczana w szkołach publicznych11 . Ta decyzja bez wątpienia bardzo ograniczy

wpływ TM, jednak medytacja ta będzie prawdopodobnie wciąż istniała jako jedna z wielu form praktyk duchowych, które wielu uważa za zgodne z chrześcijaństwem – jeden ze smutnych znaków naszych czasów.

V. „Nowa religijna świadomość” - Duch kultów wschodnich w latach 70.

Trzy rodzaje „chrześcijańskich medytacji” opisane powyżej to tylko początek; zasadniczo można powiedzieć, że wpływ religii, poglądów i praktyk duchowych Wschodu na uprzednio chrześcijańskim Zachodzie osiągnął zdumiewający zasięg w dekadzie lat 70. Szczególnie Ameryka, która ledwie 20 lat wcześniej była jeszcze religijną „prowincją”, która swój duchowy horyzont w większości miała ograniczony do protestantyzmu i katolicyzmu, stała się miejscem oszałamiającego rozwoju wschodnich (i pseudo-wschodnich) ruchów i kultów religijnych.

Historia tego rozwoju sięga pokolenia z czasów zakończenia II wojny światowej, pełnego rozczarowania i frustracji, które najpierw manifestowało się w latach 50. w bezsensownych protestach oraz poprzez moralny libertynizm „pokolenia bitników”; jego zainteresowanie wschodnimi religiami było raczej natury akademickiej i było głównie znakiem niezadowolenia z „chrześcijaństwa”. Następnie pojawiło się pokolenie hipisów z lat 60. z ich muzyką rockową i psychodelicznymi narkotykami oraz poszukiwaniem „poszerzonej świadomości” za wszelką cenę; młodzi Amerykanie przylgnęli z całej siły do protestów politycznych (zwłaszcza przeciwko wojnie w Wietnamie) z jednej strony, a z drugiej do żarliwej praktyki wschodnich religii. Indyjscy „guru”, tybetańscy lamowie, japońscy mistrzowie zen oraz inni wschodni „mędrcy” pojawili się na Zachodzie i znaleźli nagle całe mnóstwo chętnych uczniów, dzięki którym

odnieśli sukces o jakim nawet nie śniło się zamerykanizowanym swami z poprzednich generacji; młodzi ludzie podróżowali na końce świata, nawet na szczyty Himalajów, żeby znaleźć mądrość albo nauczyciela albo narkotyk, który dałby im upragniony „pokój" i „wolność".

„Hipisów" zastąpiło trzecie pokolenie w latach 70. Na zewnątrz było ono dużo cichsze, porzuciło „demonstracje" i ogólnie zachowywało się mniej ekstrawagancko, ale to pokolenie dużo głębiej weszło w religie Wschodu, których wpływ stał się teraz dużo bardziej wszechobecny niż kiedykolwiek wcześniej. Dla wielu z tego najnowszego pokolenia religijne „poszukiwania" zakończyły się; znaleźli wschodnią religię odpowiednią do swoich upodobań i teraz są bardzo poważnie zajęci jej praktykowaniem. Wiele wschodnich ruchów religijnych stało się już „rodzimymi" na Zachodzie, zwłaszcza w Ameryce, powstają tutaj klasztory buddyjskie złożone wyłącznie z nawróconych Amerykanów, i po raz pierwszy pojawili się guru i mistrzowie zen pochodzący z kręgu kultury zachodniej.

Popatrzmy na kilka obrazów – opisów niedawnych wydarzeń z początków i połowy lat 70. – które ilustrują dominację wschodnich idei i praktyk wśród wielu młodych Amerykanów (którzy są awangardą młodzieży całego świata). Pierwsze dwa obrazy pokazują bardziej powierzchowne zaangażowanie się we wschodnie religie, są chyba tylko pozostałościami generacji z lat 60.; ostatnie dwa ujawniają głębsze zaangażowanie charakterystyczne dla lat 70.

1. Hare Kryszna w San Francisco

„Na ulicy graniczącej z parkiem Golden Gate w dzielnicy Ashbury w San Francisco stoi świątynia Świadomości Kryszny... Nad wejściem do tej świątyni umieszczono wysokie na sześćdziesiąt centymetrów drewniane litery ‘Hare Kryszna’. Duże wystawowe okna zasłonięte są czerwono-pomarańczowymi wzorzystymi kocami.

Dźwięki śpiewów i muzyki wypełniały ulicę. Wewnątrz na ścianach wisiało kilkadziesiąt obrazów w jasnych kolorach, grube czerwone dywany leżały na podłogach, a w powietrzu unosiły się delikatne opary dymu. Ten dym to kadzidełka, element trwającej właśnie ceremonii. Ludzie w pokoju cichutko śpiewali ledwo słyszalne sanskryckie słowa. Pokój był prawie całkowicie wypełniony przez około pięćdziesiąt wyglądających młodo osób, siedzących na podłodze. Przed nimi zgromadzonych było około dwudziestu osobników w długich, luźnych pomarańczowych i jaskrawożółtych szatach, z białą farbą na nosach. Wielu ludzi miało głowy ogolone z wyjątkiem małej kitki włosów z tyłu. Znajdujące się między nimi kobiety także miały białe nosy oraz małą czerwoną plamkę na czole. Pozostali młodzi ludzie w pokoju wyglądali zupełnie tak samo jak wszyscy mieszkańcy Haight-Ashbury, z przepaskami na długich włosach, z brodami oraz z całym asortymentem pierścieni, dzwonków i koralików. W trwającej ceremonii brali oni entuzjastyczny udział. Około dziesięciu osób siedzących z tyłu było tutaj prawdopodobnie po raz pierwszy.

Śpiew podczas ceremonii (mantra) był coraz głośniejszy i szybszy. Dwie dziewczyny w długich jaskrawożółtych szatach zaczęły tańczyć do taktu. Prowadzący śpiew zaczął krzyczeć słowa pieśni w sanskrycie... Cała grupa powtarzała słowa próbując utrzymać intonację i rytm prowadzącego. Wielu uczestników grało na instrumentach muzycznych. Prowadzący podczas śpiewania uderzał w bębenek. Dwie kołyszące się, tańczące dziewczyny podzwaniały w małe talerzyki. Jeden młody człowiek dmuchał w muszlę, inny grał na tamburynie... Na ścianach świątyni wisiało kilkanaście obrazów przedstawiających sceny z Bhagavad-Gity.

Muzyka i śpiew stały się bardzo głośne i szybkie. Nieustannie bito w bębenek. Wielu wiernych wznosiło osobiste okrzyki, wyciągało ręce ku górze pośród ogólnego zgiełku. Prowadzący ukląkł przed obrazkiem „mistrza duchowego" tej grupy przy małym ołtarzyku blisko wejścia. Bardzo głośny śpiew zakończył się i w pokoju zaległa cisza. Wszyscy uczestnicy klęczeli z głową przyklejoną do podłogi kiedy prowadzący mówił krótką modlitwę w sanskrycie. Potem zawołał pięć razy: 'Cała chwała dla zgromadzonych wiernych', co wszyscy powtórzyli przed powstaniem."12

Jest to typowe nabożeństwo ruchu „Świadomości Kryszny", utworzonego w Ameryce w 1966 roku przez indyjskiego ex-biznesmena A. C. Bhaktivedanta, który adoptował dla zdezorientowanych i poszukujących młodych ludzi Zachodu praktykę bhakti jogi. We wcześniejszym okresie zainteresowania wschodnimi religiami (w latach 50. i wczesnych 60.)

podkreślało się przede wszystkim poszukiwania intelektualne, bez zbytniego osobistego zaangażowania; ten nowy okres wymaga już zaangażowania całym sercem. Bhakti joga oznacza zjednoczenie każdego z jego wybranym „bogiem" poprzez miłość i oddawanie czci, poprzez zmianę całego swojego życia, aby móc wykonywać to jedno główne zadanie. Poprzez nieracjonalne środki adoracji (śpiew, muzyka, taniec, nabożeństwo) umysł rozszerza się i osiąga „świadomość Kryszny", która to świadomość, jeśli wystarczająco dużo ludzi ją osiągnie, będzie oczekiwanym końcem problemów i zgryzot naszego niespokojnego wieku, będzie wprowadzeniem w nowy wiek pokoju, miłości i jedności.

Jaskrawe szaty „krysznowców" są już znajomym widokiem w San Francisco, zwłaszcza pewnego dnia każdego roku, kiedy ogromna rzeźba ich „boga" przetacza się przez park Golden Gate w stronę oceanu, przy udziale wszystkich oznak hinduskiej pobożności – typowa scena z pogańskich Indii, ale coś całkiem nowego dla „chrześcijańskiej" Ameryki. Z San Francisco ruch ten rozprzestrzenił się na całą Amerykę i dotarł do zachodniej Europy; około 1974 roku były już na świecie 54 świątynie Kryszny, wiele z nich w bliskim sąsiedztwie uniwersytetów (prawie wszyscy członkowie tego ruchu są bardzo młodzi).

Niedawna śmierć założyciela ruchu postawiła pytanie co do jego dalszej przyszłości; w rzeczywistości liczba wyznawców, mimo że są tak widoczni, nie jest zbyt wielka. Jako „znak czasów" jednak znaczenie tego ruchu jest jasne, i powinno być bardzo niepokojące dla chrześcijan – wielu

młodych ludzi dzisiaj szuka „bogów” do wyznawania, najbardziej rażące formy pogaństwa nie stanowią już dla nich żadnego problemu.

2. Guru Maharaj-ji w Astrodomie w Houston

Jesienią 1973 roku kilku wschodnich guru nowych szkół, zachęconych przykładem Maharishi’ego Mahesh Yogi z jego TM, przybyło na Zachód i zebrawszy grupę zwolenników, zniknęło z pola widzenia po krótkim tylko panowaniu w świetle reflektorów. Guru Maharaj-ji był jednym spośród nich; najbardziej spektakularnym, można powiedzieć, oburzającym. Został obwołany „bogiem” już jako piętnastoletni młodzieniec, jego rodzina (matka i trzej bracia) zostali „świętą rodziną”, a jego organizacja (Boskie Światło) miało wspólnoty (aszramy) w całej Ameryce. 80 tysięcy jego zwolenników, podobnie do wyznawców Kryszny, porzucało światowe przyjemności i medytowało aby osiągnąć „poszerzoną” świadomość, która uczyni ich idealnie spokojnymi, szczęśliwymi i „wyrażającymi radość” – jest to stan umysłu w którym wszystko wygląda pięknie i doskonale takie, jakie jest. Podczas specjalnej inicjacji „otrzymuje się wiedzę”, uczniowie widzą intensywne światło oraz trzy inne znaki wewnątrz, które potem będą przedmiotem samodzielnych medytacji (The New Religion Consciousness, str. 54). Oprócz tej „wiedzy” uczniów łączy wiara, że

Maharaj-ji jest „Panem Świata” który przyszedł, aby zapoczątkować nową erę pokoju dla ludzkości.

Przez trzy dni w listopadzie 1973 roku Misja Boskiego Światła wynajęła Astrodrom w Houston (ogromna sportowa arena przykryta całkowicie kopułą), aby zorganizować „najświętsze i najbardziej znaczące wydarzenie w historii ludzkości”. Wyznawcy z całego świata mieli zebrać się, aby oddać cześć swojemu „bogu” i rozpocząć nawrócenie Ameryki (poprzez masmedia, które skwapliwie zostały zaproszone) do swojego kultu, w ten sposób rozpoczynając nową erę ludzkości. Wydarzenie to zostało nazwane stosownie do swej rangi „Millennium ’73”.

Typowym zagorzałym uczniem Maharaj-ji był Rennie Davis, lewicowy uczestnik protestów z lat 60., jeden z „siedmiu z Chicago” oskarżonych o wzniecanie rozruchów podczas Krajowej Konwencji Demokratów w 1968 roku. Lato 1973 roku spędził dając konferencje prasowe i wygłaszając przemówienia do każdego, kto tylko chciał posłuchać, mówiąc Ameryce: „Jest on największym wydarzeniem w historii, a my śpimy... Czuję, że powinienem krzyczeć na ulicach. Gdybyśmy wiedzieli kim on jest, przyczołgalibyśmy się przez całą Amerykę na rękach i kolanach, aby głowy nasze spoczęły na jego stopach”13 .

Istotnie, cześć dla Maharaj-ji wyrażana jest w czołobitnych pokłonach przed nim, z twarzą na ziemi, z jednoczesną recytacją sanskryckiej formuły adoracji. Jego pojawienie się na „Millennium ’73” powitała ogromna

owacja, kiedy to zasiadł na wysokim tronie, ukoronowany olbrzymią złotą „koroną Kryszny", a na tablicy świetlnej Astrodomu pojawił się wyraz „G-O-D". Młodzi amerykańscy wyznawcy płakali z radości, inni tańczyli na scenie, muzycy grali „Władcę świata" – adaptację starego protestanckiego hymnu (The Spiritual Supermarket, str. 80,94).

To wszystko, powtórzmy, dzieje się w „chrześcijańskiej" Ameryce. To jest już coś więcej niż tylko oddawanie czci pogańskim „bogom". Zaledwie kilka lat temu taki kult żywego człowieka byłby nie do pomyślenia w żadnym „chrześcijańskim" kraju; teraz stał się normalną rzeczą dla tysięcy „poszukujących" religii na Zachodzie. Ale jest to dopiero wstęp do czci antychrysta przy końcu czasów, tego, który zasiądzie nawet w świątyni Boga dowodząc, że sam jest Bogiem (2 Tes 2:4).

Wydaje się, że podczas „Millennium '73" Maharaj-ji osiągnął szczyt popularności. Według danych tylko 15 tysięcy wyznawców wzięło w nim udział (dużo mniej niż oczekiwano). Nie było żadnych „cudów" czy też specjalnych znaków potwierdzających, że „nowa era" właśnie się zaczęła. Ruch, który jest tak bardzo zależny od środków przekazu oraz tak bardzo dogadzający masowym gustom konkretnego pokolenia (muzyka na „Millennium '73" została skomponowana w większości z popularnych pieśni czasów kontrkultury lat 60.), może oczekiwać szybkiego wyjścia z mody; niedawne małżeństwo Maharaj-ji'ego z jego sekretarką jeszcze bardziej osłabiło jego popularność jako „boga".

Kolejne „duchowe” ruchy naszych czasów wydają się być już mniej zależne od zachcianek masowej kultury, a bardziej są przejawem głębokości zasięgu wschodnich religii zdobywających Zachód.

3. Tantra joga w górach Nowego Meksyku

W czasie przesilenia letniego w czerwcu 1973 roku na trawiastej łące na wysokości 2300 metrów nad poziomem morza w górach Jemez na północy Nowego Meksyku tysiąc młodych Amerykanów (większość z nich miała od 20 do 25 lat) przybyło na dziesięciodniowe duchowe ćwiczenia. Codziennie wstawali o czwartej rano i zbierali się przed świtem (owinięci w koce z powodu porannego chłodu), aby usiąść na ziemi w rzędach przed odkrytą sceną. Wszyscy razem zaczynali dzień z mantrą w języku punjabi (odmiana sanskrytu) po to, by „nastroić się” do ćwiczeń duchowych, które miały nastąpić.

Najpierw przez kilka godzin praktykowano jogę kundalini, serie forsownych ćwiczeń fizycznych, śpiewów i medytacji nakierowanych na osiągnięcie kontroli nad procesami ciała i umysłu oraz przygotowujących do „realizacji Boga”. Potem następowała ceremonia wciągania dwóch flag: flagi amerykańskiej i „flagi narodu Wodnika” – „narodu” składającego się z ludzi pokoju, głoszących przyjście „ery Wodnika” czy też tysiąclecia, do którego kult ten się przygotowuje – ze śpiewem „Boże błogosław Amerykę” oraz modlitwą za naród amerykański. Po wegetariańskim posiłku (typowym dla prawie każdego nowego kultu) i wykładach na

tematy duchowe i dotyczących praktyki, wszyscy przygotowują się na długą sesję tantry jogi.

O tantrycznej jodze niewiele słyszano i do tej pory prawie nie praktykowano jej na Zachodzie. Wszystkie autorytety są zgodne, że są to niezwykle niebezpieczne ćwiczenia, zawsze praktykowane razem przez mężczyzn i kobiety, wywołujące ogromną psychiczną energię, wymagającą ścisłego nadzoru i kontroli. Podobno w jednym czasie żyje tylko jeden nauczyciel tantry jogi na ziemi; ćwiczenia podczas przesilenia letniego w Nowym Meksyku prowadził „wielki tantra" naszych czasów, Yogi Bhalan.

Wszyscy ubrani identycznie na biało siedzą w długich prostych rzędach, mężczyźni naprzeciwko kobiet, ściśnięci w rzędach ramię w ramię i plecami dotykając następnego rzędu. Około dziesięciu podwójnych rzędów wychodzi ze sceny, każdy długości 25 metrów; asystenci upewniają się, czy rzędy są idealnie proste, aby zapewnić właściwy przepływ joginicznego „pola magnetycznego".

Rozpoczyna się powtarzanie mantry, ze specjalnymi śpiewami wywołującymi zmarłego guru, który był „szczególnym opiekunem" Yogi Bhalana. Pojawia się Yogi we własnej osobie, wywołuje wrażenie swoimi 193 centymetrami wzrostu, czarną długą brodą, białymi szatami i turbanem, zaczyna opowiadać o swoim marzeniu utworzenia „nowego wspaniałego i twórczego narodu" amerykańskiego, który mógłby powstać poprzez duchową przemianę dzisiejszych ludzi; ćwiczenia tantry są

kluczem do tej przemiany, bowiem przekształcają zwyczajną ludzką „świadomość indywidualną” na „świadomość grupową”, a ostatecznie na „świadomość uniwersalną”.

Czas już na rozpoczęcie ćwiczeń. Są one niezwykle trudne, wymagają wielkiego wysiłku fizycznego i bólu, wywołują bardzo silne emocje lęku, złości, miłości itp. Każdy musi wykonywać dokładnie to samo w tym samym czasie; trudne pozycje są utrzymywane w bezruchu przez długie okresy czasu; skomplikowane mantry i ćwiczenia muszą być wykonane w precyzyjnej koordynacji ze swoim partnerem i z całym rzędem; każde ćwiczenie z osobna może trwać od 31 do 61 minut. Indywidualna świadomość znika podczas intensywnej grupowej aktywności, mocno odczuwa się następstwa ćwiczeń – fizyczne wyczerpanie i czasami skurcze, wyczerpanie emocjonalne albo podniecenie. Dalej, ponieważ podczas ćwiczeń nikomu nie wolno z kimkolwiek rozmawiać, nie ma możliwości uchwycenia jakiegoś racjonalnego sensu poprzez wymianę doświadczeń z innymi; celem jest wywołanie w każdym uczestniku radykalnej przemiany.

Następują popołudniowe zajęcia dotyczące takich tematów jak wschodnie sztuki walki, praktyczna medycyna i zdrowe odżywianie oraz prace porządkowe przy utrzymaniu aszramu; następuje także (po następnym posiłku) wieczorna sesja „śpiewu duchowego”, śpiewane są sanskryckie mantry do współczesnej muzyki folk oraz rocka, „festiwal rockowy” oraz „radosne uwielbianie” w obcym języku połączone są razem

– jest to efekt wysiłków Yogi Bhalana aby uczynić swoją religię „rdzennie amerykańską” (The New Religious Consciousness, str. 8-18).

Religia opisana powyżej jest współczesną adaptacją religii Sikhów z północnych Indii, z dołączonymi do niej elementami jogi. Nazywana jest 3HO (Healthy – Happy – Holy Organization, czyli Zdrowa – Szczęśliwa – Święta Wspólnota) i została założona w 1969 roku w Los Angeles przez Yogi Balhana, który początkowo przybył do Ameryki objąć posadę nauczyciela, a liderem religijnym został przez przypadek, kiedy odkrył, że jego kursy jogi robią duże wrażenie na hipisach z południowej Kalifornii. Łącząc „duchowe” poszukiwania hipisów ze swoją wiedzą na temat indyjskich religii, stworzył religię „amerykańską” która różni się od innych wschodnich religii tym, że bardzo podkreśla znaczenie praktycznego życia na tym świecie (podobnie jak Sikhowie w Indiach, którzy z reguły należą do klasy kupców); małżeństwo i stabilne życie domowe, odpowiednia praca czy działalność społeczna są mile widziane u wszystkich członków.

Od swojego założenia w 1969 roku 3HO rozrosło się do 100 aszramów (wspólnot, które służą za miejsca spotkań dla uczestników zamiejscowych) w amerykańskich miastach, powstało także kilka w Europie i Japonii. Mimo, że zewnętrznie różni się od innych wschodnich religii (pełny członek formalnie staje się Sikhem i odtąd nosi charakterystyczny turban oraz białe szaty), 3HO jest jedną z nich, tak samo zachęcając „eks-hipisów” do rozwijania świadomości („uniwersalnej” czy też „transcendentalnej”) oraz uznając się za duchową „awangardę”, która ma doprowadzić

wszystkich do nowego milenijnego wieku (który większość ruchów nazywa w terminach astrologicznych „wiekiem Wodnika”).

Jako kult popierający względnie normalne życie w społeczeństwie 3HO wciąż nie przestaje być szczególnym „znakiem czasu” razem z innymi hinduistycznymi kultami, które w przeciwieństwie do niego promują oczywisty „eskapizm”; przygotowuje on Amerykę do „zdrowia, szczęścia i świętości” kompletnie bez żadnego odniesienia do Chrystusa. Kiedy nawróceni i „szczęśliwi” Amerykanie mówią łagodnie o Bogu i swoich religijnych obowiązkach bez wspominania o Chrystusie, nie można wątpić, że era „postchrześcijańska” rozpoczęła się już na poważnie.

4. Trening zen w północnej Kalifornii

W porosłych lasami górach północnej Kalifornii, w cieniu ogromnej góry Shasta – świętej góry indiańskich tubylców, a także centrum działalności okultystycznych i nowego osadnictwa, które znowu odżywa – od 1970 roku działa buddyjski klasztor zen. Na długo przed 1970 rokiem w większych miastach zachodniego wybrzeża, tam gdzie osiedlali się Japończycy, powstawały świątynie zenu i było też wiele prób założenia klasztorów zen w Kalifornii; ale „opactwo Shasta”, jak jest nazywane, jest pierwszym amerykańskim klasztorem zen (w buddyzmie zen „klasztor” jest głównie miejscem treningu dla „kapłanów” zen, zarówno mężczyzn jak i kobiet).

W opactwie Shasta atmosfera jest bardzo zorganizowana i rzeczowa. Odwiedzający (którzy mogą być oprowadzani w określonych porach, lecz nie mogą zbliżać się do stałych mieszkańców) oglądają mnichów czy też praktykujących z ogolonymi głowami, ubranych w tradycyjne czarne szaty; każdy zdaje się dobrze wiedzieć co robi, czuje się obecność ogromnego sensu wszystkiego, powagi i poświęcenia.

Sam trening jest to ścisły pięcioletni (lub dłuższy) program, po którym zostaje się „kapłanem" i nauczycielem „zenu", z możliwością odprawiania buddyjskich ceremonii. Tak jak w cywilnych szkołach praktykanci opłacają czesne za mieszkanie i wyżywienie ($175 miesięcznie, płatne z góry – metoda eliminacji niepoważnych kandydatów!), ale samo życie podobne jest raczej do życia „mnichów" niż studentów. Ścisłe reguły dotyczą stroju i zachowania, wegetariańskie posiłki spożywane są w absolutnej ciszy, nie pozwala się na prowadzenie jałowych dyskusji, nie są też dozwolone odwiedziny; życie wspólnoty skupia się wokół sali medytacyjnej, gdzie praktykanci śpią i jedzą w przerwach między medytacjami, nikt kto nie praktykuje zenu nie może tam wejść. Życie jest bardzo intensywne, a ludzie niesłychanie skupieni, każde wydarzenie codziennego życia (nawet mycie i toaleta) rozpoczyna się osobną buddyjską modlitwą, którą odmawia się w ciszy.

Mimo że opactwo należy do „zreformowanej" sekty Soto zen – dla podkreślenia niezależności od Japonii i od różnych jego adaptacji do warunków amerykańskich – ryty i ceremonie w klasztorze odprawia się

według tradycji zenu japońskiego. Odprawia się wiele ceremonii, na przykład ceremonię przyjęcia do buddyzmu, obchody równonocy czczące „przemianę osoby", ceremonię „karmienia głodnych duchów" (przypomnienie śmierci), ceremonię „święta założycieli" wyrażającego wdzięczność dla przekazujących zen do obecnych mistrzów, święto oświecenia Buddy, i wiele innych. Hołd składany jest poprzez pokłony przed wizerunkiem Buddy, jednak główny nacisk kładzie się na naukę o wewnętrznej „naturze Buddy".

Mistrzem zen w opactwie Shasta jest kobieta (buddyjska praktyka to dopuszcza) z Zachodu, Jiyu Kennett, Angielka, urodzona w 1924 roku, której rodzice byli buddystami, która praktykowała różne tradycje na Dalekim Wschodzie i została „wyświęcona" w klasztorze Soto zen w Japonii. Przyjechała do Ameryki w 1969 roku i rok później założyła klasztor z kilkoma młodymi naśladowcami; od tej pory wspólnota raptownie się rozrosła, nade wszystko przyciągając młodych ludzi, w wieku około 20 lat.

Przyczyna sukcesu tego klasztoru – pomijając naturalną atrakcyjność zenu dla pokolenia, które ma dość racjonalizmu i materialistycznej nauki – leży w tajemniczości „autentycznego przekazu" doświadczenia zenu i tradycji, którą „mistrzyni-opat" kultywuje wykorzystując swoje japońskie treningi i certyfikaty; jej walory osobiste jako cudzoziemki oraz urodzonej buddystki, ale pozostającej wciąż w bliskim kontakcie ze współczesną umysłowością (praktycznie bardzo „amerykańską") wydają się dopełniać

tego jej ogromnego wpływu na młode amerykańskie pokolenie nawróconych buddystów.

Celem treningu zenu w opactwie Shasta jest napełnienie całego życia „czystym zenem". Codzienna medytacja (trwająca czasami do ośmiu lub dziesięciu godzin dziennie) jest centrum skoncentrowanego i intensywnego religijnego życia, które podobno ma prowadzić do „trwałego pokoju i harmonii ciała i umysłu". Podkreślanie „duchowego rozwoju", oraz publikacje opactwa – dwumiesięcznik oraz kilka książek autorstwa mistrzyni – wykazują duży stopień demaskowania obłudy duchowej i oszustwa. Opactwo nie zgadza się na przejęcie narodowych japońskich (jako przeciwstawnych do buddyzmu) zwyczajów; ostrzega przed niebezpieczeństwem zmieniania guru i fałszywym czczeniem mistrzów zen; zakazuje astrologii, wróżbiarstwa (łącznie z I Ching), podróży astralnych, oraz innych psychicznych i okultystycznych działalności; kpi z akademickiego i intelektualnego podejścia do zenu; podkreśla ciężką pracę oraz wymagający trening, z kategorycznym odrzuceniem wszystkich iluzji i fantazji o sobie samym czy o „duchowym życiu". Dyskusje młodych kapłanów zen na tematy „duchowe" (zamieszczone w The Journal wydawanym przez opactwo) brzmią w swojej powadze i erudycji niezwykle podobnie do dyskusji prowadzonych pomiędzy młodymi prawosławnymi chrześcijanami i mnichami. W formacji intelektualnej i poglądach, ci młodzi buddyści wydają się być dość blisko wielu naszym prawosławnym konwertytom. Wielu młodych prawosławnych chrześcijan dnia dzisiejszego mogłoby rzec: „Tylko dzięki

Bożej łasce tam się nie znalazłem", tak autentycznie przekonująca jest duchowa perspektywa tego klasztoru zen, który oferuje prawie wszystko, czego poszukujący religii młodzi ludzie mogą zechcieć – oprócz, oczywiście, Chrystusa prawdziwego Boga oraz wiecznego zbawienia, które tylko On sam może dać.

Klasztor uczy, że buddyzm nie jest jakąś „zimną i odległą rzeczywistością" lecz jest wypełniony „miłością i współczuciem". W przeciwieństwie do typowych opracowań filozofii buddyzmu, mistrzyni podkreśla, że centrum buddyjskiej wiary nie jest ostateczna „nicość", ale żyjący „bóg" (który, według niej, jest ezoteryczną nauką buddyzmu): „Tajemnicą zenu... jest odkrycie i pewność, w samym sobie, że Budda kosmiczny istnieje. Prawdziwy mistrz to ten, który ani na chwilę nie zachwiał się w tej pewności, i w miłości do kosmicznego Buddy... Byłam zachwycona kiedy ostatecznie poznałam z całą pewnością, że On istnieje; miłość i wdzięczność we mnie nie miały granic. Nigdy też nie poczułam takiej miłości jak ta, zesłana od Niego; tak bardzo chciałabym aby wszyscy też mogli ją poczuć"14 .

Obecnie jest około siedemdziesięciu praktykujących przyszłych kapłanów w opactwie Shasta i podległych mniejszych klasztorach, głównie w Kalifornii. Klasztor obecnie gwałtownie się rozwija, zarówno na swoich własnych posiadłościach, jak i w postaci „misji" amerykańskich; wciąż rozwija się ruch laickiego buddyzmu, który za centrum obrał sobie opactwo i często przyjeżdżają oni tutaj, razem z psychologami oraz innymi

zainteresowanymi osobami, poszukując na jakiś czas ciszy medytacji. Pomnażając swoje wydawnictwa, otwierając w wielu miastach Kalifornii liczne poradnie z instruktorami, zakładając szkoły dla dzieci oraz domy starców – opactwo Shasta rzeczywiście osiąga swój cel „rozwijania buddyzmu zen na Zachodzie".

Do chrześcijaństwa mistrzyni-opat oraz jej uczniowie mają stosunek protekcjonalny; darzą szacunkiem Filokalia a także kilka innych prawosławnych tekstów duchowych, uważając Prawosławie za najbliższe im ze wszystkich odłamów chrześcijaństwa, jednak siebie uznając za będących „powyżej" takich rzeczy jak teologia, dysputy doktrynalne oraz wszystkie „izmy", które według nich nie należą do „prawdziwej religii" (Journal, styczeń-luty, 1978 rok, str. 54).

Zen faktycznie nie posiada teologicznego fundamentu, polegając całkowicie na „doświadczeniu", popadając w ten sposób w „błąd pragmatyzmu", który był już wcześniej w tej książce opisany, w rozdziale o hinduizmie: „Jeżeli to działa, to musi być prawdziwe i dobre". Zen nie posiadając teologii nie lepiej niż hinduizm rozróżnia dobre i złe duchowe doświadczenia; może najwyżej twierdzić, co wydaje się być dobrym, bo przynosi „pokój" i „harmonię", uznane jako takie przez naturalne władze umysłu a nie przez objawienie; wszystko inne odrzuca jako mniej lub bardziej iluzoryczne. Zen wabi subtelną pychą – tak bardzo rozpowszechnioną obecnie – tych wszystkich, którzy myślą, że mogą sami

siebie zbawić, nie potrzebują zatem żadnego innego Zbawiciela spoza siebie.

Ze wszystkich współczesnych prądów religijnych zen wydaje się być najbardziej wyrafinowanym intelektualnie i najbardziej poważnym duchowo. Ze swoimi naukami o współczuciu i miłości „kosmicznego Buddy", jest być może najwyższym religijnym ideałem na jaki może wspiąć się ludzki umysł – samotnie, bez Chrystusa. Jego tragedia właśnie polega na tym, że nie ma w nim Chrystusa, a zatem i zbawienia, i całe to wyrafinowanie i powaga skutecznie oddziela jego wyznawców od poszukiwania zbawienia w Chrystusie. Ta cicha i współczująca droga jest chyba najsmutniejszym ze wszystkich znakiem czasów „postchrześcijańskich", w których żyjemy. „Duchowość" niechrześcijańska już nie jest na Zachodzie importem z zagranicy; stała się rodzimą amerykańską religią, zapuszczając głęboko swe korzenie w świadomości Zachodu. Niech będzie to dla nas ostrzeżeniem – religia przyszłości nie będzie tylko jakimś kultem czy sektą, ale będzie potężną i głęboką religią, która będzie absolutnie nieodparta i przekonująca dla serc i umysłów współczesnych ludzi.

5. Nowa „duchowość" a chrześcijaństwo

Wiele innych nowych wschodnich religii pojawia się na Zachodzie; każdego roku powstają nowe, albo nowsze wersje starszych. Jako dodatek do jawnych ruchów religijnych bardzo widoczny jest wzrost w ostatnim

dziesięcioleciu liczby świeckich „kultów świadomości”, jak nazwało je jedno z popularnych czasopism (U.S. News and World Report, 16 luty 1976 rok, str. 40). Różne formy „terapii umysłu” składają się z treningu Erharda założonego w 1971 roku, rolfingu, kontroli umysłu Silvy i innych form „spotkań” czy „sprzężeń zwrotnych”, z których wszystkie oferują „uwolnienie napięć” oraz „wykorzystanie ukrytych możliwości” człowieka, posługując się mniej lub bardziej budzącym zaufanie XX wiecznym żargonem naukowym. Przypomina to również inny ruch „świadomości”, który już nie jest obecnie tak modny jak dawniej, a który rozwijał się od „chrześcijańskiej nauki” poprzez „naukę umysłu” aż do „scientologii”.

Wszystkie te ruchy są niezgodne z chrześcijaństwem. Prawosławni chrześcijanie muszą trzymać się jak najdalej od nich.

Dlaczego stwierdzamy to tak kategorycznie?

1. Ruchy te nie mają żadnych odniesień do chrześcijańskiej tradycji ani praktyki, ale są w całości produktem wschodnich pogańskich religii lub współczesnego spirytyzmu, mniej lub bardziej rozcieńczonym albo często przedstawianym jako „nie religijny”. Religie te nie tylko nauczają niezgodnie z doktryną chrześcijańską o życiu duchowym, ale także prowadzą, czy to przez pogańskie doświadczenia czy eksperymenty psychiczne na złą duchową drogę której końcem jest duchowa i psychiczna katastrofa, a ostatecznie zguba duszy nieśmiertelnej.

2. Ściśle rzecz biorąc doświadczenie „duchowego wyciszenia” podczas różnych rodzajów medytacji, czy to bez określonego kontekstu religijnego (jak twierdzi TM, kilka rodzajów jogi i zen, oraz kulty świeckie) czy też z kontekstem pogańskim (jak Hare Kryszna, Misja Boskiego Światła, 3HO itp.) jest bramą do „kosmicznego” duchowego świata, gdzie najgłębsza część ludzkiej osobowości może kontaktować się z realnymi istotami duchowymi. Byty te, które pojawiają się w upadłym ludzkim świecie, to przede wszystkim demony albo inaczej upadłe duchy, które są najbliżej ludzi15 . Sami buddyści zen podczas medytacji, mimo wszystkich ostrzeżeń przed duchowymi „eksperymentami”, opisują swoje spotkania z tymi duchami (pomieszane z ludzkimi fantazjami), mimo ciągłego podkreślania, że są od nich całkowicie niezależni16.

3. „Inicjacja” do doświadczeń świata duchowego, którą dają różne „kulty świadomości”, wprowadza ludzi w coś, co jest poza świadomą kontrolą ich woli; często będąc już po inicjacji bardzo trudno jest zapobiec czy przerwać niepożądane doświadczenia psychiczne. W tym sensie „nowa religijna świadomość” staje się wrogiem chrześcijaństwa, który jest dużo potężniejszy i niebezpieczniejszy od dowolnej herezji z przeszłości. Kiedy doświadczenie jest stawiane ponad doktryną, normalne chrześcijańskie zabezpieczenia, które chronią przed atakami upadłych duchów, są usunięte albo zneutralizowane, a bierność oraz „otwartość”, charakterystyczne hasła nowych kultów, dosłownie otwierają duszę na igraszki demonów. Studia nad doświadczeniami duchowymi wielu z tych „kultów świadomości” wykazują, że istnieje w nich stały rozwój od

doświadczeń, które w pierwszej chwili wydają się „dobre” albo „neutralne”, do doświadczeń, które stają się dziwne lub budzące przerażenie, aż ostatecznie do doświadczeń wyraźnie demonicznej natury. Nawet wyłącznie fizyczne aspekty praktyk podobnych do jogi są niebezpieczne, ponieważ wywodzą się one i prowadzą do psychicznych postaw i doświadczeń, które były pierwotnym jej celem.

Kusząca potęga „nowej religijnej świadomości” jest dzisiaj tak wielka, że nawet może wziąć w posiadanie kogoś, kto wciąż mocno wierzy, że nadal jest chrześcijaninem. Odnosi się to nie tylko do tych, którzy oddają się taniemu synkretyzmowi czy też łączeniu chrześcijaństwa z religiami wschodnimi, na co przykłady podaliśmy wyżej; jest to prawdą również w stosunku do powiększającej się liczby ludzi, którzy uważają siebie za żarliwych chrześcijan. Głęboka ignorancja dotycząca prawdziwych chrześcijańskich doświadczeń duchowych w naszych czasach tworzy fałszywą chrześcijańską „duchowość”, natura której jest bardzo pokrewna „nowej religijnej świadomości”.

W rozdziale VII podejmiemy długą i staranną analizę najbardziej obecnie rozpowszechnionego prądu „chrześcijańskiej duchowości”. Zobaczymy w nim przerażającą perspektywę, w której „nowa religijna świadomość” bierze w posiadanie chrześcijan o dobrych intencjach, nawet prawosławnych – w takich rozmiarach, że nie można powstrzymać się od określenia tej nowej duchowości tego przemijającego świata w pojęciach z Apokalipsy, mówiącej o „wielkim zwodzeniu”, które ogarnie prawie całą

ludzkość przed końcem tego wieku. Do tego problemu powrócimy pod koniec tej książki.

VI. „Znaki z Niebios” - Prawosławne rozumienie niezidentyfikowanych obiektów latających (UFO)

Dziesięciolecia po zakończeniu drugiej wojny światowej stały się widownią nie tylko burzliwego rozwoju różnych wschodnich kultów religijnych oraz ich rosnącego wpływu na Zachodzie. Ujrzały one również narodziny i rozwój innego zjawiska, na pierwszy rzut oka wydawałoby się zupełnie nie związanego z religią, lecz po bliższym zbadaniu okazującego się – podobnie jak wschodnie kulty – znakiem „ery postchrześcijańskiej” i „nowej świadomości religijnej”. Owo zjawisko to „niezidentyfikowane obiekty latające”, które rzekomo miały być obserwowane niemal we wszystkich zakątkach świata od czasu, kiedy w 1947 roku zauważono pierwszy „latający talerz”.

Właściwe człowiekowi łatwowierność oraz zabobonność, charakterystyczne dla naszych czasów nie mniej niż dla innych momentów historii, doprowadziły do tego, że zjawisko to powiązano z „orszakiem z psychów” okrążającym kulturalny świat. Jednak zainteresowanie tym problemem przejawili również ludzie w miarę poważni i odpowiedzialni; państwowe placówki zorganizowały odpowiednie badania, a niektórzy uczeni napisali nawet książki na ten temat. Badania te nie osiągnęły pozytywnego rezultatu, jeśli chodzi o poznanie obiektów jako rzeczywistości fizycznej. Jednakże najnowsze teorie, wysunięte przez grupę uczonych dla wyjaśnienia owego fenomenu, wydają się być bliższe zadowalającego wyniku niż teorie wcześniejsze. Otóż najnowsze teorie

doprowadzają nas do „granic rzeczywistości” (taki tytuł nosi zresztą jedna z nowszych książek naukowych na ten temat) – do granicy między rzeczywistością psychiczną a duchową, do zbadania której uczeni ci nie posiadają już naukowych instrumentów. Bogactwo wiedzy zawartej w Piśmie Świętym oraz w pismach Ojców Kościoła, a odnoszącej się właśnie do tej drugiej rzeczywistości, daje chrześcijaninowi uprzywilejowaną pozycję i wyjątkową możliwość, by móc ocenić te nowe hipotezy oraz samo zjawisko UFO w ogóle.

Chrześcijanin jednak mniej niż samymi fenomenami zainteresowany jest rodzajem umysłowości, mentalnością, jaka jest z nimi związana: jak ludzie najczęściej objaśniają UFO i dlaczego? Jednym z pierwszych, którzy w taki właśnie sposób podeszli do tego zjawiska w swych pracach naukowych, był wybitny szwajcarski psycholog Carl Gustaw Jung. W swojej książce z 1959 roku zatytułowanej Latające talerze: współczesny mit o rzeczach widzianych na niebie wyjaśnia te fenomeny przede wszystkim jako zjawisko o znaczeniu psychologicznym i religijnym. I choć sam nie próbuje zgłębiać ich jako „rzeczywistości obiektywnej”, niemniej prawidłowo wskazuje na tę sferę ludzkiej wiedzy, do której one rzeczywiście się odnoszą. Współczesne badania, chociaż ich punktem wyjścia była „obiektywna”, a nie psychologiczna strona problemu, nieuchronnie doszły do konieczności wysunięcia „psychicznej” hipotezy dla wyjaśnienia owego zjawiska.

Jeżeli chcemy zająć się zjawiskiem UFO z religijnego i psychologicznego punktu widzenia, powinniśmy przede wszystkim przemyśleć historię problemu za pomocą tych terminów, w jakich zwykle objaśniali zjawisko „latających talerzy" ci, którzy wierzyli w ich istnienie, od czasu pierwszych obserwacji w latach 40. Co ludzie gotowi byli zobaczyć na niebie? Odpowiedź na to pytanie znaleźć można w krótkim przeglądzie popularnej literatury fantastyczno-naukowej.

1. Duch fantastyki naukowej

Historycy fantastyki naukowej zazwyczaj sytuują jej narodziny na początku XIX stulecia. Niektórzy upatrują jej źródeł w opowiadaniach Edgara Allana Poego, łączących w sobie realizm opisu z „tajemną" i okultystyczną treścią. Inni za pierwszego twórcę fantastyczno-naukowego uważają angielską pisarkę Mary Wollstonecraft Shelley (żonę poety Percy B. Shelleya); jej Frankenstein albo współczesny Prometeusz, wiążący fantastykę naukową z okultyzmem, stal się z czasem punktem odniesienia dla wielu dzieł tego gatunku.

Typowe książki fantastyczno-naukowe pojawiły się jednak później, pod koniec XIX i na początku XX w, poczynając od Julesa Verne'a i Herberta Wellsa, aż po współczesnych autorów. Z podrzędnego gatunku literackiego, charakterystycznego dla amerykańskich „makulaturowych" wydawnictw periodycznych lat 30. i 40., fantastyka naukowa przeistoczyła się w następnych dziesięcioleciach w pełni uznany i szanowany na świecie

gatunek literacki. Poza tym wiele obrazów filmowych, które osiągnęły niesłychany sukces, pokazuje, jak duch fantastyki naukowej zawładnął wyobraźnią szerokich mas. Tanie i sensacyjne filmy science-fiction z lat 50. ustąpiły miejsca modnym i „ideowym" obrazom w rodzaju Odysei kosmicznej 2001, Gwiezdnych wojen czy Bliskich spotkań trzeciego stopnia, nie wspominając już o najpopularniejszym i najdłuższym z telewizyjnych seriali – Gwiezdnym safari.

Duch fantastyki naukowej wypływa z filozofii czy też ideologii, która częściej pozostaje w domyśle niż jest wyrażona bezpośrednio w słowach, z którą zgadzają się praktycznie wszyscy twórcy science-fiction. Filozofię tę można z grubsza zawrzeć w następujących stwierdzeniach:

1. Religia – w tradycyjnym sensie – jest nieobecna albo traktowana powierzchownie lub błędnie. Ten gatunek literacki sam w sobie jest bez wątpienia produktem ery „postchrześcijańskiej" (co widać już w utworach Poego i Shelley). W fantastyce naukowej wszechświat przedstawiany jest w sposób całkowicie świecki, choć niekiedy z mistycznymi elementami wschodnimi bądź okultystycznymi. „Bóg", jeżeli w ogóle jest wspominany, to jedynie jako nieokreślona i bezosobowa siła (na przykład „Moc" w Gwiezdnych wojnach – energia kosmiczna, posiadająca zarówno swoją dobrą, jak i złą stronę). Rosnąca fascynacja współczesnego człowieka tematyką science-fiction to najlepsze świadectwo zagubienia tradycyjnych wartości religijnych.

2. W centrum fantastyczno-naukowego Wszechświata (w miejscu nieobecnego Boga) pojawia się człowiek – zwykle nie taki, jakim jest obecnie, lecz taki, jakim „stanie się” w przyszłości, zgodnie ze współczesną mitologią ewolucji. I chociaż w bohaterach fabuł science-fiction można jeszcze zobaczyć ludzi, to cały wysiłek autora skupia się na ich kontaktach z „super-manami” („nadludźmi”) różnego typu – od „wyżej rozwiniętych ras” przyszłości (a niekiedy i przeszłości) do przybyszów z innych galaktyk. Idea możliwości istnienia „wysoko rozwiniętego” rozumnego życia na innych planetach stała się częścią świadomości współczesnego człowieka w tak wielkim stopniu, że nawet poważne rozprawy naukowe (i półnaukowe) traktują ją jako coś zrozumiałego samo przez się. Jedna z popularnych serii książkowych (Erich von Daniken, Bogowie z kosmosu) przedstawia przypuszczalne świadectwa obecności w dawnych dziejach ludzkości „pozaziemskich istot”, czyli „bogów”, którym przypisane zostaje nagłe przebudzenie rozumu w człowieku, tak trudne do wyjaśnienia na gruncie zwykłej teorii ewolucji. Poważni uczeni w Związku Sowieckim zastanawiają się nad tym, czy zniszczenie Sodomy i Gomory nastąpiło w wyniku wybuchu nuklearnego, czy „pozaziemskie” istoty już przed wiekami odwiedzały Ziemię, czy Jezus Chrystus był „kosmonautą” i czy dziś, być może, nie stoimy u progu „drugiego przyjścia” rozumnych istot z przestrzeni kosmicznej17 . Nie mniej szacowni uczeni na Zachodzie tak bardzo wierzą w istnienie „pozaziemskich istot rozumnych”, że już od osiemnastu lat próbują nawiązać z nimi kontakt za pomocą radioteleskopów, obecnie zaś co najmniej w sześciu miejscach naszej planety astronomowie prowadzą poszukiwania rozumnych sygnałów z

kosmosu. Z kolei współcześni „teologowie” protestanccy i katoliccy, którzy przywykli podążać za nauką, dokądkolwiek by ona prowadziła, debatują nad nowymi problemami w dziedzinie „ekzotologii” („teologii przestrzeni kosmicznej”), dotyczącej możliwej natury „pozaziemskich ras”18. Nie da się zaprzeczyć, że świat, który powołał do życia fantastykę naukową, posiada nieodpartą siłę przyciągania nawet dla wielu uczonych mężów naszych czasów.

Przyszłe „wyewoluowane” istoty w literaturze science-fiction niezmiennie przedstawiane są jako te, które „przerosły” ograniczenia współczesnego człowieczeństwa, zwłaszcza granice „osobowości”. Podobnie jak „Bóg” fantastyki naukowej, człowiek stał się zadziwiająco bezosobowy. W książce Arthura Clarka Koniec dzieciństwa nowa rasa ludzka podobna jest do dzieci, lecz z twarzami pozbawionymi oznak indywidualności; są oni już przygotowani, by poprowadzono ich przez dalsze „ewolucyjne” transformacje, żeby w końcowym rezultacie stać się bezosobowym „nadrozumem”. W ogóle literatura science-fiction, w odróżnieniu od chrześcijaństwa (za to w zgodzie z niektórymi szkołami wschodniej myśli), postrzega „ewolucyjny rozwój” oraz „duchowość” jako wciąż wzrastającą depersonalizację.

3. Fantaści widzą przyszłość świata i ludzkości jako „projekcje” dzisiejszych odkryć naukowych. W gruncie rzeczy jednak te „projekcje” zadziwiająco przypominają codzienną rzeczywistość okultystycznych i otwarcie demonicznych doświadczeń wielu wieków. Wśród cech, które

posiadają „wysoko rozwinięte” istoty przyszłości, znajdziemy między innymi: telepatię, umiejętność lewitowania, materializowania i dematerializowania, zmieniania widzialnej formy rzeczy lub stwarzania iluzorycznych scen czy istot siłą „czystej myśli”, zdolność poruszania się z szybkością o wiele przewyższającą możliwości współczesnej techniki, opanowywania ciał mieszkańców Ziemi; a także rozwijanie „duchowej” filozofii, jaka „przewyższy wszystkie religie” i obiecuje stan, w którym „rozwinięte istoty rozumne” nie będą już więcej zależne od materii. Wszystko to są typowe chwyty i obietnice czarowników i biesów. W nowej książce na temat historii science-fiction zauważono, że „współczesnym aspektem fantastyki naukowej jest dążenie do wyjścia poza granice normalnego doświadczenia [...] za pośrednictwem wyobrażenia osób i zdarzeń, które pokonują granice czasu i przestrzeni w takim sensie, w jakim je znamy”. Scenariusze Gwiezdnego safari czy innych historii science-fiction, z ich futurologicznymi „naukowymi” wynalazkami, czyta się niekiedy jak urywki z żywotów dawnych świętych prawosławnych, w których opisywano działanie czarowników w czasach, gdy czarownictwo było jeszcze jednym z głównych przejawów pogańskiego życia. W ogóle fantastyka naukowa nie jest ani za bardzo naukowa, ani futurologiczna – już prędzej cofa się ona do „mistycznych” źródeł współczesnej nauki, do nauki przedoświeceniowej, która jest znacznie bliższa okultyzmowi. Ta sama praca na temat historii science-fiction stwierdza, że „korzenie fantastyki naukowej, jak i korzenie samej nauki, tkwią w magii i mitologii”. Dzisiejsze badania i eksperymenty w dziedzinie „parapsychologii” także

wskazują na postępujące przenikanie się nauki i okultyzmu – jest to wizja, z którą fantastyka naukowa znajduje się w pełnej zgodzie.

Science-fiction w Związku Sowieckim (gdzie gatunek ten jest popularny tak samo jak na Zachodzie, choć rozwija się nieco inaczej) zajmuje się tymi samymi problemami, co i na Zachodzie. W ogóle tematyka „metafizyczna" w sowieckiej fantastyce naukowej (która rozwija się pod bacznym okiem cenzorów-materialistów) ewoluuje pod wpływem zachodnich autorów lub pod bezpośrednim oddziaływaniem hinduizmu, jak w przypadku pisarza Iwana Jefremowa. Czytelnik literatury science-fiction, mówiąc słowami Grebensa, „pozostaje z całkowicie chwiejną sposobnością krytycznej oceny różnicy między nauką a magią, między uczonym a czarownikiem, między przyszłą realnością a fantazją". "Fantastyka naukowa i na Wschodzie, i na Zachodzie – twierdzi tenże autor – dowodzi, podobnie jak inne aspekty współczesnej kultury, że najwyższym stopniem humanizmu jest okultyzm"19 .

4. Fantastyka naukowa, jako gatunek futurologiczny, niemal z samej swojej natury skłania się ku utopii; wiele powieści lub opowiadań jest w całości wypełnionych opisem doskonałych społeczeństw przyszłości, w większości pozostałych zaś autorzy mówią o „ewolucji" współczesnego społeczeństwa, prowadzącej je do czegoś wyższego, lub o spotkaniach z wyżej rozwiniętymi cywilizacjami, które przynoszą nadzieję na rozwiązanie dzisiejszych problemów i poradzenie sobie ze wszystkimi niedostatkami ludzkości. „Doskonałe istoty" z przestrzeni kosmicznej często posiadają

zdolność „wszechwiedzy”, zaś lądowania statków kosmicznych na Ziemi często zapowiadają „apokaliptyczne” zdarzenia – zazwyczaj zstąpienie życzliwych istot, które chcą kierować ludźmi w ich „ewolucyjnym doskonaleniu się”.

Można powiedzieć, że literatura science-fiction XX wieku jest wymownym znakiem utraty chrześcijańskich wartości i chrześcijańskiego spojrzenia na świat; stała się ona potężnym środkiem rozpowszechniania niechrześcijańskiej filozofii oraz poglądów na życie i na historię, pozostając w gruncie rzeczy pod nieskrywanym lub zamaskowanym wpływem okultyzmu i wschodnich religii; w krytycznym czasie kryzysów oraz stanów przejściowych ludzkości stała się ona główną siłą, zmuszającą do nadziei czy nawet do oczekiwania na „gości z kosmosu”, którzy rozwiążą wszystkie problemy ludzkości i powiodą człowieka ku nowemu „kosmicznemu” wiekowi w historii. I chociaż na pozór literatura science-fiction nie jest religijna, lecz naukowa, to w rzeczywistości jest ona jedną z głównych form apostolstwa (w świeckiej formie) owej „nowej świadomości religijnej”, która zaleje ludzkość w miarę ustępowania chrześcijaństwa.

Należy koniecznie o tym wszystkim pamiętać, gdy przystępujemy do analizowania rzeczywistych informacji o pojawieniu się „niezidentyfikowanych obiektów latających”, stanowiących zadziwiającą odpowiedź na pseudoreligijne nadzieje, jakie nagromadziły się w człowieku ery „postchrześcijańskiej”.

2. Spotkania z UFO i ich naukowe badania

Chociaż fantastyka w pewien sposób przygotowała ludzi na pojawienie się UFO, nie możemy oczywiście przy „obiektywnej" ocenie rzeczywistości tego zjawiska opierać się na literaturze bądź na ludzkich nadziejach i pragnieniach. Zanim więc przejdziemy do kwestii, czym jest UFO naprawdę, powinniśmy zapoznać się z faktami dotyczącymi natury i wiarygodności badań, które były prowadzone w tej dziedzinie. Czy rzeczywiście istnieje coś „tam", na niebie, czy też jest to wynik wypaczonego postrzegania oraz psychologicznego i pseudoreligijnego dążenia, by „przyjmować pragnienie za realność"?

Zasługujący na zaufanie opis fenomenu UFO przedstawił francuski uczony, który mieszka obecnie w Kalifornii – dr Jean Yallee, uchodzący za wysokiej klasy specjalistę w dziedzinie astrofizyki i cybernetyki oraz związany od wielu już lat z naukową analizą problemu UFO. Jego świadectwo jest dla nas szczególnie cenne również z tego powodu, że badał on uważnie spotkania z UFO poza Stanami Zjednoczonymi, zwłaszcza we Francji, i dzięki temu może nakreślić obiektywną międzynarodową mapę rozprzestrzeniania się tego zjawiska20 .

Doktor Yallee uważa, że chociaż niezidentyfikowane obiekty latające były widywane od czasu do czasu w minionych wiekach, to ich „współczesna historia", jako masowego zjawiska, zaczyna się bezpośrednio po drugiej wojnie światowej. Ameryka zaczęła interesować

się nimi po zaobserwowaniu ich w 1947 roku, jednak w Europie już wcześniej widziano kilka razy dziwne, świecące obiekty, którymi, jak się wydawało, kierowały istoty rozumne. W 1946 roku, zwłaszcza w lipcu, miała miejsce cała seria spotkań z nimi w Szwecji i innych krajach Europy Północnej. Obiekty zauważone podczas tej „skandynawskiej fali" brano początkowo za „meteory", potem za „rakiety" (lub „przywidzenia rakiet") czy „bomby", w końcu zaś za „powietrzne statki nowego typu", zdolne do niezwykłych manewrów na niebie i nie pozostawiające śladów na ziemi, nawet jeżeli przypuszczano, że lądowały. Prasa europejska była pełna doniesień o tej fali dziwnych obserwacji, a w Szwecji mówiono o nich wszędzie; zarejestrowano około tysiąca przypadków zaobserwowania nieznanych obiektów, lecz ani razu nie została wysunięta hipoteza o ich „pozaziemskim" czy „międzyplanetarnym" pochodzeniu. Doktor Yallee uważa, że powodem owej „fali" były istniejące, lecz nierozpoznane obiekty, a nie jakiekolwiek wcześniejsze „słuchy o UFO" czy „oczekiwanie gości z kosmosu". W kolejnych „falach latających talerzy" dostrzega on brak związku między wzrastającą popularnością fantastyki naukowej a szczytem aktywności UFO; wcześniej „fal latających talerzy" nie obserwowano, chociaż ogólna panika w Ameryce, jaka wybuchła po audycji radiowej Orsona Wellsa Wojna światów (według utworu Herberta George'a Wellsa), miała miejsce w 1938 roku. Doktor Yallee dochodzi do wniosku, że „narodziny, rozwój i rozprzestrzenienie się fenomenu UFO są zjawiskiem obiektywnym, niezależnym od świadomego czy nieświadomego wpływu świadków oraz od ich reakcji na obiekty".

Pierwsze spotkanie, którego relacja stała się własnością publiczną, miało miejsce w Ameryce. Komiwojażer lecący własnym samolotem zauważył dziesięć dyskopodobnych przedmiotów, przypominających nieco talerze przelatujące obok gór w stanie Waszyngton. Jego opowieść podchwyciły gazety i tak zaczęła się „era latających talerzy". Interesujące jest jednak, że nie była to pierwsza tego typu obserwacja w Ameryce: kilka przypadków nigdzie nie opublikowanych miało miejsce parę miesięcy wcześniej. Fala UFO przetoczyła się także przez Węgry w czerwcu 1947 roku (zanotowano pięćdziesiąt informacji na ten temat). Wszystkich tych spotkań i obserwacji nie można uważać jedynie za rezultat histerii. Przypadków zaobserwowania UFO w 1947 roku w Ameryce było szczególnie wiele, zwłaszcza w czerwcu, lipcu i sierpniu. I chociaż niektóre gazety zaczynały nieśmiało pisać o „międzyplanetarnych gościach", to jednak uczeni nie traktowali tych doniesień serio – przypuszczano, że są to produkty wysoko rozwiniętej ludzkiej techniki, najprawdopodobniej amerykańskiej, a być może także rosyjskiej.

Druga fala – w lipcu 1948 roku – przetoczyła się przez Amerykę i Francję. W USA doszło do spektakularnego nocnego spotkania, kiedy to lotnicy pilotujący samolot D-3 linii lotniczych Eastern Airlines zauważyli statek powietrzny z dwoma rzędami „iluminatorów", podobny do torpedy, otoczony błękitnym blaskiem i z ogonem pomarańczowych płomieni. Statek ten wykonał gwałtowny manewr, unikając zderzenia z samolotem, i zniknął. W sierpniu tegoż roku w Sajgonie i innych rejonach

Azji Południowo-Wschodniej wiele razy obserwowano na niebie „podłużne obiekty podobne do rakiet”.

Rok 1949 przyniósł wiadomości o dziwnych dyskach i sferach w Szwecji oraz o wielkiej liczbie spotkań z UFO w Ameryce, przy czym dwie obserwacje były udziałem doświadczonych badaczy-astronomów. Lata 1950-51 również obfitowały w tego typu przypadki, szczególnie w USA i w Europie, jednak dopiero w roku 1952 miała miejsce pierwsza wielka międzynarodowa fala UFO, które pojawiało się zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, we Francji i w Afryce Północnej. W kulminacyjnym momencie tej fali pojawiły się dwa sensacyjne doniesienia o zaobserwowaniu tajemniczych obiektów nad Białym Domem i nad Kapitolem w Waszyngtonie (w przestrzeni stale kontrolowanej przez radary). W sierpniu fala ogarnęła Danię, Szwecję, północne Niemcy i Polskę. Jednocześnie z Francji dotarły pierwsze informacje o „lądowaniu” UFO i opis „maleńkich ludzików”.

W 1953 roku UFO nie pojawiało się falami, zanotowano jednak pewną liczbę oddzielnych obserwacji. Najbardziej znacząca z nich miała miejsce w mieście Bismarck w Północnej Dakocie, gdzie cztery tajemnicze obiekty w nocy przez trzy godziny wisiały i manewrowały w powietrzu nad stacją filtrów; oficjalny raport o tym zdarzeniu zajął kilkaset stron, łącznie z zeznaniami wielu świadków, w tym lotników i żołnierzy.

Największa międzynarodowa fala UFO, jaka w ogóle miała miejsce, przetoczyła się przez świat w 1954 roku. Francja została dosłownie zalana doniesieniami o coraz to nowych zdarzeniach – we wrześniu, październiku i listopadzie pisano o dziesiątkach spotkań i obserwacji każdego dnia. Ta francuska fala jasno ukazała ludziom poważnie zajmującym się badaniem UFO pewien problem. Jak pisze Jean Yallee: „To zjawisko osiągnęło tak wielkie rozmiary, wywarło tak wstrząsające wrażenie na opinii publicznej i spowodowało tak emocjonalną reakcję gazet, że apetyty uczonych zostały zgaszone na długo przed tym, kiedy można było zorganizować poważne badania naukowe. W rezultacie żaden uczony nie chciał narażać na szwank swojej reputacji, oficjalnie zajmując się tak nacechowanym emocjonalnie fenomenem; francuscy uczeni zachowywali milczenie, dopóki fala nie przetoczyła się i nie zamarła".

Francuska fala przyniosła ze sobą również typowe charakterystyki późniejszych spotkań z UFO: „lądowania" (z opisem określonych okoliczności), promienie światła wysyłane przez UFO do świadków, gaśniecie silnika w pobliżu miejsca spotkania, dziwne, maleńkie istoty w „skafandrach", traumatyczne przeżycia świadków i ślady pozostawione także na ciele.

Od 1954 roku na świecie zanotowano wiele tego typu zdarzeń, z wielkimi międzynarodowymi falami w latach 1965, 1967 i 1972-73. Szczególnie liczne i znaczące były spotkania w Ameryce Południowej.

Najbardziej znane badanie UFO przeprowadzone przez organizacje państwowe to trwające od 1951 do 1969 roku badanie nazwane Projektem Błękitnej Księgi, zakończone opublikowaniem tzw. Raportu Condona opracowanego przez zespół uczonych, któremu przewodniczył jeden z czołowych fizyków Uniwersytetu Colorado. Każdy, kto z bliska obserwował pracę Komitetu Condona, mógł przekonać się, że uczeni ci nie traktowali fenomenu UFO serio, a zajmowali się głównie „opinią publiczną". Pragnęli wyjaśnić zagadkowe zjawisko tajemniczych obiektów, aby uleczyć ludzi ze strachu przed nimi. Niektóre z grup zajmujących się „latającymi talerzami" obwiniały rząd USA, że wykorzystuje te badania jako zasłonę dymną dla ukrycia swej prawdziwej wiedzy o „rzeczywistej naturze" UFO; wszystkie świadectwa mówią jednak o tym, że badania te były przeprowadzone bardzo niedbale i nikt z uczonych nie traktował ich poważnie – zwłaszcza po tym, jak niektóre całkiem już dziwne historie o UFO zniechęciły badaczy. Pierwszy dyrektor Projektu Błękitnej Księgi, kapitan Edward Ruppelt przyznał, że „gdyby siły wojenno-powietrzne postawiły sobie za cel zamącić i zagmatwać sprawę, to nie mogłyby tego uczynić lepiej. [...] Problem starano się zawikłać. [...] Wszystko oceniano z przyjętego już wcześniej punktu widzenia – że UFO nie istnieje"21 . Raport Condona zawiera kilka stereotypowych „wyjaśnień" fenomenu UFO; jedno z nich twierdzi na przykład, że „to niezwykłe zjawisko powinno być zaliczone do kategorii prawie bezspornie rzeczywistych zjawisk, które mają miejsce tak rzadko, że nie były, rzecz jasna, obserwowane nigdy przedtem, ani potem". Główny konsultant naukowy Błękitnej Księgi w ciągu niemal dwudziestu lat istnienia projektu, astronom z Uniwersytetu

Północno-Zachodniego Allen Hynek otwarcie nazywa to wszystko „pseudonaukowym projektem”22 .

W ciągu dwudziestu lat badań, jakiekolwiek by one były, naukowcy pracujący nad Projektem Błękitnej Księgi zebrali informacje o ponad 1200 dziwnych zjawiskach niebieskich, z których co czwarte pozostawało „zagadkowe” nawet po wykorzystaniu wszystkich dowolnie naciąganych „objaśnień”. Wiele tysięcy innych przypadków zebrały i zbierają nadal prywatne organizacje na całym świecie, mimo że niemal wszystkie organizacje rządowe powstrzymują się od jakiejkolwiek wzmianki na ich temat. W ZSRR po raz pierwszy poruszono publicznie tę kwestię w 1967 roku, kiedy dr Feliks Zigel z Moskiewskiego Instytutu Lotniczego w czasopiśmie Smiena wspomniał, że „sowieckie radary wyłapują niezidentyfikowane obiekty latające od dwudziestu lat23. W tym czasie w ZSRR, pod przewodnictwem ormiańskiego astronoma Wiktora Ambarcumiana, odbyła się dotycząca kosmicznych cywilizacji konferencja naukowa, podczas której padła zachęta do rozwiązywania naukowych i technicznych problemów związanych z komunikacją z podobnymi „cywilizacjami”, których istnienia nie podawano w wątpliwość. Rok później jednak temat UFO w ZSRR został zakazany. Od tej pory sowieccy uczeni o swych badaniach i hipotezach mogli opowiedzieć swoim zachodnim kolegom tylko podczas prywatnych spotkań.

W Stanach Zjednoczonych problematyka UFO dla pracowników naukowych i wojskowych pozostaje nieco „poza granicami nauki”; w

ostatnich latach jednak coraz więcej uczonych, zwłaszcza młodych, zaczęło odnosić się do tej kwestii poważnie. Postanowili oni wyjaśnić ów fenomen oraz poszukać właściwej metody zbadania go. Doktorzy Hynek i Yallee mówią o „niewidzialnym college'u" uczonych, którzy obecnie aktywnie zajmują się problemem UFO, chociaż większość z nich nie życzy sobie, by ich nazwiska były publicznie wymieniane i kojarzone z tą tematyką.

Istnieją oczywiście i tacy, którzy nadal kategorycznie zaprzeczają tym zjawiskom, objaśniając je jako branie rzeczywistych obiektów, aerostatów, samolotów itd. za UFO, nie wspominając już o szalbierstwach i psychologicznych „projekcjach". Jeden z takich naukowców, Philip Klass, znajduje upodobanie w „demaskowaniu" UFO jako rzeczywistego zjawiska. Jego badania przekonały go, że „idea cudownych statków kosmicznych z dalekich planet jest w gruncie rzeczy czarującą bajką dla dorosłych"24. Tacy twardogłowi badacze częściej jednak ograniczają się do przypadków, w których mają do czynienia z rzekomo autentycznym materialnym dowodem lądowania UFO (tzw. „bliskie kontakty drugiego stopnia" – będzie o nich mowa poniżej); nawet najbardziej zagorzali obrońcy istnienia UFO muszą bowiem przyznać, że takich dowodów w przypadku najbardziej przekonywających wiadomości o UFO jest bardzo mało. Jedyne, co rzeczywiście przez całe lata zmuszało uczonych do zajmowania się tym problemem na poważnie, to nie materialne dowody owego fenomenu, lecz fakt, że wielu szacownych i zasługujących na zaufanie ludzi widziało coś nie poddającego się objaśnieniu, co wywarło na nich niezatarte wrażenie. Doktor Hynek pisze o swoich badaniach:

„Zawsze miałem takie poczucie, że rozmawiam z człowiekiem, który opisuje realne wydarzenie. Dla niego czy dla niej nie było to jedno z wielu błahych przeżyć, było ono żywe i w żadnym stopniu nie podobne do snu, było to przeżycie, do którego obserwator zazwyczaj nie był w ogóle przygotowany, ale natychmiast rozumiał, że jest to nieporównywalne z niczym zjawisko".

Połączenie realności wrażeń przy spotkaniach z UFO (zwłaszcza w „bliskich kontaktach") z prawie zupełnym brakiem dowodów prowadzi do wniosku, że badanie UFO ze swej natury nie jest badaniem zjawisk fizycznych, lecz analizą relacji świadków, oceną ich wiarygodności, niesprzeczności itd. Już samo to sytuuje owe badania raczej w granicach psychologii. Powinno to również wystarczyć, by przekonać nas, że uporczywe poszukiwania „materialnych dowodów" to złe podejście do problemu. W tym kontekście wnioski Philipa Klassa, że „cudowne statki kosmiczne" to jedynie czarujące bajki dla dorosłych, nie są, być może, tak dalekie od prawdy. Zaobserwowanie UFO to jedno, zaś interpretacja, jaką ludzie nadają własnym (lub cudzym) obserwacjom, to zupełnie coś innego: pierwsze może być w pełni realne, drugie natomiast jest „czarującą bajką", mitem naszych dni.

Doktor Hynek badał dużą liczbę spotkań z UFO i uczynił wiele, by wyeliminować spośród nich liczne naturalne, ludzkie pomyłki. Podkreśla on, że znaczna część obserwacji nie była udziałem wyznawców różnych kultów, lecz ludzi chwiejnych i niesolidnych. Wiele wiadomości

przekazanych przez tego typu ludzi od razu oceniono jako nie zasługujące na zaufanie i nie weszły one w ogóle do materiału badawczego. Najbardziej szczegółowe i wyważone relacje pochodzą jednak od normalnych, odpowiedzialnych za swoje słowa ludzi, którzy są szczerze poruszeni lub wstrząśnięci swoim przeżyciem i nie wiedzą, co o tym wszystkim mają sądzić. Im silniejsze przeżycie, im bliżej świadek przebywał z UFO, tym mniej jest skłonny o tym opowiadać. Kartoteka relacji o UFO to – jak się wyraził jeden z generałów amerykańskiego lotnictwa – kolekcja „nieprawdopodobnych historii, opowiedzianych przez godnych zaufania ludzi". Zdrowy rozsądek nie pozwala nam wątpić, że za wieloma tysiącami poważnych relacji o UFO musi się rzeczywiście coś kryć.

3. Sześć kategorii spotkań z UFO

Doktor Hynek, badający tę sprawę bardziej szczegółowo niż jakikolwiek inny znany uczony, dla uproszczenia podzielił fenomeny UFO na sześć kategorii. Pierwsza – „nocne obiekty świecące" – odnosi się do zjawisk najczęściej obserwowanych i budzących najmniejsze zdziwienie. Większość takich obiektów łatwo można rozpoznać jako ciała niebieskie, meteoryty itd. Nie są one identyfikowane z UFO. Prawdziwie zagadkowe „nocne obiekty świecące" (to znaczy te, które pozostają „niezidentyfikowane") związane są z rozumną działalnością, nie mogą być jednak rozpoznane jako zwyczajny samolot i często widziane są przez wielu świadków, w tym policjantów, pilotów czy dyspozytorów lotniczych.

Druga kategoria UFO to „dzienne dyski”, które zachowują się podobnie jak „nocne obiekty świecące”. Są to osławione „latające talerze”. Prawie wszystkie niezidentyfikowane obiekty tej kategorii mają kształt dysku, choć dopuszczalne są różne warianty: od bardziej okrągłych do przypominających cygaro. Często wydają się one metaliczne i – zgodnie z relacjami świadków – są zdolne do nieprawdopodobnie szybkiego zatrzymania się i startu, a także charakteryzują się niezwykłą zwrotnością (na przykład nagła zmiana kierunku lub nieruchome zawisanie), niemożliwą do osiągnięcia przez znane w naszych czasach statki powietrzne. Istnieje wiele dokumentalnych zdjęć podobnych dysków, lecz wszystkie one nie są zbyt przekonujące z powodu znacznego oddalenia obiektów; nie wykluczone jest też hochsztaplerstwo. Podobnie jak i „nocne obiekty świecące”, UFO należące do tej kategorii prawie zawsze porusza się bezdźwięcznie; często widzi się je po dwa lub więcej jednocześnie.

Trzecia kategoria to przypadki „radarowo-wizualne”. Chodzi o lokalizację za pomocą radaru, potwierdzoną przez obserwację bezpośrednią (ponieważ sam sygnał radarowy może dawać wiele fałszywych wyobrażeń). Większość takich zdarzeń ma miejsce w nocy, najbardziej zaś spektakularne przypadki to obserwacje dokonane jednocześnie z kilku samolotów (niekiedy specjalnie podniesionych w powietrze w poszukiwaniu UFO) z dostatecznie bliskiej odległości. W takich wypadkach UFO zawsze manewruje szybciej od samolotów, niekiedy jest śledzone, ale w końcu znika, rozwinąwszy niesłychaną

prędkość (do 4 tysięcy mil na godzinę). Czasami, jak to bywa też w dwóch omówionych wcześniej kategoriach, obiekt jakby się dzieli i przekształca w dwa lub więcej „zjawiska”. Zdarza się i tak, że obiekty te, doskonale widoczne przez lotników w powietrzu, w ogóle nie są rejestrowane na ekranach radarów. Spotkania tej kategorii, podobnie jak dwóch pierwszych, trwają od kilku minut do kilku godzin.

Wiele przypadków należących do trzech pierwszych kategorii potwierdzają świadectwa dużej liczby godnych zaufania, doświadczonych i niezależnych świadków. Niemniej, jak zauważył dr Hynek, każde z tych zdarzeń mogło zajść z powodu niezwykle rzadkiego zbiegu okoliczności, a nie z powodu jakiegoś nowego i nieznanego dotąd fenomenu. Kiedy jednak gromadzi się mnóstwo dobrze udokumentowanych relacji, zgadzających się ze sobą, prawdopodobieństwo tego, że są one jedynie błędną identyfikacją naturalnych obiektów, maleje niemal do zera. Jest to powód, dla którego poważni naukowcy zajmujący się problem UFO skupili obecnie swoją uwagę na zbieraniu dobrze udokumentowanych świadectw. Analiza porównawcza wielu wiarygodnych relacji zaczyna już ukazywać precyzyjne modele aktywności UFO.

Emocjonalna reakcja osób, których kontakty z UFO można zaliczyć do opisanych wyżej trzech kategorii, to jedynie konsternacja i niezrozumienie: zobaczyli oni coś prawdziwie niewytłumaczalnego i odtąd męczy ich pragnienie, by ujrzeć to coś „choć odrobinę bliżej”. Jedynie w nielicznych przypadkach – najczęściej u lotników, którzy próbowali śledzić

UFO – pojawiał się strach przy spotkaniu z obiektem, który, jak wynikało to z pozoru, kierowany był przez istoty rozumne, a swoimi technicznymi możliwościami wyprzedzał dalece naszą współczesną technikę. Tymczasem w przypadku „bliskich kontaktów" ludzie przeżywają głębsze emocje i decydująca staje się „psychiczna" strona fenomenu.

„Bliskie spotkania pierwszego stopnia" (BS-1) to obserwacje świecących obiektów z niedużej odległości (około 500 stóp lub mniej), przy czym światło często jest bardzo jaskrawe i wywołuje luminescencje znajdującej się pod nim ziemi. Gdy opisywano kształt obiektu, porównywano go zwykle do owalu, niekiedy z kopułą na górze. Ognie z kolei często bywają określane jako wirujące, zwykle przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Nierzadko obiekty zawisają nisko nad ziemią, bezszelestnie lub z niewielkim szumem, czasami przesuwają się tuż nad samą ziemią, pokonując znaczne odległości, znikają natomiast zazwyczaj z nieprawdopodobną prędkością, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku i – jest to niemal reguła – unoszą się pionowo w górę. Relacji o tego typu „bliskich spotkaniach", których świadkami było jednocześnie kilka osób, jest dosyć wiele. We wszystkich świetnie udokumentowanych przypadkach relacje świadków zgadzają się, jak gdyby chodziło o rzeczywistą obserwację tego samego obiektu (lub obiektów identycznych). Jest prawidłowością, że wszystkie takie kontakty miały miejsce nocą w bardzo oddalonych od siebie miejscach, a każde zdarzenie miało po kilku świadków (w przypadkach badanych przez dra Hynka średnio trzech lub czterech).

„Bliskie spotkania pierwszego stopnia” zawsze są wstrząsające i często przypominają koszmar, nigdy jednak nie zostawiają po sobie żadnych widocznych śladów; świadkowie są zazwyczaj tak wstrząśnięci tym, co zobaczyli, że zapominają zrobić zdjęcia, nawet jeśli mają pod ręką aparat. Typowe wrażenie, jakie wywołuje na świadku takie spotkanie, zostało opisane przez jedną z osób, która zobaczyła UFO w 1955 roku: „Uwierzcie mi, że jeśli ktokolwiek zobaczy taki obiekt tak blisko chociażby przez jedną minutę, to wryje się to mu w pamięć aż do śmierci”. Owe zetknięcia są tak niezwykłe, że często nikt nie wierzy w opowiadania świadków – jest to powód, dla którego wielu mówi o tym w sekrecie, po upływie całych lat, lub w ogóle milczy. Takie zdarzenia w większym stopniu są rzeczywiste dla tych, którzy je przeżyli – dla wszystkich pozostałych są one całkowicie nieprawdopodobne.

Typowy „bliski kontakt pierwszego stopnia” przeżyli w 1966 roku dwaj pomocnicy szeryfa z Portage County, w stanie Ohio. Szesnastego kwietnia około 500 rano, gdy zatrzymali się obok samochodu zaparkowanego na poboczu drogi, ujrzeli w powietrzu obiekt „wielki jak dom”, który opuścił się na wysokość wierzchołków drzew. Potem przybliżał się do ludzi, świecąc coraz silniej i w miarę zbliżania się oświetlał wszystko wokół jaskrawym światłem, aż w końcu zawisł nad nimi z cichym brzęczeniem. Następnie obiekt zaczął się oddalać, oni zaś podążali za nim jeszcze przez około 70 mil do granicy stanu Pensylwania z szybkością 105 mil na godzinę. Dwóch innych policjantów również wyraźnie widziało ów obiekt,

kiedy podniósł się on wyżej, a później wzbił się nagle w górę i zniknął. Wszystko działo się o świcie. Żądanie Kongresu zmusiło realizatorów Projektu Błękitnej Księgi do zbadania tego przypadku; „wyjaśniono" go jako „zaobserwowanie planety Wenus", zaś oficerowie, którzy powiadomili o zajściu, stali się ofiarami napaści i drwin ze strony prasy – w rezultacie doprowadziło to do rozbicia rodziny jednego z nich, jego zdrowie zostało nadszarpnięte, a kariera złamana. Osobiste tragedie, podobne do tej, stały się wśród ludzi, którzy mieli „bliskie kontakty pierwszego stopnia", tak często spotykane, że należałoby je włączyć do „typowych charakterystyk" owego fenomenu.

„Bliskie spotkania drugiego stopnia" (BS-2) w istocie przypominają BS-1, różnią się jednak tym, że pozostawiają po sobie niekiedy uderzające fizyczne i (lub) psychiczne ślady swej obecności. Do takich śladów należą: znaki na ziemi, spalone lub nadpalone drzewa oraz inna roślinność, wpływ na urządzenia elektryczne wywołujący zakłócenia czy powodujący gaśniecie silników samochodowych, niepokój u zwierząt przejawiający się w nienormalnym zachowaniu, a także oddziaływanie na ludzi rozpoznawalne w formie czasowego paraliżu lub oniemienia, żaru, duszności i innych nieprzyjemnych uczuć, czasowej utraty ciężaru (prowadzącej niekiedy do lewitacji), nagłego uwolnienia się od cierpień i bólów, pojawienie się różnorodnych psychicznych i fizycznych następstw, na przykład niezwykłych śladów na ciele. Spotkania z UFO tego rodzaju dają największe możliwości badaniom naukowym, gdyż poza relacjami świadków istnieją dowody rzeczowe, które można zbadać. W

rzeczywistości jednak takich badań przeprowadzono bardzo mało, po części dlatego, że same dowody były niewystarczające lub w dużej mierze – subiektywne. Opracowano katalog, w którym na dwudziestu czterech stronach zestawiono osiemset tego typu przypadków. Ani razu jednak nie odnaleziono choćby jednej prawdziwej „części" UFO, pozostawione zaś na ziemi znaki okazały się tak samo zagadkowe jak tajemnicze obiekty. Najczęściej ślady po lądowaniu (kiedy UFO znajdowało się na ziemi lub unosiło się bezpośrednio nad tym miejscem) to wypalone, wysuszone lub wgłębione działki w formie obrączki o średnicy 20-30 stóp i grubości 1-3 stóp. Owe „obrączki" nie znikały przez wiele tygodni i miesięcy a są nawet udokumentowane przypadki, że przez rok lub dwa lata ziemia wewnątrz obrączki pozostawała jałowa. Chemiczne analizy pobranych próbek gruntu z tych miejsc nie pozwalają na wysnucie jakichkolwiek wniosków o naturze owego zjawiska.

„Bliskie spotkania drugiego stopnia" przytrafiają się ludziom, którzy znajdują się w nocy na opustoszałych odcinkach dróg. W wielu podobnych przypadkach świecący obiekt ląduje nieopodal w polu lub na drodze przed samochodem osobowym lub ciężarówką; silnik i reflektory samochodu przestają działać, a siedzący w środku ludzie z przerażeniem patrzą na UFO, dopóki nie zniknie – najczęściej czyni to, podrywając się w górę niespodziewanie i bezdźwięcznie; potem silnik samochodu znów zaczyna pracować, niekiedy zapala się samoczynnie.

Najstraszniejsze jednak kontakty z UFO to – zgodnie z relacjami – „bliskie spotkania trzeciego stopnia” (BS-3), a zwłaszcza spotkania z „istotami ożywionymi” („pasażerami” lub „humanoidami”). Pierwsza reakcja większości ludzi, którzy słyszą o podobnych zdarzeniach, to wizja „maleńkich zielonych ludzików”, a następnie lekceważące machnięcie ręką i uznanie całego zajścia za oszustwo lub halucynację. Jednakże sukces niedawno nakręconego w USA filmu, który nosi taki sam tytuł, jak opisywana wcześniej kategoria kontaktów z UFO – Bliskie spotkania trzeciego stopnia (konsultantem naukowym był dr Hynek), a także badania przeprowadzone przez naukowców w Instytucie Gallupa z 1974 roku, wskazujące, że 5 procent tych, którzy słyszeli o UFO, wierzy w ich rzeczywiste istnienie, zaś 46 procent wszystkich ankietowanych wierzy w rozumne życie na innych planetach25 – wszystko to świadczy o coraz szybciej wzrastającej gotowości współczesnego człowieka, by uznać ideę realnych kontaktów z „nieludzkim rozumem”. Fantastyka naukowa zrodziła obrazy, „ewolucja” stworzyła filozofię, a technologia „wieku kosmicznego” zabezpieczyła możliwość takich kontaktów.

Jest to porażające, ale tego typu kontakty miały już widocznie miejsce w rzeczywistości w naszych czasach, jak potwierdzają to relacje wielu godnych zaufania świadków. To z kolei oznacza, że pierwszorzędnego znaczenia nabiera interpretacja – wyjaśnienie, jakie powinno być przypisane tym wydarzeniom. Czy stoi za nimi rzeczywisty kontakt z „gośćmi z kosmosu”, czy też jest to wymuszone przez „ducha czasów” objaśnienie kontaktów zupełnie innego rodzaju? Jak zobaczymy poniżej,

współcześni naukowcy badający problem UFO również postawili to pytanie.

Doktor Hynek przyznaje się, że najchętniej zanegowałby samą możliwość spotkań BS-3: „Otwarcie mówiąc, byłbym bardzo zadowolony, gdyby dało się obejść ten problem milczeniem. I zrobiłbym to, gdybym nie naruszał tym samym naukowej zasady sumienności". Jednakże dąży on do zachowania naukowej obiektywności i uznaje za niemożliwe zignorowanie dobrze udokumentowanych przypadków tego dziwnego fenomenu, poświadczonych przez wiarygodnych świadków. Doktor Hynek wspólnie z drem Yallee skatalogował prawie 1250 „bliskich spotkań". W 750 z nich jest mowa o lądowaniu statków, a w ponad 300 – o „humanoidach" znajdujących się w środku lub w pobliżu statku, przy czym około 100 ostatnich to przypadki potwierdzone przez wielu naocznych świadków.

Oto jeden z takich przypadków spotkania z „humanoidami", który miał miejsce w 1961 roku na terytorium jednego z północnych, równinnych stanów USA. Czworo myśliwych wracało późno do domu, gdy jeden z nich dostrzegł nagle płomienisty obiekt spadający w dół. Wydało mu się, że to samolot, który uległ awarii i upadł na drogę, pół mili od nich. Kiedy znaleźli się na miejscu „awarii", wszyscy czterej zobaczyli obiekt w kształcie podłużnego cylindra, który wbił się pod kątem prostym w ziemię na polu, zaś wokół niego stały cztery postacie przypominające ludzi (dzieliła ich odległość około 160 metrów). Poświecili reflektorami na jedną z figur, która miała około 130 centymetrów wysokości i ubrana była w coś w

rodzaju białego kombinezonu; figura dała znak, by nie podchodzili. Długo nie zwlekając, myśliwi (wciąż myśleli, że to awaria samolotu) pojechali na poszukiwanie policji. Kiedy wrócili, zobaczyli tylko kilka słabych czerwonych ogników, podobnych do świateł samochodu. Razem z policjantem wjechali na pole i podążyli za ognikami, lecz nagle spostrzegli, że ognie znikły absolutnie bez śladu. Kiedy zdenerwowany policjant odjechał, myśliwi znów zobaczyli „cylinder", który z czerwonawym połyskiem opuszczał się z nieba. Kiedy obiekt wylądował, natychmiast obok niego pojawiły się dwie figury i wtedy rozległ się wystrzał (żaden z myśliwych nie przyznaje się, że to on wystrzelił). Jedna z postaci, „ranna" w ramię (dało się słyszeć głuche uderzenie), odwróciła się i padła na kolana. Myśliwi w panice rzucili się do samochodu i uciekli, po drodze postanowili nie opowiadać nikomu o całym zdarzeniu. Powrócili do domów z dziwnym wrażeniem, jakby w ciągu nocy zagubili jakiś odcinek czasu. Następnego dnia jednego z tych ludzi odwiedziło w pracy kilku elegancko ubranych mężczyzn, wyglądających na „oficjalnych przedstawicieli". Zadawali mu pytania na temat wypadku (nie wspomniał o wystrzale), potem odwieźli go swoim samochodem do domu, gdzie oglądali jego odzież i obuwie, a następnie odjechali, poprosiwszy przedtem, by nikomu nie wspominał o zdarzeniu.

VII. „Odnowa charyzmatyczna" jako znak czasów

„Costa Deir wziął mikrofon i powiedział nam jak ciężko mu jest na sercu z powodu Greckiej Cerkwi Prawosławnej. Poprosił ojca Driscolla z Kościoła Episkopalnego o modlitwę aby Duch Święty ogarnął tę Cerkiew, tak jak ogarnął Kościół Katolicki. Kiedy ojciec Driscoll się modlił, Costa Deir płakał do mikrofonu. Po modlitwie otrzymaliśmy długie przesłanie w językach i równie długą interpretację mówiącą, że modlitwa nasza została wysłuchana i Duch Święty przewieje i przebudzi Grecką Cerkiew Prawosławną... Do tego czasu było tam tak dużo płaczu i lamentu, że przestałem się angażować emocjonalnie... Jednak usłyszałem sam siebie mówiącego zaskakującą rzecz: 'Pewnego dnia kiedy przeczytamy, jak Duch poruszył Grecką Cerkiew Prawosławną, przypomnijmy sobie, że byliśmy tutaj w tym momencie, kiedy się to zaczęło'"37

Sześć miesięcy po opisanym tutaj wydarzeniu, które miało miejsce na międzywyznaniowym spotkaniu „charyzmatycznym" w Seattle, prawosławni chrześcijanie rzeczywiście usłyszeli, że „duch charyzmatyczny" zaczął działać w Greckiej Cerkwi Prawosławnej. Zaczynając od stycznia 1972 roku Logos ojca Euzebiusza Stephanou zaczął donosić o pojawieniu się tego ruchu, który już wcześniej objął kilka parafii greckiej i syryjskiej Cerkwi w Ameryce, a teraz przy aktywnym poparciu samego o. Euzebiusza dotarł już do wielu następnych parafii. Kiedy czytelnik zapozna się z opisem tego „ducha", według relacji głównych

przedstawicieli tego ruchu zamieszonych poniżej, nie powinien mieć najmniejszej wątpliwości, że dokładnie poprzez to właśnie wydarzenie, poprzez takie natarczywe błagania „międzywyznaniowych chrześcijan", ten „duch" został wezwany i skierowany do świata prawosławnego. Jeżeli coś ma wynikać z tego opisu, to chyba jedynie to, że spektakularne dzisiejsze „odrodzenie charyzmatyczne" jest nie tylko wyłącznie zjawiskiem niewątpliwego rozchwiania emocjonalnego i protestanckiej „odnowy" – pomimo, że te elementy są również stale obecne – ale właściwie są dziełem „ducha", którego można wywołać i który działa „cuda". Pytanie na które powinniśmy poszukać odpowiedzi na tych stronach jest następujące: co albo kto jest tym duchem? Jako prawosławni chrześcijanie wiemy, że tylko Bóg działa cuda; diabeł zaś ma swoje własne „cuda"; w rzeczywistości jest on w stanie jedynie małpować każdy prawdziwy cud zdziałany przez Boga. Dlatego też powinniśmy na tych stronach wnikliwie badać duchy, czy pochodzą od Boga (1 J 4:1).

Powinniśmy zacząć od krótkiego rysu historycznego, ponieważ nikt nie zaprzeczy, że „odnowa charyzmatyczna" przeszła do świata prawosławnego od wyznań protestanckich i katolickich, które z kolei otrzymały ją od sekt zielonoświątkowców.

1. XX-wieczne ruchy zielonoświątkowe

Współczesny ruch zielonoświątkowy, mimo że posiada XIX-wieczne tradycje, rozpoczął się dokładnie o godzinie 1900 w wigilię nowego roku

1900. Jakiś czas przedtem duchowny metodystyczny w Topeka, Kansas, Charles Parcham, aby zaradzić słabościom jego chrześcijańskiej służby pasterskiej, do których się otwarcie przyznawał, rozpoczął z grupą swoich uczniów staranne studia Nowego Testamentu aby odkryć sekret mocy chrześcijaństwa apostolskiego. Uczniowie jego ostatecznie wywnioskowali, że sekret ten musi tkwić w darze „mówienia językami", któremu, jak uważali, w Dziejach Apostolskich zawsze towarzyszyło otrzymanie Ducha Świętego. Ze zwiększającym się podekscytowaniem i napięciem, Parcham i jego uczniowie byli zdecydowani modlić się aż do momentu kiedy otrzymają „chrzest w Duchu Świętym" razem z darem mówienia językami. 31 grudnia 1900 roku modlili się bez powodzenia od rana do wieczora, dopóki jedna młoda dziewczyna nie poddała myśli, że w ich eksperymencie został opuszczony jeden ważny szczegół: „nakładanie rąk". Wtedy Parcham położył ręce na głowie dziewczyny a natychmiast zaczęła ona przemawiać w „nieznanym języku". Przez następne trzy dni nastąpiło wiele podobnych „chrztów", z włączeniem samego Parchama oraz dwunastu innych duchownych różnych wyznań, każdy z towarzyszącym mu darem mówienia językami. Szybko ta odnowa rozprzestrzeniła się w Teksasie, a potem miała spektakularny sukces w murzyńskim kościółku w Los Angeles. Od tej pory ruch odnowy rozszedł się po całym świecie i przyznaje się do miliona członków.

Przez połowę wieku ruch zielonoświątkowy pozostawał ruchem sekciarskim i wszędzie przez inne wyznania przyjmowany był z wrogością. Potem jednak mówienie językami zaczęło stopniowo pojawiać się również

w dominujących wyznaniach, mimo że na początku było to raczej utrzymywane w tajemnicy, aż do roku 1960, kiedy to ksiądz kościoła episkopalnego niedaleko Los Angeles rozgłosił wszem i wobec fakt otrzymania przez niego „chrztu w Duchu Świętym" oraz daru mówienia językami. Po początkowej wrogości „odnowa charyzmatyczna" otrzymała oficjalne lub nieoficjalne przyzwolenie wszystkich głównych wyznań i gwałtownie rozprzestrzeniła się zarówno w Ameryce jak i zagranicą. Nawet Kościół Katolicki, dawniej sztywny i ekskluzywny, w późnych latach 60. podjął na poważnie „odnowę charyzmatyczną" i entuzjastycznie podążył za tym ruchem. Biskupi Kościoła Katolickiego w Ameryce dali swoje przyzwolenie dla „odnowy" w 1969 roku i te kilka tysięcy katolików zaangażowanych wówczas w ten ruch rozrosło się do rzeszy setek tysięcy, którzy okresowo zbierali się w lokalnych lub narodowych konferencjach „charyzmatycznych", z liczbą uczestników dochodzącą często do dziesiątek tysięcy ludzi. Katolickie kraje europejskie również entuzjastycznie stały się „charyzmatyczne", o czym świadczy konferencja „charyzmatyczna" z lata 1978 roku w Irlandii, w której wzięły udział tysiące irlandzkich księży. Niedługo przed swoją śmiercią papież Paweł VI spotkał się z delegacją ruchu „odnowy" i ogłosił, że sam również jest „charyzmatykiem".

Co może być powodem tak spektakularnego sukcesu „chrześcijańskiej" odnowy w wyraźnie postchrześcijańskim świecie? Bez wątpienia odpowiedź leży w dwóch czynnikach: pierwszy to sprzyjający grunt, na który składają się miliony „chrześcijan", odczuwających, że ich religia

usycha, że jest zbyt racjonalna, bardzo powierzchowna, bez wewnętrznego żaru i mocy; drugi to niezaprzeczalnie potężny „duch" stojący za tym fenomenem, który przy sprzyjających warunkach jest w stanie zdziałać wiele różnych „charyzmatycznych" cudownych zjawisk, włączając w nie uzdrowienia, mówienie językami, tłumaczenie, prorokowanie – i, leżące u podstaw tego wszystkiego, wszechogarniające doświadczenie, które nazywane jest „chrztem Ducha Świętego" (lub w Duchu Świętym).

Ale czym dokładnie jest ten „duch"? Rzeczą znaczącą jest, że pytanie to bardzo rzadko, jeżeli w ogóle, jest stawiane przez uczestników „odnowy charyzmatycznej"; ich doświadczenie „chrztu" jest tak silne i było poprzedzone tak skutecznym przygotowaniem psychologicznym przy pomocy skoncentrowanej modlitwy i oczekiwania, że nie ma już w ich umysłach żadnych wątpliwości, że rzeczywiście otrzymali oni Ducha Świętego, że widzą i doświadczają tych samych zjawisk, których doświadczali Apostołowie, i które opisane są w Dziejach Apostolskich. Także psychologiczna atmosfera tego ruchu jest często tak jednostronna i napięta, że wysuwanie jakichkolwiek wątpliwości uważane jest za ogromne bluźnierstwo przeciwko Duchowi Świętemu. Z setek książek dotyczących tego ruchu, które do tej pory się pojawiły, tylko kilka wyraża jakieś nawet nieznaczne wątpliwości dotyczące duchowej wiarygodności tego ruchu.

Aby uzyskać lepsze wyobrażenie o cechach charakterystycznych „odnowy charyzmatycznej", zbadajmy kilka świadectw i doświadczeń jej uczestników, zawsze porównując je ze standardami Świętego Prawosławia. Te świadectwa zostaną wzięte, z wyjątkiem kilku zaznaczonych, z apologetycznych książek i czasopism ruchu, napisanych przez ludzi przychylnych, którzy publikują oczywiście tylko te materiały, które wydają się wspierać ich punkt widzenia. Potem porzucimy wąskie źródło zielonoświątkowe, i zajmiemy się głównie protestanckimi, katolickimi i prawosławnymi uczestnikami współczesnej „odnowy charyzmatycznej".

2. „Ekumeniczny" duch „odnowy charyzmatycznej"

Przed przytoczeniem „charyzmatycznych" świadectw powinniśmy wspomnieć o charakterze pierwotnego ruchu zielonoświątkowego, o którym rzadko wspominają „charyzmatyczni" pisarze, a który objawia się w zdumiewającej wielości i różnorodności sekt zielonoświątkowych, każda ze swoją doktrynalną odrębnością, z których wiele nie posiada żadnego powiązania z pozostałymi. Istnieją „Boże zgromadzenia", „Kościoły Boga", „Zielonoświątkowcy" oraz „świątobliwe" ciała, grupy „pełnej Ewangelii", itp. z których wiele podzielonych jest jeszcze na mniejsze sekty. Pierwszą rzeczą jaką można powiedzieć o „duchu", który wzbudza taką anarchię jest to, że z pewnością nie jest to duch jedności, że jest całkowicie inny niż

Duch Kościoła Apostolskiego pierwszego wieku, na który ruch zielonoświątkowy tak często się powołuje i do którego chce powrócić. Niemniej jednak w poprzednim dziesięcioleciu, szczególnie w „odnowie charyzmatycznej", prowadzono dialog z innymi wyznaniami o „jedności", która miała inspirować ten ruch. Ale jaki jest to rodzaj jedności? – prawdziwa jedność Kościoła, którą prawosławni chrześcijanie zarówno pierwszego czy dwudziestego wieku dobrze znają, czy pseudojedność ruchu ekumenicznego, który zaprzecza istnieniu Kościoła Chrystusa?

Odpowiedź na to pytanie została sformułowana dość wyraźnie przez być może najważniejszego „proroka" XX-wiecznego ruchu zielonoświątkowego, Davida Du Plessis, który przez ostatnie dwadzieścia lat aktywnie rozgłaszał nowinę o „chrzcie Ducha Świętego" między wyznaniami Światowej Rady Kościołów, jako odpowiedź na „głos", który w 1951 roku polecił mu aby to czynił. „Odnowa Ducha Świętego w Kościołach nabiera mocy i szybkości. Najbardziej niezwykłą rzeczą jest to, że odnowa ustanowiona została w tak zwanych liberalnych społeczeństwach, dużo mniej w ewangelicznych, a już całkiem nie pojawiła się w fundamentalistycznych odłamach protestantyzmu. Te ostatnie są teraz najbardziej gwałtownymi przeciwnikami tej wspaniałej odnowy, ponieważ właśnie w ruchu zielonoświątkowym oraz w modernistycznej Światowej Konferencji Ruchu znajdujemy najpotężniejsze przejawy Ducha" (Du Plessis, str. 2838).

W Kościele Katolickim podobnie „odnowa charyzmatyczna” pojawia się dokładnie w kręgach „liberalnych”, a jej rezultaty to jeszcze większe rozwijanie ekumenizmu oraz liturgicznych eksperymentów (msze gitarowe itp.); podczas gdy tradycyjni katolicy są przeciwni temu ruchowi, tak jak fundamentalistyczni protestanci. Bez wątpienia orientacja „odnowy charyzmatycznej” jest bardzo ekumeniczna. „Charyzmatyczny” pastor luterański Clarens Finsaas pisał: „Wielu zaskoczonych jest tym, że Duch Święty pojawia się w różnych tradycjach historycznego Kościoła... nie jest ważne czy doktryna kościelna wynika z kalwinizmu czy arminianizmu, co dowodzi, że Bóg jest większy niż nasze partykularne wierzenia, i że żadne wyznanie nie ma monopolu na Niego” (Christenson, str. 99). Pastor episkopalny mówiąc o „odnowie charyzmatycznej” zakomunikował, że „pod względem ekumenicznym prowadzi ona do nadzwyczajnego połączenia chrześcijan różnych tradycji, głównie na poziomie kościoła lokalnego” (Harper, str. 17). Kalifornijskie „charyzmatyczne” czasopismo Inter-Church Renewal ostentacyjnie prezentuje „jedność” w następujących sformułowaniach: „Ciemności wieków zostały rozwiane, katolicka zakonnica i protestant kochają się nawzajem nowym, dziwnym rodzajem miłości”, która udowadnia, że „stare granice pomiędzy wyznaniami kruszą się. Powierzchowne różnice doktrynalne są odłożone na bok aby wszyscy wierzący mogli wejść do jedności Ducha Świętego”. Prawosławny kapłan o. Euzebiusz Stephanou wierzy, że „to nowe zejście Ducha Świętego przekracza linie międzywyznaniowe... Duch Boży porusza się... zarówno wewnątrz i na zewnątrz Cerkwi Prawosławnej” (Logos, styczeń, 1972 r., str. 12).

Tutaj prawosławny chrześcijanin, świadomy potrzeby „badania duchów”, znajduje się na dobrze znanym gruncie powiązanym z ekumenicznymi komunałami. Zaznaczmy przede wszystkim, że to nowe „zejście Ducha Świętego”, dokładnie tak, jak sam ruch ekumeniczny, pojawiło się na zewnątrz Cerkwi Prawosławnej; te kilka prawosławnych parafii, które teraz podejmują ten ruch w oczywisty sposób naśladują pewną modę naszych czasów, która pojawiła się całkowicie na zewnątrz granic Cerkwi Chrystusa.

Ale jak to się dzieje, że tamci na zewnątrz Cerkwi Chrystusa są zdolni nauczać prawosławnych chrześcijan? Z pewnością prawdą jest (żaden świadomy prawosławny nie zaprzeczy temu), że prawosławni chrześcijanie są czasami zawstydzani gorliwością i zapałem katolików czy protestantów, ich udziałem w nabożeństwach, działalnością misyjną, wspólną modlitwą, czytaniem Pisma Świętego itp. Gorliwość nieprawosławnych może zawstydzać prawosławnych nawet z powodu błędów w swoich wierzeniach, ponieważ muszą oni czynić większy wysiłek aby przebłagać Boga niż wielu prawosławnych, posiadających pełnię apostolskiego chrześcijaństwa. Prawosławni dobrze uczynią ucząc się tego od nich, równocześnie odkrywając własne duchowe bogactwa znajdujące się w ich własnej Cerkwi, które przestali dostrzegać z powodu duchowej opieszałości lub złych nawyków. Wszystko to wiąże się z ludzką stroną wiary, z ludzkimi wysiłkami, które mogą rozciągać się na działalność religijną, czy jest ona poprawna czy też błędna.

„Ruch charyzmatyczny” twierdzi jednak, że jest w kontakcie z Bogiem, że odszukał sposób na otrzymanie Ducha Świętego i na spłynięcie Bożej łaski. Ale mimo to wyłącznie Cerkiew, i nic poza nią, została ustanowiona przez naszego Władcę Jezusa Chrystusa jako środek przekazywania ludziom łaski. Czy mamy uwierzyć, że Cerkiew została wyparta przez jakieś „nowe objawienia” zdolne do przekazywania łaski poza Cerkwią, pośród każdej grupy ludzi, którzy może nawet wierzą w Chrystusa, ale nie posiadają ani wiedzy ani doświadczenia Tajemnic (Sakramentów), które Chrystus ustanowił, którzy nie mieli żadnego kontaktu z Apostołami i ich następcami, którym powierzył On sprawowanie tych Tajemnic? Nie, jest to tak samo pewne dzisiaj, jak było pewne w pierwszym stuleciu, że dary Ducha Świętego nie pojawiają się poza Cerkwią. Wielki Prawosławny Ojciec z XIX wieku, biskup Teofan Pustelnik, pisał że dar Ducha Świętego jest dany „dokładnie poprzez Sakrament Bierzmowania (Miropomazania), który został przekazany przez Apostołów w miejsce nakładania rąk” (które jest formą tego Sakramentu wziętą z Dziejów Apostolskich). „Wszyscy, którzy byliśmy ochrzczeni i bierzmowani, posiadamy dary Ducha Świętego... nawet jeżeli nie są one u każdego uaktywnione”. Cerkiew Prawosławna zapewnia środki na uaktywnienie tych darów, „nie ma żadnego innego sposobu... Bez sakramentu Bierzmowania, tak jak wcześniej bez nałożenia rąk przez Apostołów, Duch Święty nigdy nie zszedł i nigdy nie przyjdzie39 .

Jednym słowem ideologia „odnowy charyzmatycznej” może być opisana jako jedna z nowszych i głębszych czy też „duchowych” form ekumenizmu. Każdy chrześcijanin zostaje „odnowiony” w swojej własnej tradycji ale jednocześnie jest przedziwnie połączony (poprzez takie samo doświadczenie) z innymi równie „odnowionymi” w ich tradycjach, z których wszystkie zawierają różne stopnie herezji i bezbożności! Ten relatywizm prowadzi też do otwarcia się na zupełnie nowe praktyki religijne, kiedy na przykład prawosławny kapłan przed królewską bramą w cerkwi pozwala świeckim na nakładanie na siebie rąk (Logos, kwiecień 1972 rok, str. 4). Końcem tego wszystkiego jest superekumeniczna wizja przodującego „proroka” zielonoświątkowego, który twierdzi, że wielu „charyzmatyków” „zaczęło wyobrażać sobie taką możliwość, że ruch ten stanie się Kościołem Chrystusa przy końcu czasów. Jednak sytuacja zupełnie zmieniła się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wielu z moich braci jest teraz przekonanych, że Władca Jezus Chrystus, głowa Kościoła, ześle teraz Swojego Ducha na wszelkie ciało, i że Kościoły historyczne będą odrodzone i odnowione, i w tej odnowie będą złączone z Duchem Świętym” (Du Plessis, str. 33). Wyraźnie nie ma miejsca w „odnowie charyzmatycznej” dla tych, którzy wierzą, że Cerkiew Prawosławna jest Cerkwią Chrystusa. Nic dziwnego, że nawet wielu prawosławnych charyzmatyków przyznaje, że na początku mieli „podejrzenia o prawosławność” tego ruchu (Logos, kwiecień, 1972, str. 9).

Teraz spróbujmy wznieść się ponad teorie ekumeniczne i praktyki zielonoświątkowe, i zobaczmy co naprawdę inspiruje i daje siłę „odnowie charyzmatycznej" – rzeczywiste doświadczenie mocy „ducha".

3. „Mówienie językami"

Jeżeli przyjrzymy się uważnie pismom „odnowy charyzmatycznej" zauważymy, że ruch ten bardzo przypomina wiele ruchów sekciarskich z przeszłości, które opierały się w pierwszym rzędzie czy nawet wyłącznie na jakiejś dziwacznej doktrynie albo praktyce religijnej. Jedyna różnica polega na tym, że nacisk teraz położony został na pewien specyficzny aspekt, którego żadni sekciarze w przeszłości nie uważali za tak ważny – na mówienie językami.

Zgodnie z wierzeniami wielu sekt zielonoświątkowców „chrzest wierzących w Duchu Świętym poświadczony jest przez inicjacyjny, widzialny znak – zdolność mówienia innymi językami" (Sherrill, str. 79). I nie jest to tylko pierwszy znak przyjęcia do sekty czy grupy zielonoświątkowej; zgodnie z największymi zielonoświątkowymi autorytetami, ta praktyka musi być kontynuowana, gdyż inaczej „ducha" można utracić. David Du Plessis pisze: „Praktyka modlitwy językami powinna być kontynuowana i rozwijana w życiu tych, którzy przyjęli chrzest w Duchu, gdyż inaczej mogą odkryć, że inne przejawy działalności Ducha będą coraz rzadsze aż w końcu ustaną zupełnie" (Du Plessis, str.

89). Wielu to poświadcza, podobnie jak jeden protestant, u którego dar języków „stał się teraz niezbędnym elementem życia duchowego” (Lillie, str. 50). Katolicka książka na ten temat, bardziej ostrożnie, twierdzi że z „darów Ducha Świętego” języki „są często ale nie zawsze otrzymywane jako pierwsze. Dla wielu jest to próg, przez który się przechodzi do rzeczywistości darów i owoców Ducha Świętego” (Ranaghan, str. 19).

Można już teraz dostrzec ów przesadny nacisk na jeden z darów Ducha Świętego, który z całą pewnością nie występuje w Nowym Testamencie, gdzie mówienie językami zdecydowanie nie miało takiego znaczenia, będąc jedynie znakiem zejścia Ducha Świętego w dzień Pięćdziesiątnicy (Dz 2) oraz w dwu innych przypadkach (Dz 10 i 19). Po pierwszym, lub może po drugim stuleciu, nie istnieje w żadnym źródle prawosławnym ani jedno świadectwo na pojawianie się tego daru, nie pojawia się też nawet wśród wielkich Ojców Pustyni, którzy tak bardzo wypełnieni byli Duchem Bożym, że mogli czynić liczne i niezwykłe cuda, łącznie ze wskrzeszaniem umarłych. Prawosławny pogląd na autentyczny dar mówienia językami może być wyrażony słowami błogosławionego Augustyna (Homilie na Ewangelię św. Jana VI:10): „W czasach najdawniejszych Duch Święty zszedł na tych, którzy wierzyli, a oni przemawiali językami, których się nie uczyli, bo to Duch dał im tę umiejętność. Znaki dostosowane były do czasu. Bo stosowne było pojawienie się takiego właśnie znaku Ducha Świętego aby w każdym języku ogłosić, że Ewangelia Boga miała być głoszona we wszystkich językach po całym świecie. Stało się tak, aby został objawiony Boży zamiar, po czym znak ów ustał”. Jak gdyby

odpowiadając współczesnym zielonoświątkowcom na ich dziwne przywiązanie akurat do tego daru, Augustyn kontynuuje: „Czy oczekujemy teraz, że ci na których położono ręce, zaczną mówić językami? Czy kiedy nakładaliśmy ręce na te dzieci, czy oczekiwaliście, że zaczną mówić językami? A kiedy zobaczyliście, że nie zaczęły przemawiać w innych językach, czy ktokolwiek z was miałby tak przewrotne serce aby stwierdzić: 'One nie otrzymały Ducha Świętego'?"

Współcześni zielonoświątkowcy aby usprawiedliwić mówienie językami, opierają się przede wszystkim na pierwszym liście św. Pawła do Koryntian (rozdział 12-14). Jednak św. Paweł napisał ten fragment dokładnie dlatego, że „języki" powodowały nieporządek w Cerkwi Korynckiej; jeśli nawet nie zakazuje tego całkowicie, zdecydowanie pomniejsza znaczenie tego daru. Fragment ten jest zatem daleki od zachęcania kogokolwiek do jakiejś odnowy „języków", powinien raczej zniechęcać, szczególnie kiedy odkryjemy (jak przyznają to sami charyzmatycy), że istnieją inne źródła mówienia językami, różne od Ducha Świętego! Jako prawosławni chrześcijanie dobrze wiemy, że mówienie językami jako autentyczny dar Ducha Świętego nie może pojawić się wśród tych, którzy są poza Cerkwią Chrystusa; ale popatrzmy dokładniej na ten współczesny fenomen i zobaczmy czy posiada jakieś charakterystyczne cechy, które mogłyby wskazać na źródło, z którego pochodzi.

Jeżeli już staliśmy się podejrzliwi co do przesadnej wagi, jaką przykładają współcześni zielonoświątkowcy do „daru języków", powinniśmy całkiem oprzytomnieć, kiedy dowiemy się w jakich okolicznościach się on pojawia.

Mówienie językami nie pojawia się swobodnie i spontanicznie, bez udziału naszej woli – tak jak autentyczne dary Ducha Świętego – ale jest ono wywoływane, pojawia się w sposób możliwy do przewidzenia, poprzez skoncentrowaną „modlitwę" grupową z towarzyszącymi jej bardzo sugestywnymi protestanckimi pieśniami („On nadchodzi! Nadchodzi!"), z momentem kulminacyjnym „nakładania rąk", a często też przy współudziale osoby zainteresowanej, powtarzającej bez przerwy, ciągle od nowa, jakąś frazę (Koch, str. 24), czy też niezrozumiale mamroczącej. Pewna osoba przyznaje, że podobnie jak wielu innych doświadczających tego daru, „przy podejmowaniu prób modlitwy w językach często wydawałam z siebie jakieś nonsensowne sylaby" (Sherrill, str. 127); takie wysiłki, wcale nie wzbudzają żadnego zakłopotania, w rzeczywistości są popierane przez charyzmatyków. „Wydawanie dźwięków ustami nie jest 'mówieniem językami' ale może oznaczać szczery akt wiary, który Duch Święty wynagrodzi przez danie tej osobie mocy mówienia innymi językami" (Harper, str. 11). Inny protestancki pastor stwierdza: „wydaje się, że pierwszą przeszkodą w mówieniu językami jest uświadomienie sobie, że po prostu musisz zacząć mówić... Pierwsze sylaby i słowa mogą brzmieć dziwnie dla twoich uszu. Mogą być niepewne i niewyraźne. Możesz pomyśleć, że właśnie je wymyślasz. Ale jeżeli będziesz

kontynuował przemawianie z wiarą... Duch uformuje dla ciebie język modlitwy i uwielbienia" (Christenson, str. 130). Pewien jezuicki „teolog" opowiada, jak zrealizował taką radę w praktyce: „Po śniadaniu poczułem się prawie fizycznie zaciągniętym do kaplicy, gdzie usiadłem aby się pomodlić. Podążając za wskazaniami Jima opisującego własną drogę do daru języków, zacząłem cichutko mówić sam do siebie 'la, la, la, la'. Ku mojej ogromnej konsternacji nastąpił gwałtowny ruch języka i ust z towarzyszącym wspaniałym uczuciem wewnętrznej modlitwy" (Gelpi, str. 1).

Czy jest możliwe, aby jakiś poważny prawosławny chrześcijanin mógł pomylić te niebezpieczne zabawy duchowe z darami Ducha Świętego? Nie ma tutaj zupełnie niczego z duchowości chrześcijańskiej, nawet w najmniejszym stopniu. Jest to raczej rzeczywistość mechanizmów czysto psychologicznych, które mogą zostać uruchomione przez użycie określonych metod czy technik, w których „mówienie językami" wydaje się być kluczem, jakimś rodzajem „spustu" do tej rzeczywistości. W każdym razie nie ma tutaj żadnego podobieństwa do duchowych darów opisanych w Nowym Testamencie, a jeżeli już cokolwiek można powiedzieć o tych darach, to są one bliższe szamańskim praktykom w prymitywnych religiach, gdzie szamani często wchodzili w trans i „mówili językami" przekazując wiadomości do albo od „boga" w języku, którego się nigdy nie uczyli. Na następnych stronach spotkamy się z doświadczeniami „charyzmatycznymi" tak bardzo dziwacznymi, że porównanie ich z szamanizmem wcale nie będzie się wydawać mocno

przesadzone, zwłaszcza jeśli zrozumiemy, że prymitywny szamanizm jest tylko pewnym wyrazem „religijnych" zjawisk, które absolutnie nie są obce nowoczesnemu Zachodowi, a w rzeczywistości grają w życiu wielu współczesnych „chrześcijan" znaczącą rolę – zjawisk mediumistycznych.

4. „Chrześcijański" mediumizm

Luterański pastor Dr Kurt Koch (The Strife of Tongues, czyli Spór o języki) uważnie i obiektywnie przyjrzał się zjawisku „mówienia językami". Po zbadaniu setek przykładów tego „daru" który pojawił się w kilku ostatnich latach, na podstawie Pisma Świętego doszedł do wniosku, że tylko cztery z tych przypadków mogły być podobne do tych opisanych w Dziejach Apostolskich; ale żadnego z nich nie był pewny. Prawosławny chrześcijanin posiadający za sobą całą patrystyczną tradycję Cerkwi Chrystusa, będzie dużo bardziej ścisły w swoich sądach od Dr Kocha. Jednak w przeciwieństwie do tych kilku dyskusyjnych przykładów, Dr Koch znalazł mnóstwo przypadków niewątpliwego opętania przez demony – gdyż „mówienie językami" jest w rzeczywistości częstym „darem" jaki otrzymują opętani. Ale dopiero w ostatecznej konkluzji Dr Kocha odnajdujemy klucz do całego zagadnienia. Pisze on, że ruch „języków" nie może być żadną „odnową", gdyż w najmniejszym stopniu nie ma w nim pokuty ani świadomości grzechu, natomiast jego członkowie głównie poszukują mocy i ponadnaturalnych doświadczeń; fenomen języków nie jest darem opisanym w Dziejach Apostolskich, również w większości przypadków nie jest demonicznym opętaniem, raczej „staje się coraz

bardziej oczywiste, że ruch języków w ponad 95% jest w swojej naturze mediumistyczny" (Koch, str. 35).

Co to jest „medium"? Medium to osoba obdarzona pewną psychiczną wrażliwością, która pozwala jej być narzędziem albo środkiem, poprzez który przejawia się niewidzialna siła albo istota (poprzez medium działają realne istoty, jak jasno stwierdził starzec Ambroży z Optiny, którymi zawsze są upadłe duchy, w których królestwie się znajdujemy, a nie „duchy zmarłych" jak to wyobrażają sobie spirytyści). Prawie każda religia niechrześcijańska szeroko stosuje dary mediumistyczne, takie jak jasnowidzenie, hipnoza, „cudowne" uzdrowienia, pojawianie się i znikanie przedmiotów, czy też ich przemieszczanie z miejsca na miejsce, itd.

Trzeba zauważyć, że bardzo podobne dary były również udziałem prawosławnych świętych – jednak istnieje podstawowa różnica pomiędzy autentycznym darem chrześcijańskim a jego mediumistyczną imitacją. Na przykład prawdziwy chrześcijański dar uzdrawiania dany jest od Boga jako Jego odpowiedź na żarliwą modlitwę, szczególnie na modlitwę człowieka miłego Bogu, sprawiedliwego lub świętego (Jkb 5:16), także poprzez dotykanie z wiarą przedmiotów, które zostały uświęcone przez Boga (woda święcona, relikwie świętych; patrz Dz 19:12; 2 Kr 13:21). Natomiast uzdrowienie mediumistyczne, podobnie do innych mediumistycznych darów, jest realizowane poprzez określoną technikę i pewien stan psychiczny, który może być rozwijany i osiągany przez stosowanie odpowiednich praktyk, który nie ma nic wspólnego ze świętością czy z

Bożym działaniem. Mediumistyczne zdolności mogą być osiągnięte zarówno przez dziedziczenie jak też przez przekazywanie poprzez kontakt z kimś, kto taki dar otrzymał, albo nawet przez czytanie okultystycznych książek40 .

Wiele mediów twierdzi, że ich moce nie są wcale nadnaturalne, pochodzą tylko z tej części natury o której bardzo mało wiemy. Do pewnego stopnia jest to niewątpliwie prawda; ale także jest prawdą to, że rzeczywistość z której pochodzą te dary jest szczególnego rodzaju, jest rzeczywistością upadłych duchów, które nie wahają się skorzystać z każdej okazji ofiarowanej im przez ludzi, którzy sami pojawili się w ich królestwie aby wciągnąć ich w ich własne sieci, dodając swoje własne demoniczne moce i działania po to, aby doprowadzić dusze do zagłady. Zresztą jakiekolwiek byłoby wyjaśnienie różnych mediumistycznych zjawisk, Bóg w swoim Objawieniu jakie dał ludziom surowo zabronił wszelkich kontaktów z rzeczywistością okultystyczną: Niech się u ciebie nie znajdzie nikt, kto by przeprowadzał przez ogień swego syna lub córkę, kto uprawiałby wróżbiarstwo, zamawianie, zaklinanie czy też magię, lub kto odwoływałby się do czarów, kto zwracałby się z pytaniem do duchów, do jasnowidzów, ani też kto poszukiwałby rady u umarłych. Każdy bowiem, kto tak postępuje, budzi wstręt u Jahwe (Pwt 18:10-12; patrz także Kpł 60:6).

W praktyce niemożliwe jest połączenie mediumizmu z prawdziwym chrześcijaństwem, żądza posiadania mediumistycznych uzdolnień czy mocy jest absolutnie niezgodna z podstawowym chrześcijańskim

dążeniem do zbawienia swojej duszy. Nie znaczy to jednak, że nie ma „chrześcijan" zaangażowanych w mediumizm, najczęściej nieświadomie (jak zobaczymy później); oznacza to jednak, że nie są oni prawdziwymi chrześcijanami, że ich chrześcijaństwo jest tylko „nowym chrześcijaństwem", jakie propagował Mikołaj Bierdiajew, o którym niedługo powiemy więcej. Dr Koch, sam będąc protestantem, uczynił jakże ważne spostrzeżenie pisząc: „Życie religijne jednostki nie ustaje w zetknięciu z okultyzmem czy spirytyzmem. W rzeczywistości spirytyzm jest w dużym stopniu ruchem 'religijnym'. Diabeł nie chce odebrać nam naszej 'religijności'... Ale istnieje ogromna różnica pomiędzy religijnością a odrodzeniem przez Ducha Bożego. Przykro to stwierdzić, ale w naszej chrześcijańskiej wierze jest więcej ludzi 'religijnych' niż prawdziwych chrześcijan" 41

Najlepiej znaną formą mediumizmu we współczesnym świecie zachodnim są seanse spirytystyczne, podczas których dochodzi do kontaktu z pewnymi mocami powodującymi zauważalne efekty, jak pukanie do drzwi, głosy, przeróżne formy porozumiewania się, na przykład automatyczne pisanie albo mówienie w nieznanych językach, poruszanie przedmiotami, pojawianie się dłoni albo „ludzkich" postaci, które czasami mogą być sfotografowane. Te zjawiska są produktem określonego nastawienia i technik stosowanych przez uczestników, które wyliczymy według jednego z bardziej znanego podręcznika na ten temat42 .

1. Bierność: „Aktywność ducha mierzona jest stopniem bierności i uległości jaką znajduje w medium, albo w jego wrażliwości”. „Zdolności mediumistyczne... przez pilne rozwijanie mogą być osiągnięte przez każdego, kto umyślnie poddaje swoje ciało razem z wolną wolą, ze swoją wrażliwością i zdolnościami intelektualnymi pod władanie nadchodzącego ducha”.

2. Solidarność w wierze: Wszyscy obecni muszą posiadać „przychylne nastawienie umysłu aby podtrzymać medium”; zjawiska spirytystyczne są „ułatwiane poprzez wzajemne zrozumienie wyrażające się w harmonii myśli, poglądów i zapatrywań istniejących pomiędzy uczestnikami a medium. Kiedy w uczestnikach tworzących ‘krąg’ to porozumienie i harmonia, a także poddanie osobistej woli są niedoskonałe, seans kończy się niepowodzeniem”. Także „liczba uczestników ma wielkie znaczenie. Jeżeli jest ich więcej, harmonia tak potrzebna do odniesienia sukcesu jest bardzo utrudniona”.

3. Wszyscy obecni „trzymają się za ręce tworząc tak zwany magnetyczny krąg. Poprzez ten zamknięty obwód każdy uczestnik zasila swoją energią pewien rodzaj mocy, która wspólnie przekazywana jest medium”. Jednak ten „magnetyczny krąg” jest potrzebny tylko mniej uzdolnionym mediom. Madame Blavatska, założycielka współczesnej „teozofii”, sama również medium, śmiała się z tych prymitywnych technik spirytystycznych, kiedy poznała na Wschodzie dużo bardziej potężne

media, do kategorii których należy również zaliczyć fakira opisanego w rozdziale III.

4. „Niezbędna spirytystyczna atmosfera jest zazwyczaj wywoływana sztucznymi środkami, jak śpiewanie hymnów, słuchanie łagodnej muzyki, czy nawet przez odmawianie modlitw".

Seanse spirytystyczne są z pewnością jedną z prostszych form mediumizmu – jednak z tej właśnie przyczyny wszystkie jej techniki są bardzo czytelne – i rzadko przynoszą spektakularne efekty. Istnieją inne, bardziej subtelne formy mediumizmu, a wiele z nich funkcjonuje pod „chrześcijańską" nazwą. Żeby zdać sobie z tego sprawę należy choćby przyjrzeć się technikom „uzdrawiaczy przez wiarę", takich jak Oral Roberts (który przed wstąpieniem do Kościoła Metodystów kilka lat temu, był duchownym sekty zielonoświątkowców), który dokonuje „cudownych" uzdrowień poprzez formowanie właśnie „kręgów magnetycznych" złożonych z ludzi odpowiednio współczujących, biernych i zgodnych w wierze, którzy kładą swe dłonie na odbiornik telewizyjny transmitujący jego występ; uzdrowienia mogą być nawet dokonane przez wypicie szklanki wody, która postawiona była na telewizorze i przez to zaabsorbowała przepływ mocy mediumistycznych, które w ten sposób zostały uwolnione. Jednak takie uzdrowienia dokonane przez spirytyzm i czary, mogą w przyszłości wywołać ciężkie zaburzenia psychiczne, a w konsekwencji również duchowe43.

W tej rzeczywistości trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż diabeł bez przerwy małpuje dzieła Boga, a wielu ludzi obdarowanych zdolnościami mediumistycznymi uważa się wciąż za chrześcijan i wierzy, że dary te pochodzą od Ducha Świętego. Ale czy można powiedzieć, że dotyczy to również „odnowy charyzmatycznej", że jest ona rzeczywiście, jak twierdzą niektórzy, w głównej mierze formą mediumizmu?

Stosując do „odnowy charyzmatycznej" najbardziej oczywiste testy na mediumizm uderza przede wszystkim fakt, że opisane powyżej główne warunki wstępne seansu spirytystycznego są obecne co do jednego podczas „charyzmatycznych" spotkań modlitewnych, podczas gdy żadna z tych cech charakterystycznych nie występuje w takiej formie czy stopniu w prawdziwej wierze chrześcijańskiej, w Cerkwi Prawosławnej.

1. „Bierność" z seansów spirytystycznych odpowiada temu, co „charyzmatycy" nazywają „rodzajem przyzwolenia... które wymaga więcej niż tylko oddania poprzez akt woli swojej świadomej obecności; to przyzwolenie odnosi się również do wielkiego, nawet ukrytego obszaru podświadomości... To wszystko co czynimy jest ofiarą ze swojego ciała, umysłu a nawet języka, żeby Duch Boży w pełni wziął je w posiadanie... Taka osoba jest gotowa, przeszkody zniknęły i Bóg potężnie działa w całej jego istocie i poprzez nią" (Williams, str. 62, 63; kursywa oryginalna). Takie „duchowe" podejście nie jest w ogóle chrześcijańskie; jest raczej podejściem buddyzmu zen, wschodniego „mistycyzmu", hipnozy i spirytyzmu. Taka przesadna bierność jest kompletnie obca duchowości

prawosławnej, jest wyłącznie zaproszeniem złych duchów do zwodzenia. Pewien życzliwy obserwator zapisał, że na spotkaniach charyzmatyków, kiedy ludzie mówią językami albo interpretują „wydaje się jakby wchodzili w trans" (Sherrill, str. 87). Ta bierność jest bardzo wyraźna w wielu „charyzmatycznych" wspólnotach, które zupełnie znoszą organizacją Kościoła i każdy ustalony porządek nabożeństw, a robią absolutnie wszystko według wskazań „ducha".

2. Istnieje też wyraźna „solidarność w wierze" – i to nie tylko solidarność w wierze chrześcijańskiej i nadziei na zbawienie, ale w specyficznej jednomyślności pragnienia i oczekiwania „charyzmatycznych" zjawisk. Jest to regułą we wszystkich spotkaniach „charyzmatycznych"; jednak jeszcze bardziej wyraźna solidarność potrzebna jest do doświadczenia „chrztu w Duchu Świętym", który jest zwykle dokonywany w małym osobnym pokoiku w obecności niewielu ludzi, którzy przedtem już doświadczyli takiego „chrztu". Obecność nawet jednej osoby, która miałaby jakieś wątpliwości co do całej praktyki, jest często wystarczająca aby do „chrztu" nie doszło – dokładnie tak samo, jak opisane powyżej złe przeczucia i modlitwa prawosławnego kapłana wystarczyły, aby przerwać bardzo sugestywną iluzję cejlońskiego fakira.

3. Spirytystyczny „magiczny krąg" odpowiada charyzmatycznemu „nakładaniu rąk", sprawowanemu wyłącznie przez tych, którzy sami doświadczyli „chrztu" wraz z darem języków i którzy służą, według słów

samych charyzmatyków, jako kanały Świętego Ducha (Williams, str. 64) – słowo używane przez spirytystów w odniesieniu do mediów.

4. Atmosfera charyzmatyczna, w podobieństwie do spirytystycznej, jest wywoływana poprzez sugestywne hymny i modlitwy, często również przez klaskanie, co daje „efekt narastającego, prawie odurzającego podniecenia" (Sherrill, str. 23).

Wciąż jednak można twierdzić, że wszystkie te podobieństwa pomiędzy mediumizmem a ruchem charyzmatycznym są wyłącznie przypadkowe; rzeczywiście, w celu wykazania, że „odnowa charyzmatyczna" jest faktycznie mediumistyczna musimy określić jakiego rodzaju „duch" jest przekazywany przez „kanały" charyzmatyków. Liczne świadectwa tych, którzy go doświadczyli – i którzy wierzyli, że jest to Duch Święty – wyraźnie wskazują na jego naturę. „Grupa ciaśniej mnie okrążyła. To było tak, jakby uformowali ze swoich ciał rodzaj lejka skupiającego przepływ Ducha, który pulsował na wskroś pomieszczenia. Kiedy tak siedziałam, On ogarnął mnie" (Sherrill, str. 122). Podczas katolickiej modlitwy na spotkaniu charyzmatycznym, „przy wchodzeniu do pomieszczenia silnie uderzała wyraźnie odczuwalna Boża obecność" (Ranaghan, str. 79) (porównaj „wibrującą" atmosferę podczas wielu pogańskich i hinduskich obrzędów; patrz wyżej, rozdział II). Inny człowiek opisuje swoje doświadczenie chrztu: „Uświadomiłem sobie, że Pan przebywa w pokoju i że podchodzi do mnie. Nie mogłem Go zobaczyć ale poczułem jak się przewracam na plecy. Wydawało mi się, jakbym pływał

po podłodze...” (Logos Journal, listopad-grudzień, 1971, str. 47). Jeszcze inne podobne przykłady będą przytoczone niżej w dyskusji o zjawiskach fizycznych towarzyszących doświadczeniom „charyzmatycznym”. Te „pulsujące”, „widzialne”, „popychające” duchy, które „nadchodzą” i „spływają” wydają się potwierdzać mediumistyczny charakter ruchu „charyzmatycznego”. Z pewnością Duch Święty nigdy nie mógłby być opisany w taki sposób!

Przypomnijmy sobie osobliwy opis „charyzmatycznego” mówienia językami, jaki już wcześniej przytoczyliśmy; dar ten nie jest dany raz na zawsze podczas inicjacyjnego doświadczenia „chrztu Ducha Świętego”, ale powinien być kultywowany (prywatnie i w grupie) i który ma się stać „niezbędnym elementem” życia religijnego, gdyż inaczej ten „dar” może zaniknąć. Jeden z prezbiteriańskich pisarzy „charyzmatycznych” mówi o specyficznej funkcji tej praktyki w „przygotowywaniu” się do spotkań „charyzmatycznych”: „Zdarza się, że... mała grupa ma spędzić czas na modlitwie w Duchu (tzn. językami). Podczas takich modlitw ogromnie wzrasta poczucie Bożej obecności i potęgi, która przenosi się na zebranych”. I dalej: „Czujemy podczas spotkań, że ta cicha modlitwa w Duchu pomaga nam utrzymać otwartość na obecność Boga... (bo) jeśli ktoś przywyknie do głośnej modlitwy językami... niebawem stanie się możliwe, że sam jego oddech będzie poruszał się we wszystkich tonacjach i językach manifestując tchnienia Ducha, i tym samym jego modlitwa będzie trwała w ciszy, jeszcze głębiej, wewnątrz” (Williams, str. 31). Przypomnijmy sobie, że mówienie językami może być wywołane przez

takie sztuczne sposoby jak „mamrotanie” – i dochodzimy do nieuchronnego wniosku, że „charyzmatyczne” mówienie językami nie jest „darem” a pewną techniką, która rozwijana jest przez stosowanie innych technik, które z kolei niosą ze sobą jeszcze inne „dary Ducha”, jeśli ktoś kontynuuje praktykowanie i kultywowanie języków. Czy nie odkryliśmy klucza do rzeczywistych dokonań ruchu charyzmatycznego, polegających głównie na odkryciu nowych technik mediumistycznych, pozwalających na wchodzenie i utrzymanie stanu psychicznego, w którym stają się dostępne cudowne „dary”? Jeśli jest to prawdą, charyzmatyczna definicja „nakładania rąk” – „prosta posługa kapłańska jednej lub więcej osób, które same stały się kanałami Ducha Świętego, dla tych, którzy jeszcze nie są pobłogosławieni”, w którym „ważną rzeczą jest to, że ci, którzy przekazują, sami wcześniej doświadczyli poruszenia Ducha Świętego” (Williams, str. 64) – opisuje dokładnie przechodzenie daru mediumistycznego od tych, którzy już go osiągnęli i sami stali się medium. W ten sposób „chrzest Ducha Świętego” staje się inicjacją mediumistyczną.

W istocie, jeśli przyjmiemy, że „odnowa charyzmatyczna” jest faktycznie ruchem mediumistycznym, coraz więcej rzeczy, które trudno było zrozumieć gdy dotyczyły ruchu chrześcijańskiego, teraz stanie się dla nas oczywistych. Ruch ten pojawia się w Ameryce, gdzie pięćdziesiąt lat wcześniej zrodził się spirytyzm w podobnym klimacie psychologicznym; skostniała i zracjonalizowana wiara protestancka nagle została powalona przez rzeczywiste doświadczenie niewidzialnej „mocy”, która nie mogła

być wyjaśniona racjonalnie czy naukowo. Ruch ten najbardziej rozwinął się w tych krajach, gdzie trwają silne tradycje spirytystyczne lub mediumistyczne: przede wszystkim w Ameryce i Anglii, potem w Brazylii, Japonii, na Filipinach oraz w czarnej Afryce. Prawie zupełnie nie znajdujemy przykładów „mówienia językami" w jakimkolwiek chrześcijańskim kontekście przez ponad 1600 lat od czasów św. Pawła (a nawet potem były to zjawiska marginalne i krótkotrwałe, o podłożu histerycznym), dokładnie aż do XX-wiecznego ruchu zielonoświątkowego, jak zauważyli to historycy religijnego „entuzjazmu"44 ; podczas gdy ten „dar" wciąż był udziałem wielu szamanów i czarownic z prymitywnych religii, jak również współczesnych spirytystycznych mediów oraz ludzi opętanych przez demony. „Proroctwa" i „interpretacje" podczas nabożeństw „charyzmatycznych", jak zobaczymy dalej, są dziwnie szablonowe i stereotypowe w swoim wyrazie, bez ściśle chrześcijańskiej czy prorockiej wymowy. Doktryna podporządkowana jest praktyce; dewiza ruchów mediumistycznych brzmi, jak często powtarzają „charyzmatyczni" entuzjaści: „to działa"; jest to ta sama pułapka do której, jak już zauważyliśmy, prowadzi swe ofiary hinduizm. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że „odnowa charyzmatyczna", o ile dotyczy to jej praktyk, nosi dużo większe podobieństwo do spirytyzmu i w ogóle do religii niechrześcijańskich niż do Prawosławia. Jednak podamy jeszcze więcej przykładów aby wykazać, że jest to prawdą.

Aż do tego miejsca cytowaliśmy, z wyjątkiem stwierdzeń Dr Kocha, wyłącznie przychylne „odnowie charyzmatycznej" relacje, w których

znajdowały się świadectwa ludzi wierzących, że są pod działaniem Ducha Świętego. Teraz przytoczymy świadectwa kilku osób, które opuściły ruch „charyzmatyczny" lub odmówiły przyłączenia się do niego, ponieważ odkryły, że „duch" który go ożywia nie jest Duchem Świętym.

1. „Z Leicester (Anglia) młody mężczyzna donosi co następuje. Razem z przyjacielem od kilku lat byli osobami wierzącymi, kiedy pewnego dnia zostali zaproszeni na spotkanie grupy mówiącej językami. Poddali się atmosferze tego spotkania i niemal natychmiast zaczęli modlić się o drugie błogosławieństwo i o chrzest Ducha Świętego. Po intensywnej modlitwie jakby coś gorącego spłynęło na nich. Poczuli się wewnątrz ogromnie podekscytowani. Przez kilka tygodni rozkoszowali się tym nowym doznaniem, ale pomału te fale wzruszeń osłabły. Mężczyzna, który mi o tym opowiadał zauważył, że utracił wszelką chęć do czytania Pisma Świętego i zaniechał modlitw. Zbadał to doświadczenie pod kątem Pisma Świętego i zdał sobie sprawę, że nie może ono pochodzić od Boga. Okazał skruchę i żałował swojego czynu... Jego przyjaciel jednak praktykował dalej „mówienie językami" co doprowadziło go do upadku. Dzisiaj nie widzi już nawet potrzeby aby trwać w chrześcijaństwie" (Koch, str. 28).

2. Dwóch protestanckich duchownych poszło na modlitewne spotkanie „charyzmatyczne" do kościoła prezbiteriańskiego w Hollywood. „Obydwaj ustaliliśmy wcześniej, że kiedy ktoś zacznie przemawiać w językach zaczniemy modlić się mniej więcej tak: 'Boże, jeżeli ten dar pochodzi od Ciebie, pobłogosław tego brata, ale jeżeli nie pochodzi ten dar od Ciebie,

wtedy każ mu przestać i nie pozwól aby inni modlili się językami w naszej obecności'... Młody człowiek rozpoczął spotkanie krótką modlitwą po której miał nastąpić dar języków. Pewna kobieta zaczęła modlić się płynnie w nieznanym języku bez najmniejszego zająknięcia czy zawahania. Nikt nie dawał interpretacji. Wtedy wielebny B. i ja zaczęliśmy modlić się wcześniej ustalonymi słowami. I co się stało? Nikt więcej już nie mówił językami, mimo że zwykle na tych spotkaniach wszyscy modlą się w nieznanym języku" (Koch, str. 15). Można tutaj zauważyć, że przy braku mediumistycznej solidarności w wierze „dary" nie pojawiły się.

3. „W San Diego w Kalifornii pewna kobieta przyszła do mnie się poradzić. Opowiedziała mi o przykrym doświadczeniu jakie miało miejsce podczas misji prowadzonych przez przedstawiciela ruchu charyzmatycznego. Poszła na to spotkanie i usłyszała tam o konieczności uzyskania daru mówienia językami, i po spotkaniu zezwoliła na położenie na nią rąk aby otrzymać chrzest Ducha Świętego i dar mówienia językami. W tym momencie straciła przytomność i upadła. Gdy przyszła do siebie wciąż leżała na podłodze a jej usta same otwierały się i krzyczały coś automatycznie bez związku. Okropnie się przestraszyła. Kilku ludzi, naśladowców tego kaznodziei, stało dookoła i wołało: 'O, siostro, jak przepięknie mówisz językami. Otrzymałaś Ducha Świętego'. Ale ofiara tego tak zwanego chrztu Ducha Świętego została wyleczona. Nigdy już nie wróciła do tej grupy mówiących językami. Kiedy przyszła do mnie po radę wciąż cierpiała z powodu przykrych konsekwencji tego 'duchowego chrztu'" (Koch, str. 26).

4. Prawosławny chrześcijanin z Kalifornii opisuje swoje prywatne zetknięcie się z „przepełnionym duchem” kaznodzieją, który stał na trybunie razem z wiodącymi katolickimi, protestanckimi i zielonoświątkowymi reprezentantami „odnowy charyzmatycznej”: „Przez pięć godzin przemawiał językami i podstępnie nakłaniał zebranych (psychologicznie, hipnotycznie i przez ‘nakładanie rąk’) do otrzymania ‘chrztu Ducha Świętego’. Widok był naprawdę straszny. Kiedy położył on dłonie na naszą przyjaciółkę zaczęła wydawać gardłowe dźwięki, jęczeć, płakać i krzyczeć. Kaznodzieja był tym mile zaskoczony, powiedział, że ona cierpi za innych – wstawiając się za nich. Kiedy ‘położył ręce’ na moją głowę, miałem wyraźne przeczucie obecności zła. Jego ‘języki’ zostały urozmaicone angielskim: ‘Masz dar proroctwa, czuję to. Otwórz tylko usta a proroctwo wypłynie samo. Nie blokuj Ducha Świętego’. Dzięki Bożej łasce trzymałem usta zamknięte, ale jestem zupełnie pewny, że jeżeli bym zaczął mówić, ktoś inny by to zinterpretował”. (prywatna relacja).

5. Czytelnicy The Orthodox Word zapewne pamiętają relację o „czuwaniu modlitewnym” zorganizowanym przez diecezję syryjską Nowego Jorku podczas jej zjazdu w Chicago w sierpniu 1970 roku, gdzie po wytworzeniu emocjonującej i dramatycznej atmosfery młodzi ludzie zaczęli „świadczyć” jak ich prowadzi „duch”. Jednak później kilku obecnych tam ludzi opowiadało, że atmosfera była „mroczna i złowroga”, „dusząca”, „ciemna i zła”, i że przez cudowne wstawiennictwo św. Hermana z Alaski, którego ikona znajdowała się w pokoju, całe spotkanie

zostało przerwane a zła atmosfera rozwiała się. (The Orthodox Word, 1970, str. 196-199).

Istnieje wiele innych przypadków, w których ludzie stracili zainteresowanie modlitwą, czytaniem Pisma Świętego i w ogóle chrześcijaństwem, a nawet zaczęli wierzyć, jak jeden student, że „już więcej nie potrzebuje czytać Pisma Świętego; Bóg Ojciec osobiście mu się objawia i przemawia do niego" (Koch, str. 29).

Możemy jeszcze na koniec przytoczyć świadectwa wielu ludzi, którzy nie znaleźli niczego negatywnego czy złego w doświadczeniach „charyzmatycznych", spróbujmy zbadać sens także i tych świadectw. Jednak, jeszcze przed wyciąganiem wniosków co do dokładnej natury „ducha", który stoi za zjawiskami „charyzmatycznymi", na podstawie dotychczas zebranych dowodów możemy już zgodzić się z Dr Kochem: „Ruch charyzmatyczny jest produktem stanów omamowych, poprzez które demony przejawiają swoje moce" (Koch, str. 47). Oznacza to, że ruch który jest z pewnością „omamowy" poddając się działaniom „ducha", który nie jest Duchem Świętym, nie jest demoniczny w intencjach lub sam w sobie (tak jak współczesny okultyzm czy satanizm), ale przez swą naturę naraża się szczególnie na oczywiste przejawy sił demonicznych, które czasami faktycznie się pojawiają.

Książkę tę przeczytało kilka osób uczestniczących w „odnowie charyzmatycznej"; wiele z nich opuściło potem ten ruch, uznając że duch

którego doświadczali w seansach „charyzmatycznych” nie był Duchem Świętym. Komuś zaangażowanemu w ruch charyzmatyczny, kto właśnie w tej chwili czyta tę książkę chcielibyśmy powiedzieć: Jesteś zapewne przekonany, że twoje doświadczenia w ruchu „charyzmatycznym” były w większości czymś dobrym (nawet jeżeli masz jakieś zastrzeżenia co do niektórych doświadczeń czy rzeczy, które się pojawiały); z pewnością trudno jest ci uwierzyć, że są w nich elementy demonicznego zwodzenia. Sugerując, że ruch „charyzmatyczny” jest ruchem o podłożu mediumistycznym nie mamy zamiaru zaprzeczać całości twoich przeżyć i doświadczeń. Jeśli uświadomiłeś sobie konieczność pokuty za swoje grzechy, prawdę że Jezus Chrystus jest Zbawicielem ludzkości, czy też potrzebę szczerej miłości do Boga i bliźniego – wszystko to jest z całą pewnością dobre i nie powinno być odrzucone w momencie opuszczenia ruchu „charyzmatycznego”. Ale jeżeli uważasz, że twoje „mówienie językami” czy „prorokowanie” czy cokolwiek innego „nadnaturalnego”, czego mogłeś doświadczyć, pochodzi od Boga – w takim razie ta książka powinna być dla ciebie drogowskazem do świata prawdziwych chrześcijańskich przeżyć duchowych, które są znacznie głębsze niż te, których doświadczałeś do tej pory; powinieneś odkryć, że sztuczki diabła są dużo bardziej subtelne niż mogłeś to sobie wyobrazić, że gotowość naszej upadłej natury ludzkiej do brania iluzji z prawdę, do mylenia pociech emocjonalnych z doświadczeniami duchowymi, jest dużo większa niż myślałeś. W następnym rozdziale zajmiemy się tym szczegółowo.

Jeśli chodzi o dokładną naturę „daru języków”, który obecnie jest praktykowany, prawdopodobnie nie można podać prostego wytłumaczenia. Wiemy dość dobrze, że w ruchu zielonoświątkowym tak jak w spirytyzmie, elementy oszustwa i sugestii grają nie małą rolę, w kołach „charyzmatycznych” stosuje się nieraz ogromną presję, która wymusza pojawienie się określonych efektów. Tak więc jeden z członków większego charyzmatycznego „Ruchu Jezusa” wyznał, że kiedy mówił językami: „mamrotał grupy wyrazów po uprzednim emocjonalnym przygotowaniu”, a inny otwarcie przyznaje: „Kiedy już zostałem chrześcijaninem ludzie wokoło powiedzieli mi, że muszę to zrobić. Więc modliłem się, żebym mógł mówić językami, i starałem się jak najlepiej ich naśladować aby myśleli, że otrzymałem dar” (Ortega, str. 49). Wiele z tych „języków” było w takim razie niewątpliwie nieprawdziwych, a w najlepszym razie było efektem sugestii w stanach emocjonalnych bliskich histerii. Jednak istnieją też dokładnie udokumentowane przypadki mówienia w niewyuczonych językach (Sherrill, str. 90-95); jest też wiele świadectw mówiących o łatwości, o pewności i spokoju (bez żadnych stanów histerycznych) z jakimi mogli wejść w stan „mówienia językami”; jest też wyraźnie nadnaturalny charakter podobnego zjawiska „śpiewania językami”, gdzie „duch” poddaje również melodię, i kiedy pozostali włączą się do tego śpiewu daje to efekt, który jest rozmaicie opisywany, jako „niesamowity ale niezwykle piękny” (Sherrill, str. 118) oraz „niewyobrażalny, po ludzku niemożliwy” (Williams, str. 33). Widzimy zatem, że najwyraźniej wiele zjawisk współczesnego „daru języków” nie może być wyjaśnionych wyłącznie psychologiczne czy emocjonalne. Jeżeli

nie jest on dziełem Ducha Świętego – a już do tej pory jest to zupełnie jasne, że nie jest – więc dzisiejsze „mówienie językami”, jako autentyczny „nadnaturalny” fenomen, może być wyłącznie przejawem jakiegoś innego ducha.

Aby zidentyfikować bardziej dokładnie tego „ducha” oraz aby zrozumieć ruch „charyzmatyczny” w pełni, nie tylko pod kątem tego fenomenu ale też jego „duchowość”, zwróćmy się bardziej głęboko do źródeł Tradycji prawosławnej. Przede wszystkim musimy powrócić do nauk prawosławnej tradycji ascetycznej, które były już omawiane w tej serii artykułów, przy wyjaśnianiu siły z jaką hinduizm więzi swoich wyznawców poprzez prelest’, czyli duchowe oszustwo.

5. Duchowe zwodzenie

Koncepcja prelesti, klucz w ascetycznym nauczaniu prawosławnym, jest kompletnie nieobecna w protestancko-katolickim świecie, który wytworzył ruch „charyzmatyczny”. Ten fakt wyjaśnia dlaczego tak oczywiste oszustwo mogło tak poważnie zwieść kręgi nominalnych „chrześcijan”, a także dlaczego taki „prorok” jak Mikołaj Bierdiajew, pochodzący ze środowiska prawosławnego, uważał za absolutnie niezbędne, aby w „nowym wieku Ducha Świętego” „nie wracano już więcej do nauk ascetycznych”. Powód jest oczywisty: tylko przez ascetyczne nauczanie prawosławne człowiek, który otrzymał Ducha Świętego podczas swego Chrztu i Bierzmowania, może w swoim życiu

zdobywać prawdziwe dary Ducha Świętego; poucza ono jak rozpoznać i ustrzec się przed duchowym oszustwem. „Nowa duchowość" o której marzył Bierdiajew, i którą „ruch charyzmatyczny" obecnie urzeczywistnia, posiada zupełnie inny fundament i wygląda na zwykłe oszustwo w świetle prawosławnego nauczania ascetycznego. Dlatego nie ma miejsca na dwie koncepcje w tym samym duchowym świecie; albo zaakceptujemy „nową duchowość odnowy charyzmatycznej", albo chrześcijaństwo prawosławne, konsekwentnie aby pozostać prawosławnym chrześcijaninem musimy odrzucić „odnowę charyzmatyczną", która jest fałszowaniem Prawosławia.

Aby uczynić to zupełnie jasnym przytoczymy teraz nauczanie Cerkwi Prawosławnej na temat duchowego zwodzenia, głównie z pism XIX-wiecznego podsumowania tej nauki sporządzonego przez św. biskupa Ignacego Brianczaninowa, współczesnego ojca Cerkwi, z pierwszego tomu jego prac zebranych.

Istnieją dwie zasadnicze formy duchowego oszustwa. Pierwsza i bardziej spektakularna forma pojawia się, kiedy ktoś dąży do wyższych stanów duchowych czy też duchowych wizji bez oczyszczenia z pożądliwości i polega wyłącznie na własnych sądach. Diabeł udziela takim ludziom wspaniałych „wizji". Istnieje wiele tego typu przykładów w żywotach świętych, które są jednym z głównych źródeł prawosławnego nauczania ascetycznego. Tak więc św. Nikita, biskup Nowogrodu (31 styczeń) wbrew radzie swojego przełożonego i nieprzygotowany

duchowo, rozpoczął życie pustelnicze i od razu zaczął słyszeć głos, który razem z nim wspólnie się modlił. Potem przemówił „Pan” do niego i posłał „anioła” aby modlił się zamiast niego, oraz by pouczył go, żeby zamiast odprawiać modlitwy czytał książki, by móc nauczać ludzi, którzy będą do niego przychodzić. Nikita tak uczynił, wciąż widząc blisko siebie modlącego się „anioła”, a przychodzący do niego ludzie zdumieni byli jego duchową mądrością i „darami Ducha Świętego”, które wydawało się, że posiadł, włącznie z „darem” przepowiadania przyszłości, a przepowiednie jego zawsze się sprawdzały. Oszustwo trwało do momentu, kiedy ojcowie z monasteru odkryli jego awersję do Nowego Testamentu (mimo że Stary Testament, którego nigdy przedtem nie czytał, mógł cytować z pamięci), i dzięki ich modlitwom został doprowadzony do pokuty, a jego „cuda” skończyły się; później osiągnął prawdziwą świętość. Znowu św. Izaak Zatwornik Pieczerski z Kijowa (14 luty) zobaczył wielką światłość i „Chrystus” pojawił się przed nim z „aniołami”; kiedy św. Izaak nie czyniąc znaku krzyża pokłonił się przed „Chrystusem” demony nabrały mocy nad nim i dziko z nim zatańczyły, porzucając go w końcu prawie martwego. Również on później osiągnął prawdziwą świętość. Istnieje wiele bardzo podobnych przypadków, kiedy „Chrystus” z „aniołami” pojawiał się przed pustelnikami objawiając niesłychane moce i „dary Ducha Świętego”, które często doprowadzały ostatecznie oszukanych ascetów do obłędu lub samobójstwa.

Jest jeszcze inna bardziej powszechna, mniej spektakularna forma duchowego oszustwa, ofiarująca swoim ofiarom zamiast wspaniałych wizji

bardzo podniosłe „życie religijne”. Pojawia się ono, jak opisuje je św. biskup Ignacy „kiedy serce pragnie i dąży do przyjemnych świętych i boskich doznań, podczas gdy zupełnie jest do tego niezdolne. Każdy kto nie posiada skruszonego ducha, kto znajduje w sobie każdy rodzaj cnót, kto nie trzyma się niezłomnie nauki Cerkwi Prawosławnej ale w jakiejś kwestii lub tradycji ma swój własny arbitralny sąd albo poszedł za nauką nieprawosławną – znajduje się w tym stanie oszustwa”. Kościół Katolicki posiada całe podręczniki duchowe napisane przez ludzi znajdujących się w tym stanie, na przykład Tomasza Kempisa O naśladowaniu Chrystusa. Św. biskup Ignacy pisze o niej: „Panuje w tej książce i tchnie z jej kart oszustwo złego ducha, który pochlebia czytelnikowi i odurza go... Książka prowadzi czytelnika prosto do pełnej jedności z Bogiem bez wcześniejszego oczyszczenia przez pokutę... Przez to cieleśni ludzie wpadają w zachwyt osiągniętym bez wysiłku odurzeniem, bez samowyrzeczenia, bez pokuty, bez ukrzyżowania ciała razem z namiętnościami i pożądaniami (Gal 5:24), wraz z pochlebstwami tego upadłego stanu. Rezultatem tego, jak pisze45 I. M. Koncewicz, wielki popularyzator nauk patrystycznych, jest: „asceta, który dążyłby do rozpalenia w swoim sercu miłości do Boga przy jednoczesnym zaniedbywaniu pokuty, który stara się osiągnąć uczucie przyjemności i ekstazy, a jako rezultat osiąga dokładnie coś odwrotnego, bo ‘wchodzi w łączność z szatanem i staje się zarażony nienawiścią do Ducha Świętego’ (św. biskup Ignacy)”.

Jest to właśnie aktualny stan w którym znajdują się naśladowcy „odnowy charyzmatycznej”, niczego nawet nie podejrzewając. Będzie to

jeszcze bardziej jasne po zbadaniu ich doświadczeń i poglądów, punkt po punkcie, odnosząc je do nauki Ojców Cerkwi prezentowanej przez św. biskupa Ignacego.

A. Dążenie do „duchowych" doświadczeń

Nie posiadając żadnego lub tylko niewielkie umocowanie w prawdziwych źródłach chrześcijańskiego życia duchowego – świętych tajemnicach Cerkwi, duchowych naukach przekazanych przez świętych Ojców od Chrystusa i Jego Apostołów – uczestnicy ruchu „charyzmatycznego" w żaden sposób nie potrafią odróżnić łaski Boga od jej fałszywej podmiany. Wszyscy „charyzmatyczni" pisarze wykazują, w mniejszym lub większym stopniu, brak ostrożności i rozeznania we własnych doświadczeniach. Niektórzy katoliccy charyzmatycy, dla pewności „egzorcyzmują szatana" przed prośbą o „chrzest Ducha Świętego"; ale skuteczność tego aktu, jak wkrótce wykażemy na podstawie ich własnych świadectw, jest podobna do tej przeprowadzonej przez żydów w Dziejach Apostolskich (19:15), do których wyrzucany zły duch odpowiedział: Znam Jezusa, znam również Pawła, a wy coście za jedni? Św. Jan Kasjan, wielki prawosławny Ojciec Zachodu z V wieku, z wielką wnikliwością piszący o dziełach Ducha Świętego w swojej konferencji „Dary Boże" zauważa: „czasami demony (działają cuda) po to, aby umocnić pychę w człowieku, który uwierzył, że posiadł cudowne dary, i w ten sposób szykują dla niego jeszcze bardziej gorszący upadek. Udają, że są palone i wyrzucane z ciał ludzi w których zamieszkują z powodu

rzekomej świętości tych ludzi, o których dobrze wiedzą, że są grzesznikami... W Ewangelii czytamy: Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy...”46

XVIII-wieczny szwedzki „wizjoner”, Emanuel Swedenborg, osobliwy prekursor współczesnego okultyzmu i odnowy „duchowej”, doświadczał intensywnych wizji wielu istot duchowych, które często widywał i z którymi się komunikował. Rozróżniał dwa rodzaje duchów, „dobre” i „złe”; jego doświadczenia zostały niedawno potwierdzone przez odkrycia pewnego psychologa klinicznego w badaniach dotyczących pacjentów z „halucynacjami” w stanowym szpitalu psychiatrycznym w Ukiah, Kalifornia. Psycholog ten potraktował poważnie głosy słyszane przez pacjentów i podjął serię „rozmów” z nimi (przy pośrednictwie samych pacjentów). Doszedł do wniosku, podobnie jak Swedenborg, że istnieją dwa bardzo różniące się rodzaje „istot”, które kontaktowały się z pacjentami: „wyższe” i „niższe”. Według jego własnych słów: „głosy niższego rodzaju podobne są do pijaków z baru, którzy lubią dokuczać i dręczyć dla samej przyjemności. Proponują one sprośne czyny by besztać potem pacjentów za myślenie o nich. Znajdują słaby punkt w osobowości a potem bez końca nad nim pracują... Słownictwo i zakres pojęć istot niższego rodzaju są ograniczone, ale jest w nich stale obecne pragnienie niszczenia... Skupiają się nad każdą słabością i ufnością, przypisują sobie budzące respekt moce, kłamią, obiecują a potem podkopują wolę pacjentów... Wszystkie istoty niższego rzędu są areligijne lub

antyreligijne... Jednej osobie pojawiły się jako tradycyjne diabły i przedstawiały się jako demony...

Ich zupełnym przeciwieństwem są rzadsze halucynacje wyższego rodzaju... To przeciwieństwo może być zilustrowane przez przeżycia pewnego człowieka. Słyszał on kiedyś istoty niższego rodzaju kłócące się przez długą chwilę o to, jak mogłyby go zamordować. (Ale) potem w nocy objawiło mu się światło, podobne do słońca. Wiedział, że jest to inny rodzaj wizji, ponieważ światło szanowało jego wolność i wycofałoby się, gdyby się przestraszył... Kiedy postanowił zbliżyć się do tego przyjaznego słońca, wszedł do świata potężnych i tajemniczych zjawisk... [Pewnym razem] pojawiła się bardzo potężna i imponująca postać podobna do Chrystusa... Niektórzy pacjenci doświadczali w różnych momentach zarówno istot niższego jak i wyższego rodzaju i czuli się schwytani pomiędzy ich prywatnym niebem i piekłem. Wielu znało tylko ataki niższego rodzaju. Ten wyższy rodzaj istot twierdził, że ma władzę nad niższym rodzajem istot i czasami rzeczywiście demonstrował ją, jednak w większości przypadków nie na tyle aby przywrócić równowagę w umysłach pacjentów... Istoty wyższego rodzaju wydawały się dziwnie utalentowane, wrażliwe, mądre i religijne”47 .

Każdy czytelnik żywotów świętych oraz innej duchowej literatury prawosławnej wie, że wszystkie te duchy – zarówno „dobre” jak i „złe”, te „niższe” z „wyższymi” – tak samo są demonami, i że odróżnienie prawdziwych dobrych duchów (aniołów) od złych duchów nie może być

przeprowadzone na podstawie czyichś osobistych odczuć i wrażeń. Szeroko rozpowszechniona praktyka „egzorcyzmów” w kołach „charyzmatyków” nie daje żadnej gwarancji czy jakikolwiek zły duch zostanie wyrzucony; egzorcyzmy są również bardzo powszechne (i pozornie skuteczne) wśród prymitywnych szamanów48, którzy również rozpoznają różne rodzaje duchów – wszystkie one są jednak tylko demonami, nawet gdy wydają się uciekać podczas egzorcyzmów lub gdy wywoływane pojawiają się i oferują moce szamanistyczne.

Nikt nie zaprzeczy, że ruch „charyzmatyczny” w całości jest nastawiony stanowczo przeciwko współczesnemu okultyzmowi czy satanizmowi. Jednak bardziej subtelne złe duchy pojawiają się jako „anioły światłości” (2 Kor 11:14), dlatego potrzebny jest wielki dar rozróżniania duchów, wraz z głęboką nieufnością co do wszystkich nadzwyczajnych doświadczeń „duchowych”, aby nie zostać zwiedzionym. W obliczu subtelnego, niewidzialnego wroga, który toczy niewidoczną wojnę przeciwko rodzajowi ludzkiemu, naiwne i ufne podejście do doświadczeń większości ludzi zaangażowanych w ruch „charyzmatyczny” jest jawnym zaproszeniem do zwodzenia duchowego. Pewien pastor na przykład doradzał medytacje nad tekstami Pisma a potem zapisywanie każdej myśli pojawiającej się po ich czytaniu: „Jest to osobisty przekaz Ducha Świętego dla ciebie” (Christenson, str. 139). Jednak każdy poważny uczeń duchowości chrześcijańskiej wie, że „na samym początku życia monastycznego wiele duchów nieczystych szkoli [nowicjuszy] w

interpretowaniu Boskich Pism... stopniowo oszukując ich tak, że mogą ich doprowadzić do herezji i bluźnierstwa" (Drabina św. Jana, stopień 26:152).

Niestety, postawa prawosławnych naśladowców „odrodzenia charyzmatycznego" wydaje się niewiele różnić od postawy katolików czy protestantów. Najwyraźniej nie znają oni ani prawosławnych Ojców, ani żywotów świętych, a kiedy już cytują czasem jakiegoś Ojca, jest to często zdanie wyrwane z kontekstu (zobacz później przykłady cytatów ze św. Serafina). Urok „odnowy charyzmatycznej" leży głównie w doświadczeniu. Pewien prawosławny kapłan napisał: „Niektórzy ośmielają się nazywać te doświadczenia 'prelest' – duchową pychą. Ale żaden z tych którzy w ten sposób spotkali Pana nie może już popaść w takie złudzenie" (Logos, kwiecień, 1972, str. 10). Tylko niewielu prawosławnych chrześcijan jest w stanie rozróżnić bardzo subtelne formy duchowego zwodzenia (gdzie na przykład „pycha" może przyjąć formę „pokory") wyłącznie na podstawie własnych odczuć, bez odniesienia się do tradycji patrystycznej; tylko ten, kto już całkiem przyswoi sobie tradycję patrystyczną i stosuje ją w swoich myślach i czynach, oraz osiągnął wielką świętość, może się na to odważyć.

Jak prawosławni chrześcijanie są przygotowani na uniknięcie zwodzenia? Mają oni całość Bogiem natchnionych ksiąg patrystycznych, które łącznie z Pismem Świętym prezentują naukę Cerkwi Chrystusowej przez 1900 lat, która uwzględnia i tłumaczy praktycznie każde wyobrażalne duchowe i pseudoduchowe doświadczenie. Później zobaczymy też, że ta tradycja posiada wyraźny i wnikliwy osąd

najważniejszej kwestii podnoszonej przez ruch „charyzmatyczny", dotyczącej możliwości nowego szerokiego „rozlania Ducha Świętego" w dniach ostatnich. Ale jeszcze przed zasięgnięciem rady Ojców dotyczącej tak postawionego problemu trzeba zaznaczyć, że prawosławni chrześcijanie chronieni są przez zwodzeniem przez samą wiedzę, że takie zwodzenie nie tylko istnieje, ale obecne jest wszędzie, również w nas samych. Św. biskup Ignacy pisał: „Wszyscy jesteśmy zwodzeni. Wiedza o tym w największym stopniu zapobiega zwodzeniu. Natomiast największą ułudą jest uważać się za wolnego od zwodzenia". Zacytował on św. Grzegorza z Synaju, który ostrzegał nas: „Nie jest to mały trud aby osiągnąć doskonałą prawdę i oczyścić się ze wszystkiego co sprzeciwia się łasce; ponieważ jest rzeczą niespotykaną aby demony ujawniały swoje oszustwa, zwłaszcza początkującym, oferując pod pozorem prawdy i szatą duchową samo zło". Oraz „Bóg nie gniewa się na tego, kto bojąc się zwiedzenia pilnuje się niezwykle uważnie, nawet gdyby nie przyjął czegoś, co zesłane było od Boga... Przeciwnie, Bóg chwali takich ludzi dla ich zdrowego rozsądku".

W ten sposób kompletnie nieprzygotowany na duchową wojnę, nieświadomy istnienia takich rzeczy jak duchowe oszustwa najbardziej subtelnego rodzaju (w przeciwieństwie do oczywistych form okultyzmu), katolicy i protestanci, jak również niedoinformowani prawosławni chrześcijanie, chodzą na spotkania modlitewne aby „ochrzcić się (lub napełnić się) w Duchu Świętym". Atmosfera tych spotkań jest niezmiernie luźna, rozmyślnie zostawia się „wolne" miejsce na działalność „ducha".

Oto w jaki sposób katolicy (uważani za bardziej ostrożnych od protestantów) opisują niektóre ze swoich spotkań: „Wydaje się, że nie ma żadnych ograniczeń, żadnych zahamowań... Siadamy ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Panie w spodniach. Mnich w białym habicie. Palacze papierosów. Miłośnicy kawy. Każdy modli się po swojemu... Zdałem sobie sprawę, że ci ludzie świetnie bawią się na modlitwie! Czy właśnie to mieli na myśli mówiąc, że Duch Święty zamieszkał wśród nich?" Inne katolickie spotkanie charyzmatyczne „pominąwszy fakt, że nikt nie pił, wyglądało zupełnie jak impreza alkoholowa" (Ranaghan, str. 157, 209). Podobnie na międzywyznaniowych spotkaniach „charyzmatycznych" atmosfera jest dostatecznie nieformalna i nikogo nie dziwi, kiedy „duch" podczas ataku powszechnego płaczu pobudza starsze kobiety, aby wstały i zaczęły tańczyć gigę (Sherrill, str. 118). Dla poważnych prawosławnych chrześcijan pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy w tej atmosferze jest zupełny brak tego, co znają ze swoich własnych nabożeństw, czyli prawdziwej pobożności i szacunku, które pochodzą z bojaźni Bożej. Te pierwsze wrażenia są zadziwiająco dokładnie potwierdzone przez obserwacje naprawdę przedziwnych rzeczy dokonanych przez „ducha" charyzmatycznego schodzącego w tę luźną atmosferę. Zbadamy teraz kilka z tych zjawisk, stawiając je pod osąd świętych Ojców Cerkwi Chrystusa.

B. Zjawiska fizyczne towarzyszące przeżyciom „charyzmatycznym"

Jedną z najbardziej powszechnych reakcji na doświadczenie „chrztu Ducha Świętego” jest śmiech. Pewien katolik wyznaje: „Byłem tak radosny, że wszystko, co mogłem uczynić to leżeć na podłodze i śmiać się” (Ranaghan, str. 28). Inny katolik wspomina: „Pamiętam, że poczucie obecności i miłości Bożej było tak silne, że siedziałem w kaplicy przez pół godziny śmiejąc się bez przerwy z radości wywołanej Bożą miłością” (Ranaghan, str. 64). Pewien protestant wyznaje: podczas „chrztu” „zacząłem się śmiać... Chciałem tylko śmiać się i śmiać, jak ktoś, kto czuje się tak wspaniale, że nie może nawet o tym mówić. Trzymałem się za boki i śmiałem się do rozpuku” (Sherrill, str. 113). Inny protestant: „Nowy język, który został mi dany zmieszał się z falami wesołości, w której wszystkie moje lęki się rozwiały. Był to język śmiechu” (Sherrill, str. 115). Prawosławny kapłan, o. Euzebiusz Stephanou pisze: „Nic nie mogłem poradzić, że na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech i że w każdej chwili mogłem wybuchnąć śmiechem – śmiechem Ducha Świętego, który wywołuje odświeżające odprężenie” (Logos, kwiecień, 1972, str. 4).

Dużo, dużo przykładów można zebrać na tę naprawdę przedziwną reakcję na „duchowe” doznania, a pewni „charyzmatyczni” apologeci wypracowali nawet całą filozofię „duchowej radości” i „Bożego szaleństwa”, aby ten fenomen wyjaśnić. Ale ta filozofia w najmniejszym stopniu nie jest chrześcijańska; nikt nie słyszał o koncepcji „śmiechu Ducha Świętego” w całej historii nauki i praktyki Cerkwi Prawosławnej. Widzimy na tym przykładzie chyba najwyraźniej, że „odnowa charyzmatyczna” jest ruchem w swoim religijnym wymiarze kompletnie

niechrześcijańskim; doświadczenie śmiechu jest czysto doczesne i pogańskie, gdyż nie można wytłumaczyć go jedynie stanem emocjonalnej histerii (dla o. Euzebiusza rzeczywiście śmiech zapewnia „ulgę" i „uwolnienie" od „głębokiego poczucia samo-świadomości i skrępowania" oraz „pustki uczuciowej"), może być tylko spowodowane pewnym stopniem „opętania" przez jednego lub wielu pogańskich bogów, którzy w Cerkwi Prawosławnej noszą miano demonów. Na przykład porównywalnym doświadczeniem jest „inicjacja" pogańskich szamanów eskimoskich: nie znajdując inicjacji, „wybuchałem czasem płaczem i czułem się bardzo nieszczęśliwy nie wiedząc dlaczego. Potem bez wyraźnego powodu całkowicie mogłem się zmienić i nagle odczuć wielką, niewytłumaczalną radość, radość tak ogromną, że nie mogłem jej pohamować, musiałem wyśpiewać pieśń, potężną pieśń, w której jedynym słowem było: radość, radość! Musiałem używać całej siły mojego głosu. I właśnie wtedy, podczas tego ataku tajemniczego i obezwładniającego zachwytu zostałem szamanem... Mogłem widzieć i słyszeć w zupełnie inny sposób. Osiągnąłem oświecenie... nie byłem tylko ja sam, kto mógł widzieć poprzez ciemności życia, ale to samo jasne światło również świeciło ze mnie... i wszystkie duchy ziemi, nieba i morza przyszły teraz do mnie i stały się moimi pomocniczymi duchami" (Lewis, Ecstatic Religion, str. 37).

Nie ma w tym nic dziwnego, że niczego nie spodziewający się „chrześcijanie", którzy z rozmysłem otwierają się na podobne pogańskie doświadczenia, będą wciąż interpretować je jako „chrześcijańskie";

psychologicznie są bowiem wciąż chrześcijanami, mimo że duchowo weszli już do rzeczywistości o całkowicie niechrześcijańskim światopoglądzie i praktyce. Jaki jest sąd prawosławnej tradycji ascetycznej na temat czegoś takiego jak „śmiech Ducha Świętego”? Święci Warsonofiusz i Jan, pustelnicy z VI wieku, dają jednoznaczną prawosławną naukę odpowiadając pewnemu mnichowi, który męczył się nad tą kwestią (Odpowiedź 451): „W bojaźni Bożej nie ma śmiechu. Pismo powiada o głupcach, że śmieją się głośno (Syr 21:20); a słowa głupców są zawsze chaotyczne i pozbawione łaski”. Św. Izaak Syryjczyk równie jasno naucza: „Śmiech i poufałość są początkiem upadku duszy. Jeśli dostrzeżesz je w sobie, wiedz, że wstąpiłeś właśnie do otchłani piekielnych. Nie ustawaj w modlitwie aby Bóg wydostał cię z tej śmierci… Śmiech pozbawia nas tego błogosławieństwa, które przeznaczone jest dla płaczących (Mt 5:4) i rozprasza to, co zostało zgromadzone. Śmiech obraża Ducha Świętego, nie daje duszy żadnej korzyści, hańbi ciało. Śmiech przepędza cnoty, nie ma w nim myśli o śmierci i przyszłych mękach” (Filokalia, Moskwa 1913, tom II, str. 448).

VIII. Zakończenie: Duch czasów ostatecznych

1. „Odnowa charyzmatyczna” jako znak czasów

Przy końcu tego wieku nie zabraknie proroków Boga, jak również sług szatana. Jednak w czasach ostatecznych ci, którzy prawdziwie służą Bogu będą całkowicie ukryci przed ludźmi i nie będą wykonywać wśród nich znaków i cudów, tak jak w czasie obecnym, ale będą szli wąską ścieżką pokory, ale w Królestwie Niebieskim będą oni więksi niż Ojcowie, którzy byli wysławiani z powodu cudów. Bo w tym czasie nikt nie będzie działał cudów przed oczyma ludzi, które by pobudzały ludzi i inspirowały ich do dążenia z zapałem do trudu ascezy... Wielu ogarniętych ignorancją upadnie do czeluści, idąc na zatracenie po szerokiej i przestronnej drodze.

Proroctwo św. Nifonta z Konstancji z Cypru

A. „Duch Święty bez Chrystusa”

Dla prawosławnych chrześcijan współczesny „dar języków”, jak ten opisany w Nowym Testamencie, jest również „znakiem”; jednak teraz jest znakiem nie początku głoszenia Dobrej Nowiny o zbawieniu dla wszystkich ludzi, ale jej końca. Poważny prawosławny chrześcijanin bez trudu zgodzi się z apologetami „odnowy charyzmatycznej”, że to nowe „rozlanie ducha” może rzeczywiście oznaczać, że „koniec wieku jest tuż” (o. Euzebiusz Stephanou w Logos, kwiecień 1972, str. 3). Duch wyraźnie mówi

o tym, że w czasach ostatnich niektórzy odstąpią od wiary, ulegając zwodniczym duchom i naukom szatańskim (1 Tm 4:1). W ostatnich dniach zobaczymy duchy czyniące znaki – demony (Ap 16:14).

Pismo Święte i Ojcowie Cerkwi jasno mówią nam, że charakter czasów ostatecznych z pewnością nie będzie wielką duchową „odnową" przez „rozlanie Ducha Świętego", ale raczej jednym powszechnym odstępstwem, czasami duchowego zwodzenia tak subtelnego, że nawet wybrani, jeśli jest to możliwe, byliby zwiedzeni, czasami praktycznego zniknięcia chrześcijaństwa z powierzchni ziemi. Ale czy Syn Człowieczy, kiedy przyjdzie, znajdzie wiarę na ziemi? (Łk 18:8). Właśnie w czasach ostatecznych szatan będzie uwolniony (Ap 20:3) aby dokonał ostatniego i największego wylania się zła na ziemię.

„Odnowa charyzmatyczna", produkt świata bez sakramentów, bez łaski, świata spragnionego duchowych „znaków" nie będąc w stanie rozeznawać duchów, które stoją za tymi „znakami", sama jest „znakiem" czasów wielkiego odstępstwa. Ruch ekumeniczny sam w sobie zawsze będzie ruchem „dobrych intencji", ograniczonym do humanitarnych „dobrych uczynków"; jednak kiedy przyłączy się do ruchu z „mocą", rzeczywiście towarzyszyć mu będą za sprawą szatana cuda kłamliwe, znaki i dziwy (2 Tes 2:19); kto potem będzie w stanie to powstrzymać? „Odnowa charyzmatyczna" pojawiła się aby uratować kulejący ekumenizm i popchnąć go we właściwym kierunku do celu. A cel ten, jak widzimy, nie jest jedynie „chrześcijańskiej" natury – „ponowne założenie Cerkwi

Chrystusa", aby użyć tej bluźnierczej wypowiedzi Patriarchy Konstantynopola Atenagorasa – co jest tylko pierwszym krokiem do większego celu, który leży zupełnie poza granicami chrześcijaństwa, a jest nim ustanowienie „duchowej jedności" wszystkich religii i całej ludzkości.

Jednak uczestnicy „odnowy charyzmatycznej" wierzą, że ich przeżycia są „chrześcijańskie"; nie zajmują się przecież wcale okultyzmem czy wschodnimi religiami; bez wątpienia również całkowicie odrzucają prezentowane w tej książce całe porównanie „odnowy charyzmatycznej" ze spirytyzmem. Jest już zupełnie jasne, że religijnie „odnowa charyzmatyczna" stoi na wyższym poziomie niż spirytyzm, który jest efektem ogromnej łatwowierności i przesądności; że jej techniki są bardziej wyrafinowane a jej efekty częściej występujące i łatwiej osiągalne; jest to cała ideologia dająca złudzenie bycia „chrześcijaninem" – nie prawosławnym, lecz czymś w rodzaju fundamentalistycznego protestanta z dodatkiem „ekumenicznego" zabarwienia.

Widzieliśmy też, że przeżycia „charyzmatyczne", a szczególnie centralne doświadczenie „chrztu Ducha Świętego" są w dużej mierze, jeśli nie całkowicie, doświadczeniem pogańskim, dużo bliższym do „opętania przez duchy" niż do czegokolwiek chrześcijańskiego. Wiemy też, że Zielonoświątkowcy powstali na obrzeżach sekt chrześcijańskich, gdzie niewiele pozostało z autentycznych chrześcijańskich poglądów i wierzeń, w wyniku religijnego eksperymentu, w którym chrześcijanie nie brali udziału. Ale całkiem niedawno można było znaleźć jasne świadectwo

niechrześcijańskiego charakteru przeżyć ”charyzmatycznych” w słowach „charyzmatycznych” apologetów. Ci apologeci oznajmiają nam, że doświadczenie „chrztu Ducha Świętego” rzeczywiście można przyjąć bez udziału Chrystusa.

Pewien pisarz opowiada historię mężczyzny, który otrzymał „chrzest” wraz z mówieniem językami i zachęcał wszystkich, aby sami tego doświadczyli. Przyznał on jednak, że pokuta nie była częścią tego doznania i że nie tylko nie pozbył się swoich grzesznych przyzwyczajeń, ale nawet nie miał szczególnej ochoty, aby się od nich uwolnić. Pisarz kończy następująco: „Doświadczenie Ducha Świętego bez pokuty – doświadczenie Ducha Świętego bez Chrystusa – oto czego niektórzy dzisiaj doświadczają. Słyszeli o językach, chcą identyfikować się z tymi przeżyciami, więc poszukują kogoś, kto mógłby położyć na nich ręce, aby szybko, tanio i z łatwością otrzymać te dary, które omijają Chrystusa i Jego Krzyż”. Jednocześnie autor stwierdza, że mówienie językami jest niezaprzeczalnie „pierwszą konsekwencją lub potwierdzeniem chrztu w Duchu Świętym” (Harry Lunn, Logos Journal, listopad-grudzień 1971, str. 44, 47).

Ci, którzy te przeżycia opisują przy pomocy pojęć chrześcijańskich zakładają, że „chrzest Ducha Świętego” jest doświadczeniem chrześcijańskim. Jednak jeżeli może on być dany komuś, kto jedynie poszukuje tanich i łatwych ciekawych przeżyć – nie ma w takim razie żadnej potrzeby, aby łączyć to doświadczenie z Chrystusem. Sama

możliwość doświadczenia „Ducha Świętego bez Chrystusa” oznacza, że doświadczenie samo w sobie może być w ogóle nie chrześcijańskie; natomiast chrześcijanie, często szczerze i w dobrej wierze odczytują w tych doświadczeniach kontekst chrześcijański, którego tam wcale nie ma.

Czy nie mamy tutaj wspólnego mianownika dla „duchowych doświadczeń”, które potrzebne są w nowej religii światowej? Czy nie jest to klucz do „duchowej jedności” ludzkości, której wciąż poszukuje ruch ekumeniczny?

B. „Nowe chrześcijaństwo”

Mogą być i tacy, którzy będą wątpić, że „odnowa charyzmatyczna” jest formą mediumizmu; że wyłącznie drugorzędną kwestią są środki czy techniki przekazywania „ducha” „odnowy charyzmatycznej”. Jednak to, że duch ten nic nie ma wspólnego z prawosławnym chrześcijaństwem jest absolutnie pewne. W rzeczywistości ten „duch” podąża prawie słowo w słowo za „proroctwami” Mikołaja Bierdiajewa mówiącymi o „nowym chrześcijaństwie”. Ten duch odrzuca zupełnie „monastycznego, ascetycznego ducha historycznego Prawosławia”, który najbardziej skutecznie obnażał wszelkie fałszerstwa. Nie jest zadowolony z „konserwatywnego chrześcijaństwa, które kieruje duchowe siły człowieka wyłącznie do skruchy i zbawienia”, ale raczej najwyraźniej wierząc podobnie jak Bierdiajew, że takie chrześcijaństwo jest „niepełne”, dodaje do niego drugi poziom „duchowych” zjawisk, nie tych, które są ściśle

chrześcijańskiej natury (mimo, że każdy może interpretować je jako „chrześcijańskie"), ale które otwarte są na ludzi każdego wyznania, którzy czynią pokutę lub nie, i które są zupełnie nie związane ze zbawieniem. Wygląda na to, że „nowa era w chrześcijaństwie, nowa głęboka duchowość, oznaczająca nowe zejście Ducha Świętego" – jest kompletnym zaprzeczeniem tradycji prawosławnej i jej proroctw.

Jest to naprawdę „nowe chrześcijaństwo" – lecz ściśle „nowym" elementem w tym „chrześcijaństwie" nie jest nic oryginalnego, czy „wyższego", lecz jedynie współczesna forma diabelskich starożytnych szamanistycznych religii pogańskich. Prawosławne czasopismo „charyzmatyczne" The Logos rekomenduje Mikołaja Bierdiajewa jako „proroka" dokładnie dlatego, że był „największym teologiem duchowej twórczości" (Logos, marzec 1972, str. 8). I rzeczywiście, szamani każdego prymitywnego plemienia wiedzieli, jak wejść w kontakt z pierwotnymi „twórczymi" mocami wszechświata – z tymi „duchami ziemi, nieba i morza" które Cerkiew Chrystusa nazywa demonami, a służba którym rzeczywiście umożliwia osiągnięcie „twórczej" ekstazy i radości (entuzjazm i uniesienie Nietzschego są bardzo bliskie Bierdiajewowi) nieznanej nijakim i bezbarwnym „chrześcijanom", którzy popadli w kuglarstwa „charyzmatyków". Lecz tutaj nie ma Chrystusa. Bóg zabronił kontaktu z tą „twórczą", okultystyczną rzeczywistością do której „chrześcijanie" z powodu ignorancji i samooszukiwania wpadają. „Odnowa charyzmatyczna" nie będzie miała żadnej potrzeby aby rozpocząć „dialog z religiami niechrześcijańskimi", ponieważ nazwa „chrześcijaństwo" już w

tej chwili obejmuje religie niechrześcijańskie, a ona sama staje się nową religią, przepowiedzianą przez Bierdiajewa, przedziwnie jednoczącą „chrześcijaństwo” z pogaństwem.

Ten dziwny „chrześcijański” duch „odnowy charyzmatycznej” jest łatwo rozpoznawalny w Piśmie Świętym i prawosławnej tradycji patrystycznej. Zgodnie z tymi źródłami historia świata zakończy się, gdy ukaże się niemal nadludzka postać „chrześcijanina”, fałszywego mesjasza, antychrysta. Będzie on „chrześcijaninem” w tym sensie, że cała jego działalność i jego istnienie będzie skupione wokół Chrystusa, którego będzie naśladował pod każdym możliwym względem, i nie będzie jedynie największym wrogiem Chrystusa, ale aby zwieść chrześcijan ukaże się jako Chrystus, który przychodzi drugi raz na ziemię sprawując rządy w odbudowanej Świątyni w Jerozolimie. Niech was nikt w żaden sposób nie wprowadza w błąd. Bo najpierw musi dojść do odstępstwa i objawi się człowiek grzechu, syn zatracenia, przeciwnik, wynoszący się ponad wszystko, co nazwane jest Bogiem lub odbiera cześć Boską. Zasiądzie on nawet w świątyni Boga, dowodząc, że sam jest Bogiem… Działalności jego towarzyszyć będą za sprawą szatana cuda, kłamliwe znaki i dziwy. Tych, którzy nie umiłowali prawdy mającej ich zbawić, zwiedzie wszelkimi pokusami zła ku ich zgubie. Bóg dopuści, że omamieni błędem wciągnięci zostaną w sidła i dadzą wiarę kłamstwu. Tak wszyscy, którzy nie uwierzyli prawdzie, lecz upodobali sobie zło, zostaną potępieni (2 Tes 2:3-4,9-12).

Nauka prawosławna odnosząca się do antychrysta to ogromny temat i nie może być tutaj przedstawiona w całości. Ale jeśli, jak wierzą uczestnicy „odnowy charyzmatycznej", czasy ostateczne są istotnie tuż, tuż, jest kwestią zasadniczą, aby pouczyć prawosławnych chrześcijan o tym, o którym przepowiedział nam sam Zbawiciel, łącznie z fałszywymi prorokami tych czasów: Pojawią się bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy, i będą czynić znaki tak wielkie, że zwiedliby nawet, gdyby to było możliwe, i wybranych (Mt 24:24). Ci „wybrani" to nie są z pewnością te zastępy ludzi, którzy przyjmują rażąco niezgodne z nauką Pisma Świętego zwodzenie, że „świat znajduje się na progu wielkiego duchowego przebudzenia", a raczej jest nią owa „mała trzódka", której Zbawiciel obiecał: Nie bój się, mała trzódko, bo spodobało się Ojcu waszemu dać wam królestwo (Łk 12:32). Nawet ci prawdziwie „wybrani" będą potężnie zwodzeni przez „wielkie znaki i cuda" antychrysta; jednak większość „chrześcijan" zaakceptuje go bez zająknięcia, bo „nowe chrześcijaństwo" jest dokładnie tym, czego pragną.

C. „Jezus wkrótce przyjdzie"

Tylko przez kilka ostatnich lat postać „Jezusa" uzyskała niespotykany znaczny rozgłos w Ameryce. Na scenie i w filmach zniesiony został pradawny zakaz ukazywania osoby Chrystusa. Niesłychanie popularny musical przedstawia bluźnierczą parodię Jego życia. „Ruch Jezusa", który w swojej działalności jest bardzo „charyzmatyczny", dynamicznie rozwija się między nastolatkami i młodymi ludźmi. Najbardziej prymitywna

popularna muzyka amerykańska „głosi Dobrą Nowinę” masom na „festiwalach Jezus-rocka”, a „chrześcijańskie” przeboje po raz pierwszy zdobyły największą popularność w kraju. U podstaw tego całego osobliwego konglomeratu świętokradztwa i całkowicie nieoświeconej doczesności wciąż powtarzanym zwrotem, pozornie odzwierciedlającym oczekiwanie i nadzieję wszystkich jest: „Jezus wkrótce przyjdzie”.

Pośród psychicznego i religijnego spustoszenia ziemi amerykańskiej powtarzają się znamienne „mistyczne” wydarzenia, które miały miejsce w życiu nie związanych ze sobą Amerykanów. Redaktor czasopisma „charyzmatycznego” opisuje jak pierwszy raz zetknął się z tymi wydarzeniami, o których usłyszał od kogoś na spotkaniu ludzi o podobnych poglądach:

„Mój przyjaciel i jego żona jechali do Bostonu drogą nr 3, i w pewnej chwili zatrzymali się, aby podwieźć autostopowicza. Był młody, miał brodę, ale nie był ubrany jak hipis. Niewiele mówiąc usiadł na tylnym siedzeniu i samochód ruszył. Po chwili cicho powiedział: ‘Pan wkrótce przyjdzie’. Mój przyjaciel z żoną byli tak zaskoczeni, że oboje odwrócili się do nieznajomego, ale siedzenie było puste. Ogromnie wstrząśnięci zajechali do najbliższej stacji benzynowej. Musieli komuś o tym opowiedzieć, bez względu na reakcję. Kiedy pracownik wysłuchał ich opowiadania, wcale się nie śmiał. Zamiast tego powiedział: ‘Jesteście piątym samochodem, który pojawił się tutaj z tą historią’.

Kiedy tego słuchałem, pomimo przymglonego słońca, chłód przebiegł mi po plecach. Jednak to był dopiero początek. Jeden po drugim dookoła kręgu pozostali po kolei opowiadali podobne historie, aż opowiedziano ich sześć, jak kraj długi i szeroki, a każda wydarzyła się w ciągu ostatnich dwóch lat" – w Los Angeles, Filadelfii, Duluth (trzynaście meldunków na policję w ciągu jednej nocy), Nowy Orlean; czasami autostopowiczem jest mężczyzna, czasami kobieta. Później pastor Kościoła Episkopalnego opowiedział temu redaktorowi własne identyczne przeżycie, które miało miejsce w północnej części stanu Nowy Jork. Dla redaktora wszystko to wskazywało, że rzeczywiście 'Jezus wkrótce przyjdzie'" (David Manuel Jr., Logos Journal, styczeń-luty 1972, str. 3).

Uważny obserwator współczesnej sceny religijnej, szczególnie w Ameryce, gdzie najbardziej popularne ruchy religijne liczą sobie przeszło sto lat, nie może nie spostrzec bardzo zdecydowanej atmosfery oczekiwań chiliastycznych. Nie odnosi się to tylko do kręgów „charyzmatycznych", ale nawet do kręgów tradycjonalistycznych i fundamentalistycznych, które odrzuciły „odnowę charyzmatyczną". Tak więc wielu tradycjonalistycznych katolików wierzy w nadchodzący chiliastyczny „wiek Maryi" przed końcem świata, a to jest tylko jeden wariant pewnego szeroko rozpowszechnionego łacińskiego błędu, który próbuje „uświęcać świat" albo, jak stwierdził 15 lat temu arcybiskup Seattle Thomas Connolly, „przekształcać współczesny świat w Królestwo Boże, przygotowując powrót Chrystusa". Protestanci ewangeliccy tacy jak Billy Graham, w swojej błędnej prywatnej interpretacji Księgi Apokalipsy, oczekują na

„tysiąclecie” podczas którego na ziemi będzie panował „Chrystus”. Inni ewangeliści w Izraelu stwierdzili, że ich milenijna interpretacja „nadejścia Mesjasza” nieodzowna jest, aby „przygotować” żydów na jego przyjście51 . A arcyfundamentalista Carl McIntire czyni przygotowania do budowy dokładnej repliki Świątyni Jerozolimskiej na Florydzie (niedaleko Disneylandu!) wierząc, że już niedługo żydzi będą budować właśnie tę „Świątynię do której wróci Pan osobiście, tak jak obiecał” (Christian Beacon, listopad 1971; styczeń 1972). W ten sposób nawet antyekumeniści uznają za sensowne, aby przyłączyć się do nienawróconych żydów w ich oczekiwaniu fałszywego mesjasza, antychrysta, w przeciwieństwie do wiernej reszty żydów, którzy przyjmą Chrystusa takiego, jakiego głosi Cerkiew Prawosławna, kiedy prorok Eliasz powróci na ziemię.

Dlatego nie jest wielkim pocieszeniem dla poważnego prawosławnego chrześcijanina, który zna biblijne proroctwa dotyczące czasów ostatecznych, kiedy słyszy od „charyzmatycznego” protestanckiego duchownego: „To będzie wspaniałe, co Jezus uczyni kiedy otworzymy się na Niego. Nic dziwnego, że ludzie każdej wiary są teraz w stanie modlić się razem” (Herold Bredesen, Logos Journal, styczeń-luty 1972, str. 24); czy też słowa katolickiego „charyzmatyka”, że członkowie wszystkich wyznań teraz „zaczynają bacznie przyglądać się sobie mimo dzielących ich murów i rozpoznawać w sobie obraz Jezusa Chrystusa” (Kevin Ranaghan, Logos Journal, listopad-grudzień 1971, str. 21). Co to za „Chrystus” dla którego czyni się tak pośpieszne przygotowania psychologiczne i nawet materialne

na całym świecie? Czy jest to prawdziwy Bóg i Zbawca Jezus Chrystus, który założył Cerkiew w której ludzie mogą znaleźć zbawienie? Czy jest to fałszywy Chrystus, który przyjdzie we własnym imieniu (J 5:43) i połączy wszystkich, którzy odrzucą albo wypaczą nauczanie jedynego Kościoła Chrystusa, Cerkwi Prawosławnej?

Nasz Zbawiciel osobiście ostrzegł nas: Wtedy jeśli ktoś wam powie: Mesjasz jest tu albo tam – nie wierzcie! Pojawią się bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy, i będą czynić znaki tak wielkie, że zwiedliby, gdyby to było możliwe, i wybranych. To wam przepowiedziałem. Jeśli więc będą wam mówić: Oto jest na pustyni – nie wychodźcie! Oto w mieszkaniu – nie wierzcie! Bo jak błyskawica zapala się na wschodzie a widać ją aż na zachodzie, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego (Mt 24:23-27).

Nie sposób będzie przeoczyć Drugiego Przyjścia Chrystusa, będzie ono nagłe, z nieba (Dz 1:11), i będzie znakiem końca tego świata. Nie ma żadnego sensu czynić jakiś „przygotowań", z wyjątkiem tylko przygotowania prawosławnych chrześcijan poprzez pokutę, duchowe życie i czujność. Ci „przygotowujący się" do tego w jakiś inny sposób, którzy mówią, że jest on gdzieś „tutaj" lub „tam", a szczególnie w Świątyni Jerozolimskiej, albo ci, którzy głoszą, że „Jezus wkrótce przyjdzie", nie ostrzegając przy tym o wielkim zwodzeniu, które ma poprzedzać Jego przyjście, są najwyraźniej prorokami antychrysta, fałszywego mesjasza, który musi przyjść jako pierwszy i oszukać świat, włącznie z wszystkimi „chrześcijanami", którzy nie są lub nie staną się prawdziwie prawosławni.

Nie będzie żadnego przyszłego „tysiąclecia”. Dla tych, którzy mogą je otrzymać, owo „tysiąc lat” z Apokalipsy (Ap 20:6) jest teraz: jest to życie w łasce w Cerkwi Prawosławnej przez cały okres „tysiąca lat” pomiędzy pierwszym przyjściem a czasami antychrysta52. To, że protestanci oczekują tego „tysiąclecia” w przyszłości świadczy o przyznaniu się, że nie mogą żyć w nim obecnie, a to oznacza, że są poza Cerkwią Chrystusa i nie zasmakowali jeszcze Boskiej łaski.

D. Czy Prawosławie musi przyłączyć się do odstępstwa?

Dzisiaj wielu kapłanów prawosławnych, kierowanych przez o. Euzebiusza Stephanou, będzie próbować przekonywać nas do „odnowy charyzmatycznej”, i nawet jeżeli rozpoczęła się i głównie egzystuje poza Cerkwią Prawosławną, będzie pomimo to „prawosławna”, a nawet ostrzega nas: „Nie zostańcie z tyłu”. Jednak nikt kto badał ten ruch w pracach jego wiodących przedstawicieli, z których wielu było już cytowanych, nie będzie miał żadnych wątpliwości, że ta „odnowa”, w takim zakresie, w jakim jest ona w ogóle „chrześcijańska”, jest całkowicie protestancka w swoich korzeniach, inspiracjach, zamiarach, praktyce, „teologii” i końcu. Jest formą protestanckiej „odnowy”, która jest zjawiskiem zachowującym tylko fragmenty czegokolwiek naprawdę chrześcijańskiego, zastępując chrześcijaństwo uczuciową, „religijną” histerią, której ofiary popadają w zgubne fantazje, że są „zbawieni”. Jeśli „odnowa charyzmatyczna” różni się czymś od odnowy protestanckiej, to tylko dodatkiem nowego kryptospirytystycznego wymiaru, który jest

bardziej efektowny i bardziej widoczny niż wyłącznie subiektywna odnowa.

Te oczywiste fakty są tylko w zadziwiający sposób potwierdzane przez analizę tekstów o. Euzebiusza Stephanou, próbującego fałszywie przedstawiać ten ruch w swoim piśmie The Logos jako „prawosławne przebudzenie".

Ten prawosławny kapłan donosi swoim czytelnikom, że „Cerkiew Prawosławna nie uczestniczy we współczesnym chrześcijańskim przebudzeniu" (luty 1972, str. 19). Sam podróżuje obecnie uczestnicząc w spotkaniach ruchów odnowy pokrewnych do protestantyzmu, łącznie z protestanckim „wezwaniem ołtarza", któremu tradycyjnie towarzyszą oczyszczające łzy (kwiecień 1972, str. 4). O. Euzebiusz sam z typowym odnowicielskim brakiem skromności donosi nam, że „dziękuje i chwali Boga za rzucenie trochę światła Swojego Ducha na jego duszę w odpowiedzi na nieustanne modlitwy które bez przerwy zasyłał w dzień i w nocy" (luty 1972, str. 19); by później otwarcie ogłosić się za „proroka" (kwiecień 1972, str. 3). Nie wspomina w ogóle o prawosławnych interpretacjach wydarzeń apokaliptycznych, ale wciąż powtarza interpretację fundamentalisty protestanckiego Billego Grahama, że „zachwyt" ma poprzedzać „milenium": „Dzień Sądu Ostatecznego nadchodzi. Jeśli pozostaniemy wierni Chrystusowi z pewnością zostaniemy pochwyceni, aby być z Nim gdy zabrzmi okrzyk radości, i zostaniemy uchronieni od okropnego zniszczenia, które ma spaść na ten świat"53

(kwiecień 1972, str. 22). Do tej pory nawet nie wszyscy fundamentaliści zgadzają się z tym błędem54, który nie ma żadnego uzasadnienia w Piśmie Świętym55 i który tych, którzy go przyjęli pozbawia potrzeby czujności przed zwodzeniem antychrysta, ponieważ według ich wyobrażeń mają być wolni od tego.

To wszystko nawet nie próbuje udawać prawosławia; jest po prostu zwyczajnym protestantyzmem i to nawet nie najlepszym jego rodzajem. Na próżno można przeglądać Logos o. Euzebiusza Stephanou w poszukiwaniu wzmianki mówiącej, że jego „przebudzenie" sprawiły źródła prawosławnych nauk ascetycznych: żywoty świętych, święci Ojcowie, cykl nabożeństw cerkiewnych czy prawosławna interpretacja Pisma Świętego. To prawda, że pewni prawosławni „charyzmatycy" czynią użytek z niektórych z tych źródeł. Lecz niestety! Mieszają je razem z „wieloma innymi książkami napisanymi przez pobożnych chrześcijan zaangażowanych w ruch charyzmatyczny" (Logos, marzec 1972. str. 16), dlatego odczytują je w sposób „charyzmatyczny", podobnie do wszystkich heretyków odczytujących z prawosławnych pism tylko to, czego sami się nauczyli z własnych nowych poglądów, które pochodzą spoza Cerkwi.

Jest rzeczą dostatecznie jasną, mówiąc uczciwie, że przebudzenie prawosławne jest bardzo pożądane w dzisiejszych czasach, kiedy wielu prawosławnych chrześcijan utraciło sól autentycznego chrześcijaństwa, a prawdziwe i żarliwe życie prawosławnych chrześcijan jest rzeczywiście rzadkością. Współczesne życie stało się zbyt wygodne; życie światowe

stało się zbyt atrakcyjne; dla zbyt wielu prawosławnych znaczenie ma wyłącznie przynależność do cerkiewnej organizacji, albo „poprawne" wypełnianie czysto zewnętrznych obrzędów i zwyczajów. Zapewne nadeszła już konieczność prawdziwego duchowego przebudzenia Prawosławia, ale nie w sposób jaki widzimy w „odnowie charyzmatycznej". Podobnie do „charyzmatycznych" aktywistów protestanckich i katolickich, są w pełnej harmonii z duchem czasu; nie są w żywym kontakcie ze źródłami prawosławnej tradycji duchowej, woląc modne obecnie protestanckie techniki ożywiania swoich wiernych. Stanowią jedność z wiodącym nurtem współczesnego odstępczego „chrześcijaństwa" – z nurtem ekumenicznym. Na początku 1978 roku arcybiskup Greckiej archidiecezji Północnej i Południowej Ameryki, Jakub, ostatecznie dał swoje oficjalne przyzwolenie na działalność o. Euzebiusza Stephanou, włącznie ze zgodą na swobodne nauczanie, szczególnie o „darach Ducha Świętego"; tak więc organizacja cerkiewna w swojej najbardziej modernistycznej i ekumenicznej postaci chwyta za rękę „odnowę charyzmatyczną", odzwierciedlając głębokie pokrewieństwo, które je łączy. Jednak prawdziwego chrześcijaństwa tam nie ma.

W przeszłości było kiedyś prawdziwe przebudzenie Prawosławia. Natychmiast przychodzi na myśl św. Kosma z Atolii, który chodził od wioski do wioski w XVIII-wiecznej Grecji i pobudzał ludzi do powrotu do prawdziwego chrześcijaństwa ich przodków, albo św. Jan z Kronsztadu w naszym XX wieku, który przyniósł starodawne przesłanie prawosławnego duchowego życia do zurbanizowanych rzesz miasta Petersburg. Są

również nauczyciele prawosławnego monastycyzmu, którzy prawdziwie wypełnieni byli Duchem Świętym, którzy pozostawili swoją naukę mnichom jak również osobom świeckim żyjącym w ich czasach; tutaj przychodzi na myśl Grek św. Symeon Nowy Teolog z X wieku, i Rosjanin św. Serafin z Sarowa z wieku XIX. Św. Symeon jest ogromnie nadużywany przez prawosławnych „charyzmatyków" (przemawiał w Duchu zupełnie inaczej niż oni!); oraz św. Serafin, który jest niezmiennie cytowany z pominięciem kontekstu, aby zminimalizować jego nacisk kładziony na konieczność przynależności do Cerkwi Prawosławnej kiedy ktoś chce prowadzić życie duchowe. W rozmowie św. Serafina ze świeckim człowiekiem Motowiłowem na temat „zdobywania łask Ducha Świętego" (które prawosławni „charyzmatycy" cytują z pominięciem fragmentów zaznaczonych tutaj kursywą), ten wielki święty mówi nam: „Tę samą ognistą łaskę Ducha Świętego w chwili dawania jej wszystkim wiernym w tajemnicy chrztu świętego, zapieczętowywuje się przez bierzmowanie w głównych miejscach naszego ciała, wskazanych przez Kościół święty, jako wiecznego stróża tej łaski". I znowu: „Bóg tak samo wysłuchuje i mnicha i świeckiego, prostego chrześcijanina, oby tylko obaj byli prawosławni."56

Jako przeciwieństwo autentycznego prawosławnego życia duchowego, „odnowa charyzmatyczna" jest tylko eksperymentalną stroną dominującej „ekumenicznej" mody – fałszerstwa chrześcijaństwa, oznaczającego zdradę Chrystusa i Jego Cerkwi. Bodaj żaden prawosławny „charyzmatyk" nie może sprzeciwić się nadchodzącej „jedności" z tymi samymi protestantami i katolikami, z którymi, jak mówi międzywyznaniowa

„charyzmatyczna” pieśń, już są „jednością w Duchu, jednością w Panu”. Ta „jedność” zebrała ich razem i pobudziła „charyzmatyczne” doświadczenia. „Duch” który inspiruje „odnowę charyzmatyczną” jest duchem antychrysta, albo, jeszcze bardziej dokładnie, „demonów” czasów ostatecznych, czyniących „znaki” przygotowujące świat na przyjście fałszywego mesjasza.

E. „Dzieci, nadeszła już ostatnia godzina” (1 J 2:18)

Nieznany dla zbyt rozgorączkowanych prawosławnych „charyzmatyków” Bóg i Władca zachował w świecie, podobnie jak za czasów proroka Eliasza siedem tysięcy mężczyzn, którzy nie zgięli kolan przed Baalem (Rz 11:4), nieznaną liczbę prawdziwych Chrześcijan prawosławnych, którzy wcale nie są martwi duchowo, jak nazywają ich prawosławni „charyzmatycy” narzekając na swoich współwyznawców, ani też nie głoszą pompatycznie, że są „pełni ducha”, jak ci, którzy poddają się „charyzmatycznym” sugestiom. Nie są niesieni przez odstępczy ruch czy przez fałszywe „przebudzenie”, ale tkwią głęboko zakorzenieni w świętej i zbawczej wierze świętego Prawosławia, w tradycji przekazanej im przez świętych Ojców Cerkwi, obserwując znaki czasu i podążając wąską ścieżką do zbawienia. Wielu z nich podąża za biskupami tych Cerkwi Prawosławnych, które ostro sprzeciwiły się odstępstwu naszych czasów. W innych Cerkwiach jest też niemało zgnębionych niezaprzeczalną apostazją swoich hierarchów, którzy starają się jakoś wytrwać w nienaruszonej ortodoksji; a są wciąż tacy, którzy znajdują się na zewnątrz

Cerkwi Prawosławnej, ale dzięki łasce Bożej mając otwarte serca na Boże wezwania, z całą pewnością będą złączeni z prawdziwym świętym Prawosławiem. Te „siedem tysięcy” są podstawą przyszłej i jedynej Cerkwi Chrystusowej czasów ostatecznych.

A na zewnątrz autentycznego Prawosławia ciemności wciąż się powiększają. Sądząc z najnowszych wydarzeń „religijnych” „odnowa charyzmatyczna” na dobrą sprawę może być tylko nikłym początkiem całego „wieku cudów”. Wielu protestantów, którzy dostrzegli oszustwo „odnowy charyzmatycznej”, teraz akceptuje jako „rzetelną prawdę” spektakularne „przebudzenie” w Indonezji, gdzie, jak słyszymy, naprawdę dzieją się „te same rzeczy, o których czytamy w Dziejach Apostolskich”. W ciągu trzech lat 200 tysięcy pogan nawróciło się na protestantyzm niezmiennie w bardzo cudownych okolicznościach; wszyscy działają tam wyłącznie w absolutnym posłuszeństwie do „głosów” i „aniołów”, które bez przerwy się pojawiają, zazwyczaj cytując Pismo Święte i zawsze podając numer wersetu. Podczas odprawiania protestanckich mszy woda zamieniała się w wino; znikąd pojawiały się same dłonie rozdając żywność głodnym; widziano jak cała banda demonów opuszczała wioskę pogańską, ponieważ ktoś „bardziej potężny” („Jezus”) przyszedł zająć ich miejsce; „chrześcijanie” chcąc nawrócić nieprzejednanego grzesznika podjęli „odliczanie” nad nim i kiedy doszli do zera, grzesznik umarł; dzieci uczą się nowych pieśni protestanckich od głosów płynących znikąd (które powtarzały pieśń dwadzieścia razy aby dzieci mogły zapamiętać); „Boży magnetofon” nagrywał pieśni chóru dziecięcego i odgrywał je później w

powietrzu przed zdumionymi dziećmi; ogień schodził z nieba i trawił katolickie obrazy („Pan” z Indonezji jest bardzo antykatolicki); 30 tysięcy zostało uzdrowionych; „Chrystus” pojawił się na niebie i „spadł” na ludzi aby ich uzdrowić; ludzie są cudownie przenoszeni z miejsca na miejsce i chodzą po wodzie; światło oświetla w nocy drogi głoszącym Dobrą Nowinę, podczas dnia towarzyszą im obłoki dając schronienie; umarli są wskrzeszani57 .

Interesujące jest, że w wielu miejscach indonezyjskiego „przebudzenia” zupełnie nieobecny jest element „mówienia językami”, czasami jest nawet zabroniony (mimo, że w wielu innych miejscach jest obecny), a elementy mediumistyczne wydają się być często zastępowane przez bezpośrednie interwencje upadłych duchów. Może być tak, że to „przebudzenie”, bardziej potężne niż ruch „charyzmatyczny”, jest bardziej rozwiniętym stadium tego samego „duchowego” objawienia (podobnie jak ruch „charyzmatyczny” jest bardziej zaawansowany od spirytyzmu) i zwiastuje nieuchronność owego strasznego dnia nadejścia „Pana”, jak zgodnie głoszą „głosy” i „aniołowie” z Indonezji, gdyż wiemy, że antychryst poprzez takie właśnie „cuda” będzie udowadniał przed światem swoje „mesjaństwo”.

W wieku niemal powszechnej ciemności i demonicznego zwodzenia, kiedy dla większości „chrześcijan” Chrystus stał się tym, co prawosławne nauczanie odnosi ściśle do antychrysta, jedynie Cerkiew Chrystusowa posiada i przekazuje łaskę Boga. Jest to skarb bezcenny, którego istnienia

większość świata „chrześcijańskiego” nawet się nie domyśla. Świat „chrześcijański” natomiast rzeczywiście chwyta za ręce siły ciemności, łącząc się z nimi aby zwodzić wiernych z wielu Kościołów, ślepo ufających, że „imię Jezus” uchroni ich przed odstępstwem i bluźnierstwem, zapominając o budzącym lęk ostrzeżeniu Chrystusa: W owym dniu wielu mi powie: Panie, Panie, czyż w Twoim imieniu nie prorokowaliśmy? I w Twoim imieniu nie wyrzucaliśmy czartów? I w Twoim imieniu nie dokonywaliśmy wielu cudów? Wtedy im powiem: Ja was nigdy nie znałem. Odejdźcie ode Mnie, zło czyniący! (Mt 7:22-23).

Święty Paweł ponawia swoje ostrzeżenie przed nadchodzącym antychrystem dając takie polecenie: Trwajcie więc, bracia, niewzruszenie w nauce, którą otrzymaliście czy przez ustne nauczanie, czy to przez nasz list (2 Tes 2:15). Ale choćbyśmy sami czy nawet anioł z nieba głosił wam coś innego, niż myśmy wam głosili, niech będzie wyklęty! Jak poprzednio stwierdziliśmy, tak i teraz powtarzam: Gdyby wam ktoś głosił Ewangelię inną od tej, którą otrzymaliście, niech będzie wyklęty! (Gal 1:8-9).

Prawosławną odpowiedzią na każdą najnowszą „odnowę”, nawet na tę ostateczną straszną „odnowę” antychrysta, jest Ewangelia Chrystusa, którą jedynie Cerkiew Prawosławna przechowała w niezmienionej postaci w nieprzerwanej sukcesji od Chrystusa i Jego Apostołów, oraz łaska Ducha Świętego, którą jedynie Cerkiew Prawosławna przekazuje tylko wiernym swoim dzieciom, które podczas chrztu otrzymały i zachowały prawdziwą pieczęć darów Ducha Świętego. Amen.

2. Religia Przyszłości

Bardzo znaczącym przejawem duchowego stanu współczesnej ludzkości jest zakorzenienie wśród „chrześcijan” „charyzmatycznych” i „medytacyjnych” praktyk i doświadczeń. Tacy „chrześcijanie” znajdują się pod niezaprzeczalnie wielkim wpływem wschodnich religii, jednak jest to rezultat rzeczy bardziej zasadniczej: utraty poczucia i smaku chrześcijaństwa, co powoduje, że coś tak obcego dla chrześcijaństwa jak wschodnie „medytacje” może zawładnąć duszami „chrześcijan”.

Sposób życia skupiony wokół własnego „ja” i pełen samozadowolenia, według którego żyje większość dzisiejszych „chrześcijan”, jest tak wszechobecny, że skutecznie odcina dostęp do jakiegokolwiek głębszego rozumienia życia duchowego; kiedy tacy ludzie podejmują „życie duchowe” popadają po prostu w inny rodzaj samozadowolenia. Jest to jasno widoczne w kompletnie fałszywych religijnych ideałach ruchów ”charyzmatycznych”, jak też różnych rodzajów „chrześcijańskich medytacji” – wszystkie one obiecują (i bardzo szybko dają) doświadczenie „zadowolenia” i „pokoju”. Jednak zupełnie nie są to dążenia chrześcijańskie, którymi pozostają zawsze zacięta walka i nieustanne zmagania. „Zadowolenie” i „pokój” opisane w tych współczesnych „duchowych” ruchach są zupełnie oczywistymi efektami duchowego zwodzenia, duchowego samozadowolenia, które oznaczają całkowitą śmierć każdego skierowanego do Boga życia duchowego. Te wszystkie

rodzaje „chrześcijańskiej medytacji” działają jedynie na poziomie psychiki i nie mają nic wspólnego z duchowością chrześcijańską. Duchowość chrześcijańska uformowana została w żmudnych zmaganiach o Królestwo Niebieskie, które w pełni rozpocznie się dopiero wraz z rozpadem tego doczesnego świata, i prawdziwy chrześcijański bojownik nigdy nie znajduje spoczynku, nawet w przedsmaku wiecznego błogosławieństwa, które może mu zostać objawione podczas jego życia; natomiast religie wschodnie, którym nie objawiono istnienia Królestwa Niebieskiego, próbują jedynie osiągnąć stany psychiczne mające początek i koniec w tym życiu.

W naszym wieku odstępstwa poprzedzającym nadejście antychrysta diabeł został uwolniony (Ap 20:7) aby omamiać narody fałszywymi cudami, których nie mógł dokonywać podczas „tysiąca lat” trwania łaski w Cerkwi Chrystusa (Ap 20:3), aby zgromadzić w swoich piekielnych żniwach te dusze, które nie umiłowały prawdy (2 Tes 2:10). Można stwierdzić, że czasy antychrysta są bardzo bliskie, co potwierdza fakt, że te szatańskie żniwa dokonują się nie tylko wśród pogan, którzy nie słyszeli o Chrystusie, ale bardziej nawet pośród „chrześcijan”, którzy zagubili istotę chrześcijaństwa. Do natury samego antychrysta należy ukazywanie królestwa diabła tak, jakby było ono Chrystusa. Obecny ruch „charyzmatyczny” i „chrześcijańskie medytacje” wraz z całą „nową religijną świadomością” do której przynależą, są zapowiedzią religii przyszłości, religii końca wieków, religii antychrysta, a ich główne „duchowe” zadanie to umożliwienie chrześcijanom przejścia demonicznej

inicjacji, ograniczonej do tej pory wyłącznie do świata pogańskiego. Bardzo możliwe, że te „religijne eksperymenty” są wciąż jeszcze bardzo niepewne i niewyraźne, że jest w nich przynajmniej tyle samooszukiwania ile w typowych demonicznych obrzędach inicjacyjnych; niewątpliwie nie wszyscy, którzy z powodzeniem „medytowali” lub sądzą, że otrzymali „chrzest Ducha”, faktycznie przeszli inicjację do królestwa szatana. Jednak jest to celem tych ”eksperymentów”. Bez wątpienia techniki inicjacji staną się coraz bardziej skuteczne, jak tylko ludzkość zostanie przygotowana na nie poprzez przyjęcie postawy bierności i otwartości na nowe „religijne eksperymenty”, które są wszczepione do tych ruchów.

Co doprowadziło ludzkość, łącznie nawet z „chrześcijaństwem”, do tego rozpaczliwego stanu? Z pewnością nie jakiś jawny kult szatana, który zawsze jest ograniczony do niewielu ludzi; jest to raczej coś dużo bardziej subtelnego, coś przerażającego dla myślącego świadomego prawosławnego chrześcijanina – jest to utrata Bożej łaski, która następuje po zaniku samej istoty chrześcijaństwa.

Prawdę mówiąc utrata Bożej łaski na Zachodzie nastąpiła wiele wieków temu. Dzisiejsi katolicy i protestanci zupełnie nie zasmakowali pełni Bożej łaski, nic dziwnego więc, że są niezdolni do dostrzeżenia demonicznego zafałszowania ich wiary. Lecz niestety! To duchowe fałszerstwo rozszerza się teraz nawet między prawosławnymi chrześcijanami, co pokazuje jak bardzo również i oni utracili smak chrześcijaństwa tak, że już dłużej nie potrafią rozróżnić prawdziwego

chrześcijaństwa od pseudochrześcijaństwa. Zbyt długo prawosławni uważali cenny skarb swojej wiary za rzecz naturalną i zaniedbywali stosowanie w życiu czystego złota nauki Cerkwi. Jak wielu prawosławnych chrześcijan zdaje sobie sprawę z istnienia podstawowych tekstów dotyczących prawosławnego życia duchowego, które szczegółowo uczą jak odróżnić prawdziwą duchowość od fałszywej, teksty opowiadające o życiu i naukach świętych mężczyzn i kobiet, którzy osiągnęli obfitą i utrzęsioną miarę łaski Bożej w swoim życiu? Jak wielu uczyniło swoim nauczanie Opowiadań dla Lausosa, Drabiny św. Jana, Homilii św. Makarego, żywotów Bogonośnych Ojców Pustyni, Niewidzialnej walki, św. Jana Kronsztadzkiego Mojego życia w Chrystusie?

W żywocie wielkiego Ojca pustyni egipskiej, św. Paisjusza Wielkiego (19 czerwca) zobaczymy szokujący przykład jak łatwo można utracić Bożą łaskę. Pewnego razu jego uczeń szedł do miasta w Egipcie, aby sprzedać rękodzieło. Po drodze spotkał pewnego żyda, który widząc jego prostotę zaczął go zwodzić, mówiąc: „O mój kochany, czemu wierzysz w zwykłego, ukrzyżowanego Człowieka, gdy na pewno nie był On oczekiwanym Mesjaszem? Inny ma przyjść, ale nie On”. Uczeń, będąc słaby intelektualnie i pełen prostoty w sercu zaczął słuchać tych słów i pozwolił sobie na stwierdzenie: „Może to, co mówisz, jest prawdziwe”. Kiedy wrócił na pustynię, św. Paisjusz odwrócił się od niego i nie przemówił do niego ani słowem. Ostatecznie, po usilnych i długich błaganiach ucznia, święty przemówił do niego: „Kim jesteś? Nie znam cię. Mój uczeń był chrześcijaninem i posiadał łaskę Chrztu, ale ty nie jesteś kimś takim; jeśli

rzeczywiście jesteś moim uczniem, w takim razie łaska Chrztu opuściła cię i obraz Boży został usunięty". Uczeń ze łzami opowiedział swoją rozmowę z żydem, na co święty odparł: „Nieszczęsny człowiecze! Cóż może być gorszego i bardziej plugawego od takich słów, z powodu których wyrzekłeś się Chrystusa i Jego Boskiego Chrztu? Idź teraz i płacz nad sobą jeśli chcesz, bo nie masz już miejsca przy mnie; twoje imię zapisano razem z tymi, którzy wyrzekli się Chrystusa i razem z nimi pójdziesz na sąd i męczarnie". Słysząc taki osąd uczeń poczuł wielką skruchę i wobec jego błagań święty zamilkł i modlił się do Boga, aby wybaczył ten grzech uczniowi. Bóg usłyszał modlitwę świętego i dał mu znak Swojego przebaczenia. Wtedy święty ostrzegł ucznia: „O dziecko, oddaj razem ze mną chwałę i dziękczynienie Chrystusowi Bogu, gdyż nieczysty, bluźnierczy duch odstąpił od ciebie, i zamiast niego zszedł na ciebie Duch Święty, przywracając ci łaskę Chrztu. Tak więc strzeż się teraz, żebyś nie był opieszały i niedbały, bo sieć przeciwnika znowu spadnie na ciebie, a zgrzeszywszy, odziedziczysz ogniu gehenny".

Znaczące jest, że te „charyzmatyczne" i „medytacyjne" ruchy zapuściły korzenie właśnie pomiędzy „chrześcijanami ekumenicznymi". Charakterystycznym elementem herezji ekumenizmu jest przekonanie, że Cerkiew Prawosławna nie jest jedyną prawdziwą Cerkwią Chrystusa; że łaska Boża jest obecna również w innych wyznaniach „chrześcijańskich", a nawet w religiach niechrześcijańskich; że wąska ścieżka zbawienia zgodnie z nauczaniem św. Ojców Cerkwi jest jedynie „jedną ścieżką z wielu" wiodących do zbawienia; i że szczegóły dotyczące czyjejś wiary w

Chrystusa nie mają większego znaczenia, tak jak czyjaś przynależność do jakiegoś poszczególnego Kościoła. Nie wszyscy prawosławni uczestnicy ruchu ekumenicznego całkowicie w to wierzą (mimo że protestanci i katolicy zazwyczaj tak), ale przez sam swój udział w tym ruchu, włącznie ze wspólnymi modlitwami z tymi, których wiara w Chrystusa i Jego Cerkiew jest błędna, mówią heretykom patrzącym na nich: „Może to, co mówicie, jest prawdziwe", tak samo jak ów nieszczęsny uczeń św. Paisjusza. Nic więcej ponad to nie jest potrzebne dla prawosławnego chrześcijanina aby utracić łaskę Boga; a ile trudu kosztuje odzyskanie jej z powrotem!

W takim razie w jakiej wielkiej bojaźni Bożej i drżeniu muszą postępować prawosławni chrześcijanie aby nie utracić Bożej łaski, która z całą pewnością nie jest dana każdemu, ale prowadzi do nieba wyłącznie tych, którzy trzymają się prawdziwej wiary, prowadzą życie pełne chrześcijańskich uczynków i pieczołowicie pielęgnują łaskę Bożą. Przede wszystkim dzisiaj prawosławni chrześcijanie muszą postępować o wiele bardziej uważnie, gdyż są otoczeni przez fałszywych chrześcijan, którzy ofiarowują swoje własne doświadczenia „łaski" oraz „Ducha Świętego" i mogą obficie cytować Pismo Święte i świętych Ojców, aby to „udowodnić"! Na pewno są już blisko czasy ostateczne, kiedy duchowe zwodzenie będzie tak przekonujące, aby zwieść, jeśli to możliwe, nawet wybranych (Mt 24:24).

Fałszywi prorocy współczesnego wieku, łącznie z tymi, którzy oficjalnie są „prawosławni”, coraz głośniej ogłaszają nadchodzący adwent „nowej ery Ducha Świętego”, „nowe zesłanie Ducha Świętego”, „punkt Omega”. Jest to dokładnie to, co w autentycznych prawosławnych proroctwach nazywane jest panowaniem antychrysta. Właśnie w naszych czasach, dzisiaj, te przepowiednie dotyczące szatana zaczynają się wypełniać, przez działanie potęgi demonów. Cała współczesna duchowa atmosfera staje się obciążona potęgą demonicznych doświadczeń inicjacyjnych, i jako „tajemnica nieprawości” rozpoczyna przedostatni akt i zaczyna brać w posiadanie ludzkie dusze – aby w rzeczywistości zagarnąć w posiadanie samą Cerkiew Chrystusa, jeśli będzie to możliwe.

Przeciwko tym potężnym „religijnym doświadczeniom” prawdziwi prawosławni chrześcijanie muszą uzbroić się w powagę, stając się w pełni świadomi czym jest prawosławne chrześcijaństwo i jak bardzo jego cel różni się od celu wszystkich innych religii, czy to „chrześcijańskich”, czy niechrześcijańskich.

Prawosławni chrześcijanie! Mocno trzymajcie się łaski którą posiadacie; nigdy nie pozwólcie aby stała się ona tylko kwestią przyzwyczajenia; nigdy nie mierzcie jej jedynie przy pomocy ludzkich miar i nie oczekujcie, że będzie logiczna czy zrozumiała dla tych, którzy nie rozumieją niczego więcej oprócz spraw czysto ludzkich lub którzy sądzą, że otrzymali Ducha Świętego w jakiś inny sposób niż ten, w jaki Cerkiew Prawosławna Go przekazuje. Prawdziwe Prawosławie przez swoją naturę

musi być postrzegane jako zupełnie nie na miejscu w tych demonicznych czasach, gdyż jest to malejąca mniejszość wzgardzonych i „głupich" pośród religijnego „przebudzenia" zainspirowanego przez całkiem inny rodzaj ducha. Ale czerpmy pociechę z pewnych słów naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa: Nie bój się, mała trzódko, bo spodobało się Ojcu waszemu dać wam królestwo (Łk 12:32).

Niech wszyscy prawosławni chrześcijanie umocnią się przed czekającą nas bitwą, nigdy nie zapominając, że w Chrystusie zwycięstwo należy już do nas. On obiecał, że bramy piekielne nie przemogą Jego Cerkwi (Mt 16:18) i że z powodu wybranych skróci On dni ostatniego wielkiego ucisku (Mt 24:22). Zaprawdę: Jeśli sam Bóg stoi za nami, to któż przeciw nam? (Rz 8:31). Nawet pośród najokrutniejszych pokus słyszymy wezwanie: ufajcie, Jam zwyciężył świat (J 16:33). Żyjmy tak, jak żyli prawdziwi chrześcijanie wszystkich epok, w oczekiwaniu końca wszystkich rzeczy i przyjścia naszego umiłowanego Zbawcy; ponieważ mówi Ten, który o tym świadczy: Zaiste, przyjdę niebawem. Amen. Przyjdź Panie Jezu! (Ap 22:20).

Epilog - Jonestown i lata 80.

Celowo nie umieszczono w tej książce żadnej przesady. Zamierzeniem naszym było przedstawić tak jak tylko można dokładnie, obiektywny pogląd na działalność religii niechrześcijańskich, które przygotowują drogę dla „religii przyszłości". Nie przedstawiliśmy też żadnych „przerażających historii", które mogłyby zostać umieszczone w związku z kilkoma kultami wspomnianymi w tej książce: prawdziwych historii pokazujących co się może stać, kiedy zaangażowanie w niewidzialne demoniczne siły staje się pełne, a człowiek staje się chętnym narzędziem ich złych celów.

Ale w przededniu publikacji nowego wydania tej książki nagle cały świat obiegła wiadomość o jednej z tych „przerażających historii": o zbiorowym samobójstwie Jima Jonesa wraz z 900 jego wyznawcami w komunie „Jonestown" o ideologii marksistowskiej w dżungli Gujany w Ameryce Południowej.

Żaden bardziej znaczący „znak czasów" nie mógłby się wydarzyć; Jonestown jest jasnym ostrzeżeniem – i proroctwem – dotyczącym przyszłości ludzkości.

Prasa świecka, co jest zrozumiałe, zupełnie nie wiedziała co zrobić z tym potwornym wydarzeniem. Wiele gazet zagranicznych traktowało to jedynie jako następny przykład amerykańskiej przemocy i ekstremizmu; prasa amerykańska przedstawiała Jima Jonesa jako „szaleńca", a samo

wydarzenie jako skutek złego wpływu „kultów religijnych”; bardziej uczciwi i wrażliwi dziennikarze przyznają, że rozmiar i groteskowość całego zjawiska wprawia ich w zdumienie.

Kilku obserwatorów widzi w Jonestown prawdziwy znak naszych czasów, objawienie stanu współczesnej ludzkości; i wiele przemawia za tym, że jest tak w rzeczywistości.

Sam Jim Jones był niezaprzeczalnie bardzo blisko głównego nurtu dzisiejszego religijno-politycznego świata. Jego religijny wizerunek „proroka” i „uzdrawiacza” zafascynował i zdominował pewien rodzaj niespokojnych, „poszukujących” młodych ludzi (głównie z niższych klas murzyńskich dzielnic miast amerykańskich), co dało mu poczesne miejsce w amerykańskim spektrum religijnym i był on dużo łatwiej przyjmowany w naszych coraz bardziej tolerancyjnych czasach niż bohater poprzedniego pokolenia „Boski Ojciec”58 . Jego nieprzeliczone „dobre uczynki” i nieoczekiwane wspaniałomyślne dary dla potrzebujących uczyniły z niego głównego przedstawiciela „liberalnego” chrześcijaństwa i zwróciły uwagę liberalnych polityków z Kalifornii, gdzie jego wpływy rosły z roku na rok. Do jego osobistych wielbicieli zaliczał się burmistrz San Francisco, gubernator Kalifornii oraz żona prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jego polityczna ideologia marksistowska i komuna w Gujanie umieszczały go w awangardzie szanowanych polityków; zastępca gubernatora Kalifornii osobiście odwiedził Jonestown i bardzo przychylnie oceniał to miejsce, podobnie do innych obserwatorów z zewnątrz. Owszem, pojawiały się też

zastrzeżenia do Jonesa zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, dotyczące jego nierzadkiej tyranii i przemocy w stosunku do swoich wyznawców, jednak nawet ten aspekt Jonestown mieścił się w granicach wyznaczonych przez liberalny Zachód dla współczesnych rządów komunistycznych, które nie napotykały wielkiej nieprzychylności nawet po zlikwidowaniu wielu setek, tysięcy, czy nawet milionów niepokornych obywateli.

Jonestown było dogłębnie „współczesne", było całkowicie nowoczesnym eksperymentem; ale jakie znaczenie miał jego tak dramatyczny koniec?

Współczesnym zjawiskiem, które byłoby może najbliższe w duchu do tragedii Jonestown jest coś, co na pierwszy rzut oka całkiem nie wiąże się z nim: zdecydowana i brutalna likwidacja w imię świetlanej przyszłości ludzkości około dwóch milionów niewinnych ludzi, ponad jednej czwartej część ludności Kambodży, przez komunistyczny rząd tego kraju. To „rewolucyjne ludobójstwo", być może najbardziej okrutny i bezwzględny przypadek w całym krwawym XX wieku, jest dokładnym odpowiednikiem „rewolucyjnego samobójstwa59 " w Jonestown: w obydwu przypadkach groza masowej śmierci usprawiedliwiona jest wytyczaniem drogi do wspaniałej przyszłości obiecanej przez komunizm dla „oczyszczonej" ludzkości. Te dwa wydarzenia charakteryzują nowy etap w historii „Archipelagu Gułag" – łańcucha nieludzkich obozów koncentracyjnych, utworzonych przez ateizm po to, by przekształcić ludzkość i obalić chrześcijaństwo.

W Jonestown jeszcze raz sprawdziła się niewiarygodnie dokładna diagnoza myśli rewolucyjnej dana w XIX wieku przez Dostojewskiego: kluczową postacią w powieści Biesy jest Kiryłow, który wierzy, że ostatecznym aktem dowodzącym że stał się Bogiem, jest właśnie samobójstwo. Oczywiście ludzie „normalni" nie mogą zrozumieć tej logiki; ale historię rzadko tworzą „normalni" ludzie, a wiek XX jest par excellence wiekiem triumfu „logiki rewolucyjnej" która realizowana jest przez ludzi, którzy stali się całkowicie „nowocześni" i świadomie wyrzekli się dawnych wartości, zwłaszcza prawdy chrześcijaństwa. Dla wierzących w tą „logikę" samobójstwa w Jonestown są wielkim rewolucyjnym dziełem, które „dowodzi" że Boga nie ma, i wskazuje na bliskość światowego totalitarnego rządu, którego „prorokiem" chciał zostać Jones. Jedyny żal z powodu tego czynu odczuwany przez „rewolucyjne umysły" wyrażony został przez jednego z mieszkańców Jonestown, którego ostatnie zapiski znalezione zostały na ciele Jonesa: „Tato: nie widzę żadnego wyjścia – zgadzam się z twoją decyzją – boję się tylko, że bez ciebie świat nie dojdzie do komunizmu60". Wszystkie aktywa komuny w Jonestown (około 7 milionów dolarów) zostały zapisane Partii Komunistycznej ZSRR (The New York Times, 18 grudnia 1978, str. 1).

Jonestown to nie był jakiś niespotykany wybryk „szaleńca"; Jonestown jest bardzo blisko każdego z nas żyjącego w obecnych czasach. Pewien dziennikarz rozumiał to pisząc o Jonesie (którego osobiście poznał w San Francisco): „Jego prawie religijna i zdecydowanie mistyczna siła, dobrze

skrywająca swoje zło, musiała w jakiś sposób być uważana za klucz do zagadki, którą są lata 70. (Herb Caen w The Suicide Cult, str. 192).

Źródła tej „mistycznej siły” nie trzeba szukać daleko. Religia „Świątyni Ludu” nie była w najmniejszym stopniu chrześcijańska (mimo że Jim Jones, założyciel, był wyświęconym duchownym sekty „Uczniów Chrystusa”); wywodzi się ona z doświadczeń duchowych Jonesa z lat 50, kiedy formowany był jego światopogląd. Jones głosił bez żenady, że jest „reinkarnacją” Jezusa, Buddy i Lenina; otwarcie przyznawał, że był „wyrocznią czy też medium dla bezcielesnych istot z innej galaktyki61”. Innymi słowy oddał się mocy złych duchów, które bez wątpienia inspirowały jego ostateczny akt „logicznego” szaleństwa. Jonestown nie może być zrozumiane z pominięciem inspiracji i działania demonów; właśnie dlatego świeccy dziennikarze nie mogą tego pojąć.

Jest bardzo prawdopodobne, że Jonestown jest tylko początkiem daleko gorszych rzeczy, które nadejdą w latach osiemdziesiątych – rzeczy o których ośmielają się pomyśleć tylko chrześcijanie o najgłębszej i najczystszej wierze. Nie znaczy to, że politycy stają się „religijni” (bo masakry w Kambodży były zbrodniami dokonanymi z „religijną” – to znaczy, demoniczną – gorliwością), ani że religia się „upolitycznia” (jak w przypadku Jonestown); takie rzeczy zdarzały się w przeszłości. Ale może być tak, że obecnie zaczynamy dostrzegać w konkretnych wydarzeniach historycznych szczególne pomieszanie polityki i religii, co wydaje się być odpowiednim żywiołem dla zwolenników antychrysta, polityczno-

religijnego lidera ludzkości czasów ostatnich. Wydaje się, że w pewnym stopniu ten duch już się objawił we wcześniejszych reżimach totalitarnych XX wieku; ale intensywność zapału i oddania potrzebnego do popełnienia masowego samobójstwa (jako przeciwieństwo do masowych morderstw, których dokonywano wielokrotnie w tym wieku) czyni z Jonestown kamień milowy na drodze do zbliżającego się końca czasów.

Wkrótce zobaczymy, że szatan jawnie wkracza do historii człowieka. Lata przed nami zapowiadają się straszniejsze niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Ten jeden wybuch mocy szatańskiej doprowadził niemal tysiąc ludzi do rewolucyjnego samobójstwa, a co z innymi enklawami szatańskiej mocy, dużo bardziej potężnymi niż ten mały ruch, który jeszcze nie zdążył się dobrze rozwinąć?

Realistyczny pogląd na stan religijny współczesnego świata wystarcza aby natchnąć każdego poważnego prawosławnego chrześcijanina wielkim lękiem i drżeniem o swoje własne zbawienie. Pokusy i próby przed nami są ogromne: Bo nastanie wtedy udręka tak wielka, jakiej od początku świata aż do dziś nie było i nie będzie (Mt 24:21). Wiele z tych prób nadejdzie od strony cielesnych pokus, od strony „znaków i cudów", które zaczynamy dostrzegać nawet dzisiaj; inne przyjdą od zawziętych i dzikich diabłów, których dzieła już widać w Jonestown, w Kambodży i w archipelagu Gułag. Ci, którzy pragną pozostać prawdziwymi chrześcijanami w tych przerażających czasach powinni zacząć poważnie traktować swoją wiarę,

ucząc się prawdziwego chrześcijaństwa, ucząc się modlić do Boga w Duchu i prawdzie, ucząc się kim jest Chrystus, w którym jedynie jest zbawienie.

Epilog do czwartego wydania - Znaki religii przyszłości w latach 90.

Piętnaście lat po pierwszym ukazaniu się tej książki jeden z czytelników powiedział nam: „Kilka lat temu kiedy czytałem tę książkę wydała mi się bardzo odległa. Myślałem: To są tylko jakieś marginalne ruchy, które opisuje o. Seraphim – takie rzeczy nie mogą zawładnąć światem. Jednak teraz jest rok 1990, i widzę te rzeczy inaczej. Wszystko, co o. Seraphim twierdził, jest prawdą".

Każdy obserwator współczesnego świata widzi, że formowanie się „nowej świadomości" rozwija się dokładnie według planu opisanego przez o. Seraphima. Kiedy o. Seraphim pisał tę książkę, kulty neopogańskie w zachodnim społeczeństwie dopiero zaczynały się rysować. Dzisiaj nabrały już dużo bardziej zdecydowanych kształtów. Podczas gdy wschodnie religie o których pisał o. Seraphim wciąż przyciągają nowych wyznawców, widzimy obecnie równe lub może nawet większe zainteresowanie zachodnimi formami pogaństwa. Magia druidów, czarnoksięstwo, Wicca, oddawanie czci boginiom, kult Gai (ziemi) oraz rdzenny szamanizm amerykański zdobywają ogromną popularność wśród ludzi Zachodu, którzy uważają je za bliższe swoim korzeniom od religii wschodnich. Podczas gdy wielu ludzi para się intelektualnie tym współczesnym odrodzeniem starożytnego pogaństwa, powiększająca się liczba ludzi rozpoczyna jego praktykę biorąc udział w „pogańskich doświadczeniach

inicjacyjnych", o których o. Seraphim pisał, że będą one charakteryzować religię przyszłości.

1. New Age

Kiedy książka Prawosławie a religia przyszłości pierwszy raz się ukazała, termin „New Age" mimo że dobrze znany w kręgach masońskich i ezoterycznych, nie pojawił się jeszcze w mowie potocznej. Dzisiaj stał się sztandarem dla światowego ruchu – i przemysłu obracającego miliardami dolarów.

Dobrze widoczny zewnętrzny blask tego ruchu może ostatecznie mieć jednak tylko ograniczony powab. Dużo bardziej znaczącym jest fakt, że idee New Age, promujące światopogląd „nowej religijnej świadomości", coraz bardziej wdzierają się do wielu sfer ludzkiej myśli i działalności. Tak więc „New Age" coraz mniej jest zorganizowanym ruchem, a raczej wszędzie się wdziera i wszystko zatruwa: psychologię, socjologię, historię, sztukę, religię, edukację, politykę. Szpitale psychiatryczne w całym kraju wprowadzają programy New Age: wschodnie medytacje, psychologię transpersonalną, ćwiczenia kontroli umysłu czy muzykę relaksacyjną. Wielkie korporacje jak General Motors czy AT&T, organizują dla swoich pracowników kursy „myślenia New Age", gdzie uczą się oni wizualizacji, hipnozy i „uzdrawiania" razem z innymi psychotechnologiami. Nawet w publicznych, prowadzonych przez państwo szkołach pod nazwą „kanałowania" uczy się mediumizmu jako sposobu na osiągnięcie

wewnętrznej harmonii i zdrowia. Przerażeni rodzice z Connecticut opisują co dzieje się w szkolnej klasie: „W imię odkrywania swoich ‘celów życiowych’ dzieci są zachęcane do wejścia w stan umysłu podobny do transu, gdzie mają kontaktować się z ‘duchami przewodnikami’. Używanie ćwiczeń Jogi oraz technik kontrolowania umysłu jest innym przykładem elementów tego programu62 ”.

Niestety Kościoły chrześcijańskie podążają za tymi niebezpiecznymi trendami, ciągnąc śladem wydeptanym w prochu światowego marszu do apostazji. W połowie lat 70. o. Seraphim napisał: „Głęboka nieznajomość w naszych czasach prawdziwych chrześcijańskich duchowych doświadczeń wytwarza fałszywą chrześcijańską ‘duchowość’, której natura bardzo pokrewna jest ‘nowej religijnej świadomości’”. Lata przed „kanałowaniem” bezcielesnych istot, co stało się obowiązującą modą New Age, o. Seraphim przytaczał słowa „charyzmatyków” o ich „kanałowaniu” „Ducha Świętego”. Nawet jeśli ominiemy całe zjawisko „odnowy charyzmatycznej”, prognozy, które formułował, sprawdziły się w innych obszarach. Jak pisała popularyzatorka New Age Marylin Ferguson w książce The Aquarian Conspiracy (Sprzysiężenie Wodnika): „Coraz większa liczba kościołów i synagog zaczęła zmieniać swoje podejście i wspiera grupy zajmujące się rozwojem osobistym, centra zdrowia holistycznego, organizuje uzdrawiające nabożeństwa, warsztaty medytacyjne, kształtowanie umysłu przez muzykę, nawet treningi kontroli umysłu63 ”. Na przykład w Detroit kursy „kontroli umysłu Silvy” prowadzone były przez księdza i zakonnicę katolicką. W Bloomfield Hills w stanie Michigan

Kościół Episkopalny sponsorował centrum zdrowia holistycznego. W mieście Nowy Jork w katedrze Kościoła Episkopalnego św. Jana Chrzciciela ważnym wydarzeniem były homilie głoszone przez Davida Spanglera, wiodącego członka Findhorn Foundation, który stwierdził, że „inicjacja Lucyferiańska" będzie niezbędna do wejścia w New Age. W Oakland w stanie Kalifornia „Institute for Creation-Centered Spirituality" (Instytut Twórczej Duchowości), założony przez księdza katolickiego, zalecał odnowione „chrześcijaństwo", które odrzuca chrześcijańską naukę ascetyczną. W Seattle w stanie Waszyngton pastor senior Pierwszego Kościoła Baptystów (który również jest pastorem seniorem Amerykańskiego Stowarzyszenia Baptystów) wygłosił kazanie o tym, że Jezus Chrystus był tylko zwykłym człowiekiem, który zrealizował swoją boskość, i że każdy może uczynić to samo – między innymi poprzez Jogę Kundalini. W księgarniach chrześcijańskich w całej Ameryce można znaleźć książki zawierające praktycznie każdą tezę ruchu New Age – od pozytywnego myślenia do wsparcia „Nowego Ładu Światowego" („New World Order"). Pewna książka wydana przy współudziale Międzyuczelnianego Stowarzyszenia Chrześcijańskiego oraz Paulist Press twierdzi, że grzechem jest dla chrześcijan nie wspieranie idei „Nowego Porządku Ekonomicznego" i „Nowego Ładu Światowego".

W głównym nurcie Kościołów Protestanckich (zwłaszcza u Metodystów i Prezbiterian) istnieją silne i ustalone tendencje, aby włączyć do praktyk religijnych kult bogini Sofii; na konferencji pastorów i kierowników tych Kościołów taka adoracja miała miejsce.

Jednocześnie we współczesnym katolicyzmie istnieje ruch przyswajający naukę Carla Junga, jednego z ojców założycieli New Age. Jung, który brał udział w seansach spirytystycznych i przyznawał się do posiadania „duchów przewodników", nauczał że wyłączenie „ciemnej strony" jest fatalną słabością naszej religii, i że dlatego trzeba dodać czwartą hipostazę do Świętej Trójcy – Lucyfera! Jego teorie są teraz wychwalane przez katolickich „teologów" w tak popularnych książkach jak o. Johna Dourdleya The Illness That We Are (Choroba istnienia), a jego psychoterapia stosowana jest w wielu parafiach katolickich, również przez zakonników i zakonnice w wielu klasztorach64. Kościoły Episkopalne i Protestanckie (zwłaszcza Metodyści) również weszły do tego nurtu: coraz większa liczba protestanckich duchownych równocześnie pracuje jako jungowscy terapeuci65.

2. Błogosławieństwo w Toronto

Obserwacje o. Seraphima dotyczące kręgu doświadczeń charyzmatycznych najbardziej uderzająco potwierdziły się w dzisiejszych „ruchach wspólnego śmiechu". Na temat „śmiechu w Duchu Świętym" o. Seraphim napisał: „Widzimy na tym przykładzie chyba najwyraźniej, że 'odnowa charyzmatyczna' jest ruchem w swoim religijnym wymiarze kompletnie niechrześcijańskim". Właśnie ten charyzmatyczny fenomen najbardziej rozwinął się w ostatnich kilku latach.

W 1994 roku w Kościele Winnicy w porcie lotniczym w Toronto wydarzyło się coś, co pojawiło się w centrum zainteresowania opinii publicznej, zdobywając uwagę światowych mediów. Wydarzenie to reklamowane było jako największa atrakcja turystyczna roku 1994, było nim tak zwane błogosławieństwo w Toronto, w którym wezwano Ducha Świętego, aby napełnił tłumy ludzi niepohamowanym śmiechem. Mężczyźni i kobiety nie tylko zwalali się z nóg na podłogę w salwach śmiechu, ale również widziano ludzi czołgających się po ziemi i szczekających jak psy, drapiących ziemię i parskających jak byki, warczących i wydobywających inne zwierzęce odgłosy – zachowanie, które nawet dzisiaj w krajach prawosławnych uważane jest za znak demonicznego opętania66 .

Od tej pory 300 tysięcy chrześcijan z całego świata zapaliło się do tej formy wspólnego śmiechu. Z tego 15 tysięcy to duchowieństwo chrześcijańskie, które później wprowadziło ten ruch do swoich Kościołów na całym świecie. W samej Anglii 7 tysięcy kościołów, łącznie z należącymi do Kościoła Anglikańskiego, wzięło udział w błogosławieństwie z Toronto. Ruch ten coraz bardziej wdziera się do głównego nurtu chrześcijaństwa, i postrzegany jest jako najnowszy, najbardziej ekscytujący przejaw działania Ducha Świętego. W lipcu 1995 roku 700 klubów Pata Robertsona zrzeszających Zielonoświątkowców oraz kilku protestanckich i katolickich naukowców charyzmatycznych broniło zwierzęcych odgłosów traktując je jako przejawy Ducha Świętego czy też ludzką odpowiedź na działanie Ducha Świętego.

3. UFO we współczesnej świadomości

Na polu rozwijającej się ufomanii wnioski o. Seraphima również zostały potwierdzone przez najnowsze odkrycia. Obecnie zwiększa się świadomość, nie tylko naukowa, ale także na poziomie popularnym, że fenomen UFO nie jest sprawą istot z innych planet z kosmosu, ale że jest czymś dotyczącym świata psychicznego i okultyzmu, że „istoty z kosmosu" w jakiś sposób zamieszkują ziemię razem z nami. Także wizerunek wylansowany przez reżysera Stevena Spielberga w filmie Bliskie spotkania oraz E.T. – życzliwych, a nawet „milusińskich" przybyszów z kosmosu, jest teraz zastępowany przez wizerunek bliższy prawdy. Poznając doświadczenia opisane przez Whitleya Streibera w jego książce Communion (Wspólnota) opinia publiczna zobaczyła, że ci tak zwani „goście" są w rzeczywistości okrutnymi, złośliwymi istotami siejącymi psychiczne spustoszenie w ludziach, którzy się z nimi kontaktują (ten aspekt zjawiska UFO potwierdza także dowody zgromadzone przez pewnych naukowców, jak Valee i Hynek). „Poczułem nieopisane poczucie zagrożenia, – pisze Streiber – przebywanie tam było piekłem na ziemi, a w dodatku nie mogłem się poruszyć, nie mogłem zawołać, nie mogłem uciec. Leżałem cicho jak trup, cierpiąc wewnętrzne męczarnie. Cokolwiek tam się pojawiało było brzydkie i potworne, plugawe, ciemne i złowrogie..." Streiber opisuje także osobliwe wonie związane z tymi „gośćmi" – między innymi smród „podobny do siarki", często wspominany w starożytnych Żywotach Świętych, mówiących o spotkaniach z demonami. Może

najsmutniejszym „znakiem czasu” w naszym postchrześcijańskim wieku jest fakt, że wielka ilość duchowo zubożałych ludzi woli wejść w kontakt z tymi potwornymi i bezlitosnymi „gośćmi” niż pozostać samotnymi w czymś, co wydaje się im bezosobowym kosmosem. Jak stwierdza nowe czasopismo The Communion Letter: „Ludzie na całym świecie napotykają na dziwne istoty w swoich domach, nawet na ulicach... krocząc drogami nocnych marzeń”. Pismo prosi ludzi aby „nauczyli się odpowiadać zrozumiale i skutecznie tym gościom, gdy się pojawiają w ich życiu. Odkryć tajemnicę, cud i piękno tego przeżycia... rzeczy, których zwykłe media nie przekażą... przedziwne i cudowne prawdy, które wydobywają się z ciemności”.

W obliczu tego wszystkiego wierny chrześcijanin nie może wątpić w słowa o. Seraphima o tym, że rzeczywiście „szatan jawnie wkracza do historii człowieka”.

4. Plan New Age

Jest rzeczą interesującą, że rok 1975, rok w którym ta książka powstała, był sztandarowym rokiem „nowej religijne świadomości”. Właśnie wtedy zmarła okultystka Alice Bailey, jedna z głównych budowniczych obecnego ruchu New Age i zaprzysięgły wróg prawosławnego chrześcijaństwa, dała swoim uczniom zezwolenie na publiczne rozpowszechnienie dotychczas tajnej nauki „New Age” przy pomocy wszystkich dostępnych mediów. W

tym roku David Spangler i mnóstwo innych propagatorów i organizacji „New Age” zaczęło swoją publiczną działalność.

Cele „New Age” są dobrze nakreślone z wyprzedzeniem w pismach Heleny Bławatskiej (założycielki Towarzystwa Teozoficznego, które nazywało szatana „prawdziwym stworzycielem i dobroczyńcą... ludzkości”), Alice Bailey, Nicholasa Roericha (autora pism Agni Jogi) oraz H. G. Wellsa. Dzisiaj pewne kręgi New Age mówią o „Planie” dla „Nowego Ładu Światowego”, na który składałby się światowy system kart kredytowych, światowe podatki i międzynarodowe władze, które kontrolowałyby światową produkcję żywności oraz system transportu. Wśród ezoterycznych stowarzyszeń kręgu New Age mówi się obecnie, że musimy przejść przez masową „planetarną inicjację” aby zrealizować „Plan”. Według Beniamina Creme, sukcesora pionierów okultyzmu Bławatskiej i Bailey, „odrodzone” Kościoły chrześcijańskie oraz loże masońskie użyte będą w celu przeprowadzenia tej inicjacji. Jak widzieliśmy, Dawid Spangler, również wierny uczeń pisarstwa Alice Bailey, jak również członek Zarządu Dyrektorów bardzo wpływowej „Planetarnej Inicjatywy Dla Wybranego Świata” („Planetary Initiative for the World We Choose”), mającej siedzibę w United Nations Plaza, oświadczył, że ta inicjacja będzie „lucyferyczna” w swoim ezoterycznym sensie: „Lucyfer pracuje nad każdym z nas, aby doprowadzić nas do pełni gdy wkroczymy w New Age… każdy z nas jest doprowadzony do tego punktu, który nazywam inicjacją lucyferyczną… Lucyfer nadejdzie aby dać nam

ostateczną… lucyferyczną inicjację… przed którą wielu ludzi w nadchodzących dniach stanie, gdyż jest to inicjacja w New Age”67 .

Tutaj Spangler tylko powtarza naukę Alice Bailey, która „skanalizowała” ją od istoty nazywanej „Djwhal Khul”. Ale Bailey nie była jedynym pionierem tego ruchu, który tak nauczał. Pod koniec osiemnastego wieku generał Albert Pike, najwyższy stopniem mason Rytu Szkockiego w Charleston w Południowej Karolinie, w listach, które się zachowały, przewidział również globalną inicjację lucyferyczną68.

Według mitologii New Age człowiek osiągnie ostateczną doskonałość w procesie „ewolucji”, i obecnie są już tacy ludzie, którzy ten stan osiągnęli i mogą w ten sposób urzeczywistnić chiliastyczne marzenie o Bożym Królestwie na ziemi. Taka mitologia przeciera drogę dla ostatecznego celu „nowej religijnej świadomości”, która ma za zadanie doprowadzić ludzi do mesjasza New Age: „Maitreya – Chrystusa”.

Według pism Alice Bailey razem z tym fałszywym Chrystusem pojawią się „aniołowie” aby przekonać ludzi, że mają za nimi podążać. Widzimy obecnie przygotowania do tego w postaci szeroko rozpowszechnionej fascynacji „aniołami”, przy zupełnym braku rozeznania duchowego.

5. Globalizm

Ruch New Age i jego cele są tylko ezoterycznym aspektem dużo szerszego ruchu który pojawił się w ostatnich dwu dekadach od napisania przez o. Seraphima tej książki. Jest to wieloaspektowy ruch na rzecz globalizmu lub „globalnej świadomości" ustanowionej przez większą część ludzkości. Globalizmu nie uznaje się za element New Age, leży on w interesie tych, których cele mogą być całkiem nie duchowej natury. W ostatnich latach międzynarodowe inwestycje banków i korporacji zrobiły nadzwyczajny krok do celu jakim jest hegemonia w światowych finansach. Jest to widoczne w następujących obszarach: 1) postęp w kierunku „społeczeństwa bezgotówkowego" poprzez karty bankowe i inne środki; 2) utworzenie ostatnio Europejskiej Wspólnoty Ekonomicznej, która zlikwidowała ekonomiczne bariery między państwami Europy Zachodniej; 3) przejęcie Rosji i bloku państw wschodnioeuropejskich przez interesy finansowe zachodnich instytucji. Wiele z tych wydarzeń nie musi być koniecznie złych. Jednak wszystkie razem pomagają w utworzeniu jednego światowego aparatu ekonomicznego, który kiedyś pozwoli na przejście do jednego rządu światowego z jedną „religią przyszłości". Co więcej, ostatnio utworzono i umocniono światowe siły militarne w rodzaju „sił pokojowych" Narodów Zjednoczonych, co pokazuje jak prawo i idee tego rządu będą egzekwowane.

Innym wynalazkiem, który gwałtownie zwiększa „globalną świadomość", jest internet. Poprzez sieć www można z łatwością, natychmiast i bardzo tanio uzyskać wszystkie rodzaje informacji z całego świata. Poprzez sieć różne kultury świata szybko zmieniają się w

pojedynczą świadomość masową: świadomość, którą łatwo można zahipnotyzować, gdyż nie poszukuje ona Prawdy, ale słów, liczb i informacji.

6. Fałszywa jedność i powierzchowny eklektyzm

W powszechnym odbiorze globalizm oznacza również wciąż rosnące parcie w stronę „jedności w różnorodności". Razem z tym przychodzi powszechne odczucie, że wszystkie religie są jednością, wszystkie są równe i wszystkie mówią to samo, tylko przy użyciu innych słów. Z zewnątrz ta idea wygląda nawet atrakcyjnie, ponieważ wydaje się, że zapewnia każdemu jednakowe traktowanie. Na głębszym poziomie jednak można zauważyć, że koncepcja jedności w różnorodności, jaką dzisiaj się forsuje, w rzeczywistości niszczy różnorodność. Jeżeli na przykład religijny człowiek uwierzy, że wszystkie religie są równe dla niego, tym samym przestanie prawdziwie wyznawać swoją religię, nie będzie już tym, kim był do tej pory. Zamiast tego, trzymając się może jeszcze jakiejś zewnętrznej kulturowej obyczajowości, stanie się w gruncie rzeczy bez wyrazu, pusty, przez co gotowy na przyjęcie jakiegoś zupełnie nowego objawienia. Stanie się tak samo wyjałowiony, jak każdy zakażony tą samą współczesną mentalnością. Widzimy więc, że nie ma prawdziwej jedności lub różnorodności, jest wyłącznie tożsamość polegająca na totalnej jałowości. Ta fałszywa „jedność w jałowości" jest dokładnie tym, czego potrzebuje szatan w celu masowego hipnotyzowania umysłów w dniach ostatnich.

Współcześnie najbardziej wpływowym ideologiem tego nowego podejścia do religii był Joseph Campbell. Religijny synkretyk oraz student mitologii porównawczej, Campbell zredukował formy religijne do mitów powstających z jungowskiej zbiorowej nieświadomości, Taki „powierzchowny eklektyzm" (aby użyć wyrażenia o. Seraphima) jest bardzo pociągający dla tych, którzy sami są płytcy i bez korzenia. Motto Campbella „podążaj za swoją rozkoszą", jego pogarda dla tradycyjnych poglądów chrześcijańskich dotyczących ascezy i jego pochwała dionizyjskich uczt podczas koncertów rockowych, to wszystko bardzo pociąga miłujące przyjemność zachodnie społeczeństwa, które poszukują jakiegoś duchowego usprawiedliwienia dla swojego hedonizmu.

Idee Campbella miały wielki wpływ na dzisiejsze młode pokolenie, zarówno na uniwersytetach jak i poza nimi. Jednak jego popularność jest nie tyle przyczyną, co raczej objawem czegoś, co zostało do tej pory już dokonane przez nową religijną świadomość.

Religijna mentalność współczesnych ludzi stała się bezkształtna i mglista. Człowiek doby współczesnej może szperać w księgarniach i surfować w internecie, aby znaleźć każdą religijną myśl czy też praktykę, która będzie odpowiadać jego upodobaniom, od Zachodu po Wschód, od sufizmu po satanizm. Jednak im więcej zgromadzi danych w swojej głowie, tym bardziej niewyraźny stanie się jego światopogląd. W większości przypadków nie uważa się on za wyznawcę New Age, tak jak i żadnej konkretnej religii. Posiada religijne zainteresowania w wielu obszarach, ale

jego podstawowe wierzenie polega na tym, że wszystko jest względne; na przykład: „Moje idee pracują dla mnie, twoje idee pracują dla ciebie”. Wierzy we wszystko od razu, ale w nic szczerze i głęboko, również w nic, co wymaga jakiejś ofiary z jego strony. Nie ma niczego takiego, za co oddał by życie. Ale jego anteny są na zewnątrz, szukając po omacku czegoś innego, co rozbije jego upodobania, co usatysfakcjonuje jego niejasny niepokój, ale bez wymagania, aby uczciwie popatrzył na siebie i się zmienił, bez prób naruszania bezustannego zaspokajania własnego ego. Jego religijne zainteresowania są tylko pewną formą samozadowolenia, dlatego wciąż z dużą pewnością siebie zbiera cokolwiek i gdziekolwiek, co tylko podtrzyma to samozadowolenie. Jest jak glina w rękach antychrysta, który, jak uczy Księga Apokalipsy jest już na świecie (2 J 4:3). Jest już gotowym kandydatem, lub może raczej celem, dla „religii przyszłości” o której pisał o. Seraphim.

7. Zakończenie

Z tego, co do tej pory powiedzieliśmy, jasno wynika, że w latach następujących po publikacji książki o. Seraphima, a zwłaszcza po jego śmierci, formowanie się faktycznej „religii przyszłości” stało się coraz bardziej realne i wiarygodne. Możemy teraz zobaczyć bardzo wyraźnie jak ludzkość zmuszona jest do otwarcia się na „demoniczne zwodzenie”, które przewidział o. Seraphim, w którym mnóstwo ludzi, włącznie z chrześcijanami o dobrych intencjach, może faktycznie być wprowadzonych poprzez inicjację do rzeczywistości demonów.

Tylko prawosławni chrześcijanie, wyposażeni w patrystyczną normę życia duchowego i starannie doskonalone nauki o rozeznaniu duchowym, mogą od razu odrzucić wszystkie zwodzenia szatańskie naszych czasów. Z tego powodu szatan uważa ich za największych swoich wrogów i czyni wszystko, co tylko jest w jego mocy, aby podkopać ich pozycje. Ale z tego samego powodu musimy robić wszystko co możemy, aby jak najmocniej przywrzeć do twierdzy Prawosławia, jak nawoływał o. Seraphim.

„Ten, kto nie doświadczył Królestwa Bożego w sobie samym – pisał św. biskup Ignacy Brianczaninow – nie będzie w stanie rozpoznać antychrysta, kiedy nadejdzie". W Cerkwi Prawosławnej widzimy Chrystusa bez zniekształceń. Wiemy, Kim On jest i znamy Jego Królestwo pośród nas, bez fantazji, histerii, gorączkowych stanów emocjonalnych, bez jakichkolwiek mrzonek i wyobrażeń. Wiedząc o tym nie będziemy jałowi i puści, czekając aż coś nowego nas wypełni, gdyż jesteśmy napełnieni Chrystusem, który jest wszystkim we wszystkich (Kol 3:11). Mając Królestwo Chrystusa pośród nas, odziedziczymy je na wieczność.

Przypisy

1 Sobornost, lato 1971 rok, str. 171.

2 Cały tekst ibid, str. 166-174.

3 Tłumaczenie dosłowne tekstu Septuaginty; w tekście starocerkiewnosłowiańskim „biesy”, u Wujka „czarci” (przyp. tłum.).

4 (scs) błąd, oszustwo, herezja (przyp. tłum.).

5 Niewielu, nawet z tych najbardziej pragnących podjęcia „dialogu” z religiami Wschodu i wyrażających swoją religijną jedność z nimi, ma dokładne wyobrażenia na temat pogańskich praktyk tych religii oraz ich wierzeń, z których tyranii błogosławione i lekkie jarzmo Chrystusa uwolniło ludzkość. Bogini Kali, jedno z najbardziej popularnych bóstw hinduistycznych, najczęściej przedstawiana jest w środku krwawych rozruchów i rzezi, z czaszkami i uciętymi głowami wiszącymi na jej szyi, z językiem groteskowo wystającym z jej ust, pragnącym jeszcze więcej krwi; karmi się krwią kozłów ofiarowanych jej w świątyniach hinduistycznych. (Swami Vivekananda uzasadnia to: „Dlaczego by nie dodać trochę krwi, aby dopełnić ten obraz?”) Według nagrania jednej ze swoich uczennic, Swami Vivekananda powiedział o niej ponadto: „Wierzę, że prowadzi mnie ona w najmniejszej rzeczy którą czynię, i działa razem ze mną to, co chce”, na każdym kroku jest świadomy jej obecności, jakby była osobą

znajdującą się razem z nim w pokoju. Tak ją przywołuje: „Przyjdź, o matko, przyjdź! Imię twe to Przerażenie”; jego religijnym ideałem było „stać się jednym z Okropnością na zawsze”. Czy to wszystko, jak przekonywał nas metropolita Georges Khan, może być zaakceptowane jako „autentyczne duchowe życie nieochrzczonych”, czy też część duchowych bogactw, które możemy czerpać z religii niechrześcijańskich? Czy raczej nie jest to dowód na słowa psalmisty: Wszystkie bowiem bóstwa narodów to demony? (Przyp. red.)

6 J. M. Dechanet, Christian Yoga, Harper & Row, Nowy Jork, 1972 rok; pierwsze angielskie tłumaczenie 1960 rok.

7 Harper & Row, Nowy Jork, 1971 rok.

8 Postawa medytacyjna ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami (przyp. tłum.).

9 Wszystkie cytaty w tej części pochodzą z książki Jhana Robbinsa i Davida Fishera Tranquility Without Pills – All about Transcendental Meditation (Spokój bez prochów – wszystko na temat medytacji transcendentalnej), Peter H. Wyden, Inc., Nowy Jork, 1972 rok.

10 „Tropiciela duchowych fałszerstw” (przyp. tłum.).

11 Patrz TM in Court (TM przed sądem): kompletny tekst opinii Sądu Federalnego w sprawie Malnak kontra Maharishi Mahesh Yogi; Spiritual Counterfeits Project, P. O. Box 4308, Berkeley, Kalifornia.

12 Chrles Glock i Robert Bellah, The New Religious Consciousness (Nowa religijna świadomość), University of California Press, Berkeley, 1976 rok, str. 31-32.

13 Robert Greenfield, The Spiritual Supermarket (Duchowy supermarket), Saturday Review Press, Nowy Jork, 1975 rok, str. 43.

14 The Journal of Shasta Abbey, styczeń-luty, 1978 rok, str. 6.

15 Patrz zebranie nauki prawosławnej dotyczącej zwodzenia duchowego i zmysłowego przez duchy oraz otwieranie ludzkich „drzwi percepcji" przez św. Ignacego Brianczaninowa w The Orthodox Word, nr 82, 1978 rok.

16 Patrz Jiyu Kennett, Jak uprawiać kwiat lotosu, Shasta Abbey, 1977 – opisy wizji mistrzów zen podczas stanów bliskich śmierci.

17 Shelly Ostrander, Lynn Schroeder, Psychic Discoveries Behind the Iron Curtain, Ben-tham Books 1977; Wiaczesław Zajcew, Gosti iż kosmosa, Sputnik 1/1967 oraz Chromy i kosmiczeskije korabli, Sputnik 1/1968.

18 Time z 24 kwietnia 1978 rok.

19 G. V Grebens, Ivan Efremov's Theory of Soviet Science-Fiction, Vantage Press, New York 1978.

20 UFOs in Space: Anatomy of a Phenomenon, Balantine Books, New York 1977.

21 Edward Ruppelt, Report on Unidentified Flying Objects, New York 1956.

22 Allen Hynek, The UFO Experience: A Scientific Inquiry, New York 1977.

23 Feliks Zigel, NLO: czto eto takoje?, Smiena 7/1967; oraz tegoż autora Nieopoznannyje lietajuszczije obiekty, Sowietskaja życń 2/1968.

24 Philip Klass, UFOs Explained, New York 1974.

25 J- A. Hynek, J. Yallee, The Edge of Reality, Chicago 1975.

26 J- Yallee, The Invisible College, New York 1975.

27 John A. Keel, UFOs: Operation Trojan Horse, G. P. Putnam's Sons, New York 1970.

28 Vallee, Passport to Magonia, Henry Regnery Co., Chicago 1969.

29 „Duch psotnik”, duch bałaganiarz, który jest niewidzialny, ale który objawia swoją moc, wprowadzając zamęt w otoczeniu, rzucając przedmiotami, które często zmieniają w powietrzu kierunek o 90° oraz wykonują inne niewytłumaczalne ruchy. Działania tych duchów poświadczone są przez policję, sądownictwo, techników i naukowców dysponujących specjalistycznym sprzętem. Przypadek Poltergeista we wsi Rosenheim pod Monachium udokumentował Instytut Fizyki Maxa Plancka. Jego badacze w swoim sprawozdaniu napisali o zjawiskach, które „można było mierzyć, ale których nie można było racjonalnie wytłumaczyć”. Ich zdaniem, „zjawiska, chociaż złożone i nieregularne, wydają się kierowane przez siły inteligentne, dążące do wymykania się badaniom”.

30 Lynn G. Catoe, UFOs and Related Subjects: An Annotated Bibliography, U.S. Government Printing Office, Washington D.C. 1969.

31 Clifford Wilson and John Weldon, Close Encounters: A better Explanations, San Diego 1978; Spiritual Counterfeits Project Journal, Berkeley, 8/1977 “UFOs: Is Science Fiction Coming True?”

32 F. R. Hoare, The Western Fathers, New York 1965.

33 The Northern Thebaid, Wydawnictwo św. Hermana z Alaski, 1975.

34 S. Nilus, Siła Boża i niemoszcz' czełowieczeskaja, Troice-Siergijewskaja Ławra 1908.

35 Konstantin Raudive, Breakthrough: An Amazing Experiment in Electronic Communication with the Dead, New York 1971.

36 S. Nilus, Świątynia pod spudom, Siergijew Posad 1911.

37 Pat King, w Logos Journal, wrzesień-październik 1971 rok, str. 50. To „międzynarodowe pismo charyzmatyczne" nie powinno być mylone z Logosem o. E. Stephanou.

38 Większość książek cytowanych w tym rozdziale będzie opisana tylko przez autora i numer strony; pełna informacja bibliograficzna zamieszczona jest na końcu tego rozdziału.

39 Biskup Teofan Pustelnik, What is the Spiritual Life (Czym jest życie duchowe), Jordanville, New York, 1962, str. 247-8 (po rosyjsku). O. E. Stephanou (Logos, styczeń 1972, str. 13) próbuje usprawiedliwić dzisiejsze „otrzymywanie Ducha Świętego" poza Cerkwią cytując relację o domu setnika Korneliusza (Dz 10), który otrzymał Ducha Świętego przed Chrztem. Ale różnica pomiędzy tymi dwoma przypadkami jest zasadnicza: otrzymanie Ducha Świętego przez Korneliusza i jego domowników było

znakiem, że powinni oni być przyłączeni do Cerkwi przez Chrzest, podczas gdy dzisiejsi zielonoświątkowcy przez swoje doświadczenie są tylko utwierdzani w swojej ułudzie, że nie ma żadnej zbawiającej Cerkwi Chrystusa.

40 Patrz Kurt Koch, Occult Bondage and Deliverance, (Niewola okultyzmu i wyzwolenie) Kregel Publications, Grand Rapids, Michigan, 1970, str. 168-170.

41 Kurt Koch, Between Christ and Satan (Pomiędzy Chrystusem a szatanem), Kregel Publications, 1962, str. 124. Ta książka oraz Occult Bondage and Deliverance (Niewola okultyzmu i wyzwolenie) przedstawiają niezwykłe dowody, oparte na XX-wiecznych doświadczeniach, praktycznie każdego przejawu mediumizmu, magii, czarów itp. które można znaleźć w Piśmie Świętym i w żywotach prawosławnych świętych – oczywiście źródłem tego wszystkiego jest diabeł. Tylko w paru punktach czytelnik prawosławny byłby zmuszony poprawić interpretacje podane przez autora.

42 Simon A. Blackmore, S. J., Spiritism Facts and Frauds, Benziger Bros., New York, 1924; Rozdział IV “Mediums”, str. 89-105

43 Na temat Orala Robertsa patrz Kurt Koch, Occult Bondage, str. 52-55.

44 Ronald A. Knox, Enthusiasm, A Chapter in History of Religion, Oxford (Galaxy Book), 1961, str. 550-551.

45 Patrz The Orthodox World, 1965 rok, nr 4, str. 155-158.

46 Konferencja XV:2.

47 Wilson Van Dusen, The Presence of Other Worlds, Harper and Row, New York, 1974, str. 120-125.

48 Patrz I. A. Lewis, Ecstatic Religion, An Anthropological Study of Spirit Possession and Shamanism, Penguin Books, Baltimore, 1971, str. 45, 88, 156, itd. oraz ilustracja 9.

49 Starzec Makary z Optiny, Harbin, 1940, str. 100.

50 Patrz Blackmore, Spiritism, str. 144-175, gdzie podany jest przykład katolickiego księdza, który był fizycznie ścigany przez talerzyk (wprawiany w ruch oczywiście przez demona), kiedy chciał porzucić jego używanie.

51 Patrz na przykład Gordon Lindsay, Israel's Destiny and the Coming Deliverer (Przeznaczenie Izraela a nadchodzący Wyzwoliciel), Christ for the Nations Pub. Co., Dallas w Teksasie, str. 28-30.

52 Takie jest prawosławne nauczanie świętych Ojców: Bazylego Wielkiego, Grzegorza Teologa, Andrzeja z Cezarei i wielu innych. Patrz arcybiskup Awwierkij, Przewodnik do studiów Nowego Testamentu, część II, Jordanville, Nowy Jork, 1956.

53 Porównaj Billy Graham, World Aflame (Świat w ogniu), Nowy Jork 1966, str. 178; C. H. Mackintosh, The Lord's Coming, Moody Press, Chicago, str. 30-31; oraz wielu innych fundamentalistów.

54 Patrz Kurt Koch, Day X, Kregel Publications, Grand Rapids, Michigan, str. 116-117.

55 Św. Paweł w pierwszym liście do Tesaloniczan 4:16-17 omawia drugie przyjście Chrystusa, które zgodnie ze świętymi Ojcami przyjdzie po „ucisku" i panowaniu antychrysta.

56 Tłumaczenie na podstawie Św. Serafin Sarowski, Ogień Ducha Świętego, Orthdruk, Białystok 1992, str. 26, 39-40 (przyp. tłum.).

57 Patrz Kurt Koch, The Revival in Indonesia, Kregel Publications, 1970 oraz Mel Tari, Like a Mighty Wind, Creation House, Carol Stream, Illinois, 1971. (Polskie wydanie: Mel Tari, Jak potężny wiatr, DABAR, Toruń 1994 – przyp. tłum.)

58 “Father Divine” – założyciel sekty z połowy XX wieku, łączącej amerykańską dumę z chrześcijaństwem i judaizmem; podawał się za Chrystusa, który przyszedł powtórnie (przyp. tłum).

59 Nazwa nadana przez samego Jonesa i przez fanatyków, którzy pomogli mu przeprowadzić zbiorowe samobójstwo; patrz czasopismo Time, 4 grudzień 1978, str. 20.

60 Marshall Kilduff and Ron Javers, The Suicide Cult, Bantam Books, 1978, str. xiv.

61 Neil Duddy i Mark Albrecht, „Questioning Jonestown” w periodyku Radix, Berkeley, Kalifornia, styczeń-luty 1979, str. 15.

62 Connecticut Citizens for Constitutional Education, 22 styczeń 1980.

63 Marylin Ferguson, The Aquarian Conspiracy, J. P. Tarcher, Inc., Los Angeles, 1980, str. 369.

64 Deborah Corbett, „The Trouble with Truth: A Review of The Illness That We Are: A Jungian Critique of Christianity Johna Durdleya (Kłopoty z Prawdą: recenzja “Choroby istnienia”: Jungowska krytyka chrześcijaństwa), Epiphany Journal, wiosna 1986 r. str. 82-90.

65 Deborah Corbett, „The Jungian Challenge to Modern Christianity” (“Jungowskie wyzwanie dla współczesnego chrześcijaństwa”), Epiphany Journal, lato 1988 r. str. 33-40.

66 Diakon R. Thomas Zell, „Signs, Wonders, & Angelic Visitations”, Again, wrzesień 1995 rok, str. 6.

67 Dawid Spangler, Reflections on the Christ (Rozmyślania o Chrystusie), Findhorn Community Press, Scotland 1978 r., str. 40,44.

68 Patrz Tal Brooke, When the World Will Be As One (Kiedy świat będzie jednością), Harvest House Publishers, Eugene, Oregon, 1989 r., str. 176.